



Harlequin® na życzenie

2 POWIEŚCI
TYLKO 14⁵⁰

W rytmie flamenco

BARBARA McMAHON KATHRYN ROSS

ISBN 978-83-247-9111-1

W rytmie flamenco

BARBARA McMAHON
KATHRYN ROSS



Barbara McMahon

Pocałunek szefa

SR

HARLEQUIN

Toronto • Nowy Jork • Londyn

Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg

Madryt • Mediolan • Paryż

Sydney • Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rachel Goodson ponownie przeliczyła pieniądze, ale jakoś ich nie przybyło. Całego majątku miała czterysta siedemdziesiąt euro. Oczywiście mogła skorzystać z kart kredytowych, ale wtedy ujawniłaby miejsce swojego pobytu, a przecież nie po to skryła się w tej hiszpańskiej mieścinie, żeby wpływowy tatuś zaraz ją odnalazł. Wszystko dobrze przemyślała. Wyjechała z domu, by uciec od niedorzecznych wymagań ojca i kłamstwa, jakiego się dopuścił.

Uciekała też od mężczyzny, którego wybrał dla niej na przyszłego męża. Najwyraźniej zapomniał, że nastał dwudziesty pierwszy wiek i jego córka pewnie sama wolałaby zdecydować, za kogo wyjdzie. Już taka była dziwna, że wolała, by jej mąż miał więcej wspólnego z nią niż ze swym teściem... Nadal czuła gniew, kiedy wspominała tamte wydarzenia.

Westchnęła głęboko, wypila łyk lemoniady i spojrzała w stronę przystani. Kilku starych mężczyzn naprawiało sieci. Upał najwyraźniej im nie dokuczał. Ona na ich miejscu schroniłaby się w cieniu.

Obok niej leżała mała walizka i wypchany portfel, w którym trzymała najważniejsze dokumenty: paszport,

karty kredytowe i pieniądze. Do tej pory mogła uznać swą ucieczkę za prawdziwy sukces, ale pomału kończyły się jej oszczędności.

Patrzyła na biały budynek, od którego odbijało się słońce. Zakochała się w tym miasteczku w chwili, gdy wysiadła z autobusu. Oczarowali ją przyjaźnie nastawieni mieszkańcy. Okolica nie miała ani splendoru, jakim szczylił się Madryt, ani uroków, jakie oferuje Majorka. Plaża była zupełnie opustoszała. Z pewnością nie o takim miejscu marzył ojciec dla swej jedynej córki.

Wzgórza zdawały się oddzielać miasto od reszty świata. Z lewej strony zbocza porośnięte były równymi rzędami drzewek oliwnych, z prawej nieuporządkowaną gęstwiną krzewów i dzikich kwiatów. Na szczycie, niczym korona, widniał kamienny zamek.

Rachel nigdzie nie zauważyła informacji dla turystów. Domyślała się, że zamek był własnością prywatną. Zmarwnęła się tym, bo bardzo chciała spędzić choć jedną noc w hiszpańskim zamku.

Lecz najbardziej palącą sprawą był stan jej funduszy. Musiała znaleźć pracę, choć wiedziała, że nie będzie to łatwe bez odpowiednich dokumentów. Ufała jednak, że znajdzie się ktoś, kto pozwoli jej zarobić, nie dbając o formalności. Może w restauracji potrzebują kelnerki? Jak na razie wpadła tylko na taki pomysł.

Nigdy nie pracowała zawodowo. Owszem, całkiem sprawnie organizowała imprezy charytatywne i pomagała ojcu podczas oficjalnych przyjęć, ale to wszystko. Ojciec zawsze powtarzał, że bardzo jej potrzebuje, bo nikt inny nie potrafiłby tak dobrze zadbać o towarzyską oprawę jego

biznesowej działalności. Twierdził, że jego córka wspaniale zastąpiła na tym polu zmarłą matkę.

Znów ogarnęła ją złość na wspomnienie tego kłamstwa i podstępu. Przecież jej matka żyła! Jednak Rachel poznała prawdę zaledwie przed dwoma tygodniami. Ojciec sterował każdym jej ruchem do chwili, aż zrozumiała, że ją oszukał.

Dla jego interesów byłoby nadzwyczaj korzystnie, gdyby poślubiła Paula Cambricka, a wszelkie jej prośby i perswazje tylko wzmagały ojcowską presję, która stała się wręcz nie do zniesienia.

Ucieczka nie była zapewne najsmartniejszą metodą walki, ale Rachel nie widziała innego rozwiązania. Teraz musiała znaleźć pracę, by udowodnić, że nie potrzebuje ani ojca, ani Paula, żeby się utrzymać. By wszystko było jasne, należy dodać, że Rachel absolutnie wykluczyła ślub z Pauliem, cokolwiek by się wydarzyło.

Spojrzała na wodę, starając się uciszyć gniew. Promienie odbijały się w falach. Łatwo było myśleć o niezależności, kiedy leżała sobie bezpiecznie w swej sypialni w Malibu. Zapewne wszystko byłoby prostsze, gdyby pozostała w Stanach. Wszędzie mogłaby znaleźć pracę. Przyjazd do Hiszpanii był spowodowany impulsem. Zawsze o tym marzyła. Poza tym pragnęła być jak najdalej od domu.

- Czy mogę podać pani coś jeszcze? - zapytał kelner po hiszpańsku.

- Nie, dziękuję - wydukała.

Kelner był wyjątkowo miły i nie przejmował się jej niewprawną hiszpańską artykulacją. Rozumiała go, gdy mówił

wolno i wyraźnie. Odkąd przyjechała do Hiszpanii, stale prosiła wszystkich, żeby mówili wolniej.

- Amerykanka? - Uśmiechnął się szeroko.

- Tak - odparła, choć wołała, żeby nie było to takie oczywiste. Rozejrzała się wokoło. Wszystkie kobiety, które siedziały w kawiarni, miały ciemne włosy, przez co jej blond czupryna bardzo się wyróżniała. Ale przecież mogła być Niemką lub Dunką. Dlaczego od razu pomyślał, że jest Amerykanką?

- Przyjechała tu pani z powodu pracy u pana Alvaresa? - zapytał podekscytowany. - Zastanawialiśmy się, czy nowa asystentka wreszcie się zjawi. Nie wiadomo, kiedy Maria wróci do zdrowia.

Rachel zaczęła błyskawicznie myśleć.

- A gdzie jest pan Alvares?

Czyżby ktoś potrzebował amerykańskiej asystentki? Niemożliwe, nie może mieć aż tyle szczęścia.

Kelner wskazał zamek na szczycie wzgórza. Kamieniana budowla dominowała nad drzewami, choć krzewy częściowo odgradzały ją od miasta. Spojrzała w tamtą stronę, a w głowie układała różne scenariusze. Jakiej asystentki potrzebuje właściciel tego zamku? Nie miała formalnego wykształcenia w zawodzie asystentki, do tego jej hiszpański pozostawiał wiele do życzenia, ale gdyby została tu nieco dłużej, z pewnością szybko by to nadrobiła. Miała natomiast zdolności organizacyjne i sprawdziła się na tym polu, dobrze planowała, radziła sobie z trudnymi klientami, była skrupulatna i zawsze dotrzymywała terminów. Czy to wystarczające kwalifikacje, by zostać asystentką pana Alvaresa?

- Jak się dostać do zamku? - Już podjęła decyzję.

Odbieranie telefonów, umawianie spotkań, pisanie na komputerze - to nie może być zbyt trudne. Najwyżej jej nie przyjmą. A jeśli szczęście nadal jej sprzyja, dostanie pracę na okres próbny, do czasu, aż znajdzie sobie coś innego.

Dwadzieścia minut później jechała w górę zbrocza. Rozklekotany wehikuł zapewne miał więcej lat niż ona, kierowca zaś mógłby być jej pradiadkiem.

Widok z okna zapierał dech w piersiach, a im wyżej się wznosili, tym stawał się bardziej fascynujący. Rachel nie mogła jednak w pełni zachwycać się widokami, bo niepokoiła się czekającą ją rozmową kwalifikacyjną.

Za jednym z niezliczonych zakrętów jej oczom ukazał się kamienny zamek. Jego wielkość z bliska robiła jeszcze większe wrażenie. Wokół było pusto. Nie zauważyła ani samochodu, ani żadnego człowieka. Czyżby nie zastała nikogo? A to pech.

Taksówka zatrzymała się przed schodami wiodącymi do dwuskrzydłowych frontowych drzwi. Kierowca odwrócił się do niej z uśmiechem i wysunął dłoń, prosząc o zapłatę.

Wysiadła z samochodu i przez chwilę przyglądała się budowli. Wreszcie podeszła do drzwi i energicznie nacisnęła dzwonek.

Nikt nie odpowiedział. Rachel nasłuchiwała, ale do jej uszu dobiegał jedynie śpiew ptaków. Popołudniowe słońce przypiekało mocno, pomimo powiewów wiatru. Przed nią rozpościerał się widok na zatokę Morza Śródziemnego. Białe budynki miasteczka kontrastowały z błękitem wody.

Wspaniały, słoneczny pejzaż, pomyślała.

Nagle wewnątrz zamku rozległy się odgłosy krzątania. Ponownie przycisnęła dzwonek. Chwilę później drzwi się otworzyły.

- Tak? - W drzwiach stała kobieta w chusteczce na głowie i ze ściereczką do kurzu w ręku.

- Czy zastałam pana Alvaresa? - zapytała Rachel.

- Chwileczkę. - Służąca zniknęła za drzwiami.

Co za brak wychowania, pomyślała Rachel, wpatrując się w drzwi, które zatrzęsnięto jej przed nosem. Kolejny raz nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyły się ponownie. Stał w nich wysoki mężczyzna. Rachel cofnęła się o krok. Na pierwszy rzut oka wyglądał dość groźnie. Zdecydowanie górował nad nią wzrostem. Ciemne oczy zwięziły mu się, kiedy bacznie przyglądał się niezapowiedzianemu gościowi. Mógł z łatwością przestraszyć każdego, oczywiście poza kobietą, która desperacko szukała posady.

- Czy pan Alvares?

- Nie wiem, co sprzedajesz, ale cokolwiek by to było, na pewno tego nie potrzebujemy. Odejdź albo wezwę policję.

- Cofnął się, by zamknąć drzwi.

Jednak na to nie pozwoliła, mocno przytrzymując klamkę, co niezmiernie go zdumiało. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Rachel błyskawicznie wparowała do holu. Upór był jedną z jej najsilniejszych cech. Ojciec często nazywał ją uparciucha.

- Przyszłam spotkać się z panem Alvaresem. Jeśli to nie pan nim jest, proszę mu powiedzieć, że przyszłam - stwierdziła stanowczo. Wiedziała, że tylko zdecydowane

działanie mogło doprowadzić ją do rozmowy kwalifikacyjnej. Coraz bardziej zależało jej na tej pracy. Choćby tylko po to, by udowodnić sobie, że udało jej się ją zdobyć. Poza tym potrzebowała pieniędzy.

- Kim pani jest? - zapytał oschle. - I co pani tutaj robi?

- Nazywam się Rachel Goodson. Przyszłam tu w związku z posadą asystentki.

- Ale ja mam asystentkę.

- Więc jednak mam przyjemność z panem Alvaresem? Czy tak?

- Tak, ale...

- Witam pana. Słyszałam w mieście, że właśnie poszukuje pan nowej asystentki. Amerykanki. Jestem idealną kandydatką.

Pchnął drzwi, które zamknęły się z hukiem. Rachel poczuła się nieswojo. Poza kelnerem i taksówkarzem nikt nie wiedział, że tu przyszła. Gdzie się podziała gospoś? Gdyby coś się stało... Czy wiekowy taksówkarz za dwa dni będzie pamiętał, że ją tu przywiózł? Czy kelner zaniepokoi się, że młoda Amerykanka nagle gdzieś zniknęła? Bardzo wątpliwe... Ot, zwykła turystka, przemknęła niczym meteor.

- Niech pani nie wierzy we wszystko, co pani usłyszy w miasteczku. Ludzie mają zwyczaj plotkować. - Splótł ręce na piersi, przyglądając się uważnie Rachel.

Miał na sobie niebieską jedwabną koszulę i ciemne spodnie.

Bardziej pasowałyby do niego czarne ubranie, pomyślała.

- A więc nie szuka pan asystentki na zastępstwo? - zapytała, nie kryjąc rozczarowania.

- Naprawdę jest pani asystentką, a może raczej dziennikarką, która liczy na wywiad? - spytał podejrzliwie.

- Och, skądże. - Wywiad? A kimże on jest, u licha, że obawia się dziennikarzy?

- Amerykanka? - W jego oczach nagle pojawiło się zainteresowanie.

- Z Kalifornii. Ale jak pan widzi, mówię po hiszpańsku. A jeszcze lepiej czytam i piszę.

- A jak sobie radzisz z angielskim? - spytał trochę bez sensu.

- Co? Przecież to mój ojczysty je...

- Chodzi mi o przygotowanie filologiczne. Znajomość gramatyki, poprawność językowa, a także czytanie w literaturze pięknej.

- Mam odpowiednie wykształcenie w tym zakresie. - Odetchnęła z ulgą i nagle do niej dotarło, że Luis Alvares przeszedł na angielski. I to bezbłędny angielski, jakby poznał go w domu rodzinnym. - Mówi pan po angielsku? - Nie było to zbyt błyskotliwe pytanie.

- Jak widać - burknął niecierpliwie.

Liczyła na to, że usłyszy coś więcej, lecz zamiast tego zapadła cisza. Rachel nie chciała pierwsza jej przerywać, prosząc o pracę niczym o łaskę. Złożyła już ofertę, teraz dumnie poczeka na odpowiedź. Żadnych grzecznych uśmiechów i pokornego usuwania się w kąt. Wiele razy w swym życiu dawała się zdominować mężczyznom. Złościło ją to potwornie, ale najczęściej nie potrafiła się przeciwstawić. Nastała jednak pora, by z tym skończyć.

Alvares spojrział na małą walizkę, która stała przed Rachel.

- Jesteś gotowa, by zacząć od dziś?

- Tak - odparła, choć wcale nie była co do tego przekonana. Uniosła brodę, by dodać sobie pewności. - Mogę zacząć w każdej chwili.

Przez moment odniosła wrażenie, że dostrzegła wesołość w ciemnych oczach Alvaresa, ale zaraz zrozumiała, że to jedynie złudzenie. Nie wyglądał na człowieka, którego coś może rozweselić.

- Chodź ze mną. - Odwrócił się gwałtownie i ruszył szybkim krokiem przez korytarz.

Porwała swoje rzeczy i pobiegła za nim.

Wszedł do jednego z pomieszczeń. Zaskoczona zatrzymała się w drzwiach. Pokój był ogromny, miał sto pięćdziesiąt, może nawet dwieście metrów kwadratowych. W przeciwieństwie do ciemnego korytarza było tu dużo światła, które wpadało przez francuskie okna. Uchylone drzwi balkonowe zapewniały powiew świeżego powietrza.

W pokoju stały dwa duże biurka. Oba były kompletnie zavalone papierami. Jedynie komputer i klawiatura uchroniły się przed inwazją wydruków i notatek.

- Jeśli poradzisz sobie z odczytaniem mojego pisma i wprowadzisz wszystko do komputera, to być może zatrudnię cię do czasu powrotu Marii - mruknął Alvares.

- Na pewno dam sobie radę. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Proszę mi tylko powiedzieć, przy którym biurku mam pracować.

- Przy tym... Tylko trzeba je trochę ogarnąć. - Spojrział uważnie na Rachel. - Wszystko, co tu zobaczysz lub usły-

szysz, jest ściśle tajne, rozumiesz? Zdradzisz mnie, a sprawie, że pożałujesz, iż w ogóle się urodziłaś.

Zamrugła nerwowo.

- Tak... oczywiście...

W co ona się wpakowała? Może powinna wrócić do miasteczka i zapomnieć o tym miejscu? Od rejterady powstrzymał ją tylko strach przed potrzebą skorzystania z kart kredytowych.

- Jak dowiedziałaś się o tej pracy? Nie przysłałaś tu z agencji. - Wprost świdrował ją wzrokiem.

Rachel nie chciała zdradzić, że tę informację zawdzięcza plotkarskiej naturze kelnera, jednak musiała coś odpowiedzieć.

- Od przyjaciela - mruknęła, jakby cokolwiek miało to wyjaśnić.

- Chciałbym zobaczyć twój paszport.

Gdy spełniła jego żądanie, przez chwilę uważnie studiował dokument, a potem schował go do kieszeni.

- Hej, potrzebuję go!

- Nie, dopóki pracujesz u mnie.

- Przecież bez niego nie mogę się poruszać po Hiszpanii! Co powiem, jeśli w miasteczku policja będzie chciała mnie wylegitymować?

- Wtedy powołasz się na mnie, a nigdzie dalej nie musisz się ruszać, bo w zamku dostaniesz mieszkanie i wyżywienie. Oddam ci paszport, kiedy upewnię się, że nie pisujesz do jakiegoś brukowca.

- Przecież już powiedziałam, że nie!

- Tak, powiedziałaś... - Znów utkwiał w niej wzrok. - Moja asystentka złamała rękę w trzech miejscach, więc

przez najbliższych kilka tygodni nie pojawi się w pracy. Jeśli posada ci odpowiada, możesz tu zostać aż do powrotu Marii. Wybierz sobie sypialnię. Jest ich dwadzieścia siedem. Najlepiej na drugim piętrze. - Podszedł do większego z biurków, wziął plik papierów. - Przepisz ten tekst. Mam nadzieję, że znasz się na komputerach.

- Panie Alva...

- Mów mi Luis. Dziś sama musisz zorganizować sobie obiad, bo Esperanza, moja gosposia, akurat ma wolne, zaś Ana nie zajmuje się gotowaniem. Poza tym wychodzi o czwartej. A teraz do pracy. Nie musisz szukać pliku Marii, stwórz nowy, potem połącz się teksty. Podwójna interlinia, standardowe marginesy, czcionka Times New Roman dwanaście punktów. - Był coraz bardziej zniecierpliwiony. - Podstawowa redakcja, czyli interpunkcja, literówki, błędy gramatyczne. Ewentualne usterki stylistyczne, jak na przykład zbędne twoim zdaniem powtórzenia, zaznacz na żółto, później się im przyjrę. Jakies pytania?

Miała ich dziesiątki, lecz nie chciała wystawiać na próbę cierpliwości szefa. Straszny z niego raptus, pomyślała. Najważniejsze, że zdobyła pracę i dach nad głową. W tej sytuacji zredagowanie kilku stron tekstu, czegokolwiek by on nie dotyczył, wydawało się kaszką z mleczkiem.

Kiedy potrząsnęła przecząco głową, Luis odwrócił się i wyszedł. Rachel była zdumiona takim przebiegiem rozmowy kwalifikacyjnej. Niestety nie wiedziała, ile zarobi przez tych kilka tygodni, miała jednak zapewnione wyżywienie i nocleg. A także czas, by spokojnie się zastanowić, co dalej.

Najważniejsze, że tak czy inaczej realizowała jedno ze

swoich największych marzeń. Znalazła się w Hiszpanii. Zakochała się w tym kraju jeszcze w szkole, kiedy rozpoczęła naukę języka. Zbierała wszelkie możliwe materiały związane ze wszystkim, co hiszpańskie, a serce jej zawsze biło mocniej na samą myśl, że kiedyś tu przyjedzie. I zrealizowała ten zamiar na pierwszym roku studiów, jednak przebywała tu zbyt krótko, by prawdziwie się rozsmakować w ukochanym kraju. Teraz miało być inaczej.

Ostatnie dwa tygodnie, mimo trudności i stresów, były najcudowniejszym okresem w jej życiu. Zwiedziła słynne madryckie Prado, piła kawę w urokliwych kawiarenkach, spacerowała wąskimi uliczkami starego miasta. Nie mogła doczekać się dni wolnych od pracy, które zamierzała poświęcić na zwiedzanie. W myślach przechadzała się już uliczkami Sewilli, Barcelony czy Walencji.

Z marzeń wyrwał ją widok papierów na biurku. Teraz najważniejsza jest praca! - skarciła się w duchu. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jej szef potrzebuje jedynie kogoś, kto będzie dbał o porządek w jego papierach. A co z odbieraniem telefonów i maili, umawianiem spotkań i prowadzeniem korespondencji? Rachel zadumała się głęboko. Sądziła, że będzie asystentką milionera, który z zamku nadzoruje interesy, z rzadka tylko spotykając się z zarządami swoich spółek i najważniejszymi kontrahentami. Niektórzy znajomi jej ojca, wielcy finansiści, pracowali właśnie w taki sposób. Zaszywali się na długie miesiące w luksusowych rezydencjach lub podróżowali po świecie, jednak dzięki łączom elektronicznym mieli stały kontakt ze światem. Zawsze też towarzyszył im jakiś personel biurowy, który wykony-

wal bieżącą biznesową pracę. Tu jednak nic takiego nie wchodziło w rachubę. Miała tylko redagować jakieś teksty, i to w tajemnicy przed całym światem. Czym więc tak naprawdę zajmował się Luis Alvares?

Z czasem wszystkiego się dowiem, uznała i ruszyła w poszukiwaniu sypialni. Zgodnie ze wskazówkami Alvarosa udała się na drugie piętro. Ściany korytarza udekorowane były ponurymi portretami jakichś postaci, pewnie dawnych właścicieli posiadłości. Zatrzymała się przed pierwszymi drzwiami po lewej stronie. Zapukała, ale ponieważ nikt nie odpowiedział, zajrzała do środka. Przez zasłonięte okna wpadało przytłumione światło. Były tu cztery łóżka z baldachimami i bogato rzeźbione meble. Pokój był wielki jak salon w rezydencji ojca Rachel. Wydawał się niezamieszany, weszła więc do środka. Kiedy odstąpiła zasłony, wypełnił się ciepłym światłem. Widok z okna był wspaniały. Śródziemnomorska woda miała cudowne kolory, od łagodnego turkusowego przy brzegu po głęboki granat kilkadziesiąt metrów dalej. Na horyzoncie spostrzegła wielki statek.

- Pan Alvares powiedział, że znajdę tu panią. Przyszłam przygotować łóżko.

Rachel odwróciła się i ujrzała pokojówkę w drzwiach.

- Dziękuję. Jeśli zostawi pani pościel, poradzę sobie.

- Ależ nie. - Kobieta wyraźnie się zakłopotowała.

Rachel wzruszyła ramionami i zaczęła się rozpakowywać. Kiedy już poukładała swoje rzeczy, wzięła szybki prysznic i wróciła do gabinetu.

Zaintrygowana swoim pracodawcą, poczuła się zawiedziona, że nie zastała go w pokoju. Jak na człowieka, któ-

ry tak bardzo jej nie ufał, ulotnił się dość szybko. Co niby miało ją teraz powstrzymać przed myszkowaniem?

Podeszła do biurka i przyjrzała się notatkom. Szybko zorientowała się, że jest to fragment powieści. A więc Luis Alvares jest pisarzem! Odetchnęła z ulgą, bo rękopis sporządzony był po angielsku. Bała się, że apodyktyczny szef każe jej redagować hiszpańskie teksty, z czym absolutnie by sobie nie poradziła. A więc jest to tłumaczenie. Ale dlaczego w takim razie jest to rękopis, a nie wydruk? Czyżby Alvares tworzył po angielsku?

Zaczęła przeglądać różne pliki w poszukiwaniu początku notatek. Najniższy numer strony, jaki znalazła, to siedemdziesiąt trzy. Zaintrygowana, kontynuowała poszukiwania na drugim biurku. Zamiast pierwszych siedemdziesięciu dwóch stron, trafiła na dokumenty dotyczące przemysłu oliwnego. Różne raporty, broszury, publikacje.

- Mogę ci w czymś pomóc? A może lepiej zostawić cię w spokoju, aż znajdziesz to, czego szukasz?

Gwałtownie się odwróciła. Luis stał w drzwiach i obserwował ją.

- Nie mogę znaleźć początku. To powieść, prawda?

- Maria przepisała początek przed wypadkiem i pewnie gdzieś schowała tę część rękopisu. Jeśli nie znajdziesz właściwego pliku, stwórz nowy i kontynuuj pracę. Potem połącz się teksty. - Przerwał na chwilę. - Już ci to mówiłem - zakończył niecierpliwie.

Rachel zdołała jedynie wyjąkać, że już siada do komputera, ale nie zdołała opanować nerwowego drżenia rąk, przez co nie mogła porządnie odłożyć papierów, które ciągle zsuwały się na wszystkie strony. Spojrzała na Luisa.

- Nie mówiłeś nic o odbieraniu telefonów ani o zarządzaniu pocztą.

- Poczta może poczekać. Najważniejsze jest wprowadzenie tekstu. Zabiorę go potem do biura w Benidormie. Tam będą dalej nad nim pracować. Telefon nie dzwoni często. Jeśli jestem w zamku, sam go odbieram. W przeciwnym razie przyjmij wiadomość.

- Często cię nie będzie?

Zmrużył oczy podejrzliwie.

- Dlaczego pytasz?

- Żebym wiedziała, kiedy mam odbierać telefony i jak mam organizować sobie pracę.

- Pracuję w Benidormie.

- Tam pisziesz?

- Powiedziałem, że tam pracuję. Pisanie to hobby. Zajęcie na wolne chwile.

Spojrzała na stos kartek czekających na przepisanie. Najwidoczniej Luis miał sporo wolnego czasu.

- Czym się zajmujesz?

- Zadajesz sporo pytań, zwłaszcza jak na kogoś, kto twierdzi, że nie jest dziennikarką.

- Zapomnijmy więc o tym pytaniu. Mam mnóstwo pracy do wykonania.

- Jest już po siedemnastej. Możesz zacząć jutro rano.

- Więc nie oczekujesz, że będę tu ślecząca dzień i noc - mruknęła.

- Jeśli będziesz miała ochotę na kolację, obsłuż się sama. - Zignorował komentarz, choć wyraz twarzy wskazywał na to, że wszystko dobrze usłyszał.

- Od jak dawna pisziesz?

- Jeszcze jakieś pytania?

- Nie oczekujesz od swojej asystentki, że będzie interesowała się pracą szefa? Gdybyś sam coś mi powiedział o sobie, nie musiałabym tyle pytać. Czy twoja praca polega na uprawie oliwek?

- Uprawie oliwek? - W jego oczach mignął wesoły błysk. - Zarządzam Konsorcjum Oliwnym Alvaresa, które należy do mojej rodziny od czterech pokoleń, więc można powiedzieć, że uprawiam oliwki. A także eksportuję je do Ameryki oraz produkuję olej najwyższej klasy.

- A w wolnych chwilach tworzysz powieści. Nie wystarcza ci zarządzanie firmą?

- Lubię pisać.

- Literatura angielska była moim głównym kierunkiem na studiach. Jestem jednak zaskoczona, że piszesz w obcym języku, a nie po hiszpańsku.

- Angielski nie jest dla mnie obcym językiem, bo moja mama pochodzi z Ameryki.

Rachel przychodziły do głowy kolejne pytania: jak poznali się jego rodzice, czy nadal żyją, czy opublikował już w Stanach jakąś książkę, czy jego nazwisko powinno coś jej mówić? Bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, by kiedykolwiek słyszała o pisarzu Luisie Alvaresie.

Nie zadała jednak żadnego pytania, postanowiła natomiast poszukać czegoś na kolację. Było jeszcze wcześniej, ale czuła się zmęczona po emocjonującym dniu. Potrzebowała chwili dla siebie. Jutro musi być wypoczęta i gotowa do pracy.

Minęła Luisa w drzwiach. Poczowała zapach wody po goleniu i bijące od niego ciepło. Zauważyła już wcześniej, że

Hiszpanie są bardzo otwarci i nie zachowują takiej odległości od rozmówcy, do jakiej była przyzwyczajona. Zwykle stali blisko siebie, niemal się dotykali, gestykulując przy tym żywiołowo.

Luis zaprowadził ją do przestronnej kuchni. Przy stole mogłoby zasiąść kilkanaście osób. Pomieszczenie urządzone było nowocześnie, zachowano jednak fragmenty wystroju starego zamczyska. Chciałaby poznać jego historię, która mogła sięgać nawet czasów Maurów. Miała nadzieję, że zdarzy się stosowna pora na takie pogaduszki.

- Często się wszystkim, co jest w szafkach i w lodówce. Możesz zrobić sobie kanapki, Esperanza zostawiła też kilka dań do odgrzania w mikrofalówce. - I już go nie było.

Czy on zawsze jest taki opryskliwy? Ale zaraz przypomniała sobie, że jednak nie była tutaj gościem, tylko pracownikiem. Jak widać, pan Alvares tak właśnie traktował swoich podwładnych.

Wydawał się też bardzo podejrzliwy, choć zostawił ją samą w gabinecie. Rachel nie wiedziała, co myśleć o swoim szefie, musiała jednak przyznać, że myślenie o nim było czymś dużo przyjemniejszym niż roztrząsanie perfidnych posunięć ojca lub Paula.

Alvares Alvaresem, ale przede wszystkim powinna skupić się na realizacji swojego planu. Po pierwsze, musiała wybić Paulowi z głowy matrymonialne pomysły. Nie będzie to łatwe, bo razem z ojcem byli głusi na wszelkie argumenty. Następnie musiała zdecydować, co z mamą. Szukać jej czy nie? Ale bez niej w żaden sposób nie pozna prawdy.

Miała dosyć dominujących, zaborczych mężczyzn. Jeśli

kiedykolwiek się zakocha, to w kimś delikatnym i wrażliwym, kto dostrzeże w niej kobietę godną prawdziwego uczucia, a nie dziedziczkę fortuny. To będzie mężczyzna, dla którego pieniądze nie są najważniejsze, a liczyć się będzie tylko ona i rodzina, którą razem stworzą.

- Ale to nastąpi za miliony lat - dodała na głos. - W każdym razie najpierw muszę znaleźć mamę...

Mamę, o której do niedawna sądziła, że nie żyje.

SR

ROZDZIAŁ DRUGI

Luis wrócił do biura. Targały nim wątpliwości, czy słusznie postąpił, zatrudniając obcą osobę, ale faktem było, że potrzebował kogoś do pomocy. Nieubłaganie zbliżał się termin przekazania tekstu, a chciał mieć nad nim kontrolę do końca. Nie wyobrażał sobie, by mógł go wysłać do Nowego Jorku w rękopisie. Jeśli Rachel podoła zadaniu, to zdąży na czas. Jeśli podoła...

Może jednak powinien ją najpierw sprawdzić? Upewnić się, że naprawdę nie pracuje dla żadnej redakcji. Zaufał jednak swojemu nosowi. Miał nadzieję, że Rachel jest tym, na kogo wygląda - turystką, która dzięki czasowej pracy będzie mogła przedłużyć swój pobyt w Hiszpanii. Liczył też na to, że rodowitej Amerykance łatwiej będzie pracować z tekstem, w którym wielokrotnie posługiwał się slangiem. Miał tylko obawy, czy Rachel poradzi sobie z odczytaniem pisma. Nawet Maria, która miała długą praktykę, nieraz ślęczała godzinami nad pospiesznie nagryzmołonymi zdaniem.

Luis postanowił, że uczuli Esperanę, by miała oko na Rachel i unikała w rozmowach ważnych tematów. Gospośi ufał bez granic. Znała go od dziecka i traktowała niemal jak syna. Zawsze go wspierała, a kiedy zaczął odnosić suk-

cesy literackie, wprost puchła z dumy. Złagodniał, kiedy o niej pomyślał. Kochał ją. Niewiele było osób na świecie, o których mógłby powiedzieć to samo.

Wypadek Marii bardzo pokrzyżował mu plany. Może z Rachel uda się nadgonić stracony czas. Jeśli nie, będzie musiał zawieźć surowy tekst do wydawcy i zdać się na niego. Wiedział, że wydawca nie będzie protestował, bo ostatnia książka Luisa nie schodziła z list bestsellerów w Nowym Jorku przez pięć tygodni. Takie rozwiązanie to jednak ostateczność.

Jednocześnie musiał panować nad pozostałymi sprawami. Wielokrotnie marzył o tym, żeby zajmować się tylko pisaniem, ale nie mógł zrezygnować z zarządzania rodzinną firmą. Jutro miał poumawiane spotkania i liczył na to, że Rachel odda się pracy, a nie myskowaniu.

Nie mógł dojść do tego, jak Rachel dowiedziała się, że potrzebuje asystentki. Wytłumaczyła się jakimś przyjacielem. Czy ten „przyjaciel” ma imię i nazwisko? A przede wszystkim, kto szukałby pracy w takim zapadłym miasteczku? Może rzeczywiście Rachel jest na wakacjach, skończyły się jej fundusze, przypadkiem coś usłyszała i zastukała do bram zamku... ale wyglądało to bardzo podejrzanie. Wciąż zadawał sobie pytanie, kim jest Rachel Goodson i co tu robi. Jeśli jest reporterką, to dużej klasy, bo wspaniale się maskuje. Był gotów przysiąc, że szczerze się zakłopotą, kiedy oskarżył ją o poszukiwanie sensacji. Ale czy możliwe jest, żeby ktoś, kto czyta gazety i ogląda telewizję, nie słyszał o tragicznej miłości Luisa i Bonity?

Luis w to wątpił. Podejrzewał, że Rachel prowadzi jakąś grę. Postanowił uważnie przyglądać się swojej asystentce.

Jeśli potwierdzą się jego podejrzenia, Rachel pożałuje, że w ogóle dotarła do zamku. Pomyślał, że jeden błąd w życiu każdemu może się przydarzyć. Ale powtórka byłaby czystą głupotą.

Rachel przygotowała sobie omlet i zjadła go w samotności. Na deser pochłonęła dwa melony, następnie pozmywała naczynia i wybrała się na krótki spacer wokół posiadłości. Nie miała pomysłu, co z sobą zrobić. Do wieczora pozostało jeszcze kilka godzin. Książka, którą wczoraj kupiła, okazała się równie porywająca, co spis telefonów. Pomyślała, że może znajdzie gdzieś powieść szefa. Przy okazji mogłaby się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

Poszła do biura. Luis siedział przy biurku, lecz usłyszawszy jej kroki, odwrócił się i spojrzał na nią podejrzliwie.

Nie mogła się przełamać i wejść do środka. Miała uczucie, jakby brutalnie naruszała czyjąś prywatność.

- Szukasz czegoś? - Wstał z krzesła.

- Książki do poduszki. Pomyślałam, że może jakąś już opublikowałeś.

Jego podejrzliwy wzrok tylko ją zdenerwował. Skoro mi nie ufa, to dlaczego mnie zatrudnił? - pomyślała.

Czyżby wciąż ją podejrzewał, że pracuje dla gazety? Ale czego dziennikarka mogłaby tu szukać? Jak na razie Rachel nie zauważyła nic niezwykłego... poza samym Luisem Alva-
varesem oczywiście.

- Kilka opublikowałem. - Podszedł do szafki i otworzył ją.

Jej oczom ukazało się kilka półek zastawionych książkami. Wybrał jedną i podał jej.

Ze zdumieniem spojrzała na okładkę.

- To ty jesteś J.L. Allan?!

Nie odpowiedział.

- Czytałam twoje powieści, chyba wszystkie. Kocham tajemnicze historie. - Ponownie spojrzała na książkę, a na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech. - Cudownie, przeczytam kolejną, zanim jeszcze trafi do księgarń.

Luis nadal stał nieruchomo i milczał.

Zmieszana spojrzała na niego.

- O rany! To pewnie tajemnica? Przysięgam, że nie piszę słówka o treści. Możesz mi zaufać. - Nie mogła uwierzyć, że trzyma niewydaną jeszcze książkę jednego z lepiej sprzedających się autorów. - Nie miałam pojęcia, że jesteś Hiszpanem. To znaczy, że J.L. Allan nim jest.

- Moja matka jest Amerykanką. Rynek w Stanach jest dużo większy, więc książki tłumaczone są na hiszpański, nie odwrotnie. - Odwrócił się w stronę biurka. - Zazwyczaj tu nie piszę, więc nie będę ci przeszkadzał. Maria zaczynała pracę o dziesiątej i kończyła o szóstej. Czy te godziny ci odpowiadają?

- Jestem rannym ptaszkiem. Czy mogę zaczynać trochę wcześniej?

- Nie ma sprawy. Byle praca posuwała się do przodu. Tekst musi być przepisany w przyszłym miesiącu. Każdego dnia będę zabierał efekt twojej całodziennej pracy i naniósł poprawki.

- Jasne. - Bała się tylko jednego, a mianowicie czy poradzi sobie z hieroglifami Luisa.

Jednocześnie drżała z podniecenia. Niech no tylko jej znajomi dowiedzą się, dla kogo pracuje. W tym samym

momencie uświadomiła sobie, że nici z przechwalania się. Takie wiadomości szybko się rozchodzą i ojciec momentalnie by ją wytropił.

Czy praca dla J.L. Allana pomoże jej rozwiązać własne problemy? Zastanawiała się, czy mogłaby podzielić się z nim swoją tajemnicą. Odniósłby się do niej z pogardą czy raczej by pomógł? Za wcześnie było na ocenę. Uznała, że będzie czas, by prosić go o pomoc w odszukaniu matki. Najpierw musi być pewna, że sama tego chce. Grzebanie w przeszłości przynosi różne efekty. Rachel nie mogła być pewna, czy spodoba jej się to, co odkryje.

Kiedy następnego ranka weszła do kuchni, usłyszała jakieś głosy. Rachel zamierzała dać znać, że się zbliża, by rozmówcy mogli zmienić temat, jeśli należał do poufnych, gdy nagle zrozumiała, że to ona jest tym tematem. Mianowicie Luis nakazywał gospośi, by w kontaktach z panną Goodson zachowała najwyższą dyskrecję.

- A co tu ukrywać? - powiedziała Esperanza. - Wszystko jest w gazetach.

- Po prostu sama jej o tym nie opowiadaj - stwierdził Luis. - A jeśli będzie wypytywać, natychmiast mnie o tym powiadom.

- Ciekawość to nieodrodna cecha naszej płci - usłyszał w odpowiedzi. - Luis, najwyższy czas otrząsnąć się ze smutku. Jedź do Ameryki, świętuj wydanie nowej książki. Spotkaj się ze znajomymi, wymaż złe wspomnienia z pamięci, poznaj nową kobietę.

- Esperanzo, dobrze mi tak, jak jest. Nie chcę żadnych komplikacji w moim życiu. W porządku?

-Tak.

Rachel w ostatniej chwili zdążyła się cofnąć o krok. Kiedy Luis otworzył drzwi, sprawiała wrażenie, jakby właśnie wchodziła. Niewinnie, łagodnie uśmiechnęła się do niego.

- Dzień dobry.

Skinał tylko głową w odpowiedzi i już go nie było.

- Dzień dobry - przywitała ją gospościa, miło wyglądająca kobieta po sześćdziesiątce. - Nazywam się Esperanza. Domyślam się, że ty jesteś Rachel Goodson. Gdzie chcesz zjeść śniadanie?

- Najchętniej tutaj. A pan Alvares już jadł?

- Tak. Zazwyczaj wstaje przed świtem, żeby odpowiednio wcześniej dojechać do biura w Benidormie. Czy na początek podać kawę?

- Bardzo proszę.

Ciekawość narastała w Rachel. Co szef przed nią chce ukryć? Nie rozumiała też, dlaczego nie zawozi tekstu do przepisania asystentce w Benidormie.

- Z której części Stanów pochodzisz? - spytała Esperanza.

- Z Kalifornii.

- Tak? Byłam kiedyś w Hollywoodzie. Pojechałam tam z panią Bonitą niedługo przed jej śmiercią. - Gospościa posmutniała.

- Kim była Bonita? Matką Luisa? - Rachel zaraz sobie przypomniała, że Luis mówił o matce jak o żywej osobie. Zastanowiła się też, czy Esperanza poinformuje pana Alvaresa, że jego asystentka zadawała pytania.

- Och, nie. Jego matka ma się dobrze. Razem ze swoim

drugim mężem mieszkają w Cannes. Niedługo po tragedii wyszła ponownie za mąż i wyjechała z Ameryki.

- Jakiej tragedii?

Esperanza w zadumie postawiła talerz przed Rachel, mrużąc pod nosem, że wszystko mogło potoczyć się inaczej.

- Taka tragedia... - szepnęła prowokująco Rachel i skoncentrowała się na posiłku, mając nadzieję, że gosposia zdradzi coś więcej.

- Właśnie. Po śmierci Bonity wszyscy się obawiali, że Luis oszaleje ze smutku. Chodził wściekły, z nikim się nie spotykał. Bardzo się zmienił. Minęły już trzy lata, ale nadal cisza wypełnia ten zamek. Luis wciąż nosi żałobę. To niedobrze. Musi wrócić do życia. Musi znaleźć nową żonę. Mieć z nią dzieci.

Rachel nie potrafiła wyobrazić sobie Luisa tryskającego szczęściem. Przygnębienie i tajemniczość bardzo do niego pasowały. Bez powodzenia próbowała wyobrazić go sobie jako zakochanego amanta. Ale to straszne, że stracił żonę. Pewnie była bardzo młoda. Ciekawe, jak wyglądała, jaki miała charakter. Musiała być wyjątkowa, skoro Luis już trzy lata nosi po niej żałobę.

- Zarzeka się, że nigdy się nie ożeni. Ale jak w takim razie będzie miał dzieci? Kto inny wypełni ten dom śmiechem? - Gosposia pokręciła głową.

Bądź ostrożna, upomniała się Rachel. Pragnęła dowiedzieć się więcej, ale wstrzymywała się z zadawaniem pytań. Esperanza wspomniała coś o informacjach zawartych w gazetach. Musi wykorzystać to źródło. Spekulacje na temat życia Luisa odciągają ją od obsesyjnych rozmyślań o Paulu, ojcu i mamie.

Zjadła obfite śniadanie i zamierzała zabrać się do pracy. Podeszła do biurka, włączyła komputer i z ulgą stwierdziła, że Maria używała tego samego programu, na jakim Rachel pracowała w domu.

Nie w domu, tylko w Kalifornii, poprawiła się. Dom ojca przestała uważać za swój.

Szybko rozgryzła hieroglify Luisa. Pisał pospiesznie, stąd te wężyki zamiast ciągu liter, te dziwne skoki w górę i w dół, ale po żmudnym rozszyfrowaniu pierwszych akapitów nabrała prawdziwej biegłości. Wkrótce opowieść tak ją wciągnęła, że ledwie nadszała pisać. Zaczęła od fragmentu, na którym zatrzymała się Maria, i bardzo chciała poznać początek. Historia była pasjonująca.

- Wychodzę - odezwał się Luis, stojąc w drzwiach.

Podniosła wzrok znad notatek.

- Jedziesz do Benidormu?

Skinał głową, podszedł do Rachel i położył na biurku karteczkę.

- To mój numer do biura. Gdybyś miała z czymś problemy, dzwoń. Chciałbym, żebyś w pełni skoncentrowała się na tekście.

- Jasne.

A niby co innego miała do roboty? Czas mijał, a ona coraz mocniej pograżała się w opowieści. Ten facet był genialnym pisarzem. Nie ma się co dziwić, że jego książki cieszą się takim wzięciem. Nie mogła doczekać się kolejnych fragmentów historii.

- Wystarczająco dużo wysiłku kosztuje mnie zagonienie Luisa do kuchni, jeśli w ogóle jest w domu. Oczekiwałam,

że przynajmniej ty zejdiesz punktualnie na lunch - zganiła ją Esperanza.

Rachel podniosła głowę i zamrugła. Spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. A gdzie się podział cały poranek? Zrobiła sobie małą przerwę około dziesiątej, a poza tym pracowała non stop. Umiała bardzo szybko pisać na komputerze, ale tu wskazane było wolniejsze tempo. Musiała przecież bardzo uważać, by wyłapać wszelkie usterki interpunkcyjne, gramatyczne i stylistyczne. Po rękopisie widać było, że Luis pisał bardzo szybko, starając się nadążyć za myślami, różne niedokładności były więc nieuniknione.

Przeciągnęła się, by rozluźnić ramiona. Cała zeszywniała od siedzenia w jednej pozycji.

- Wybacz, Esperanzo. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno.

- Ci... nie zachowuj się jak Luis. Nie mam już tyle sił, żeby walczyć z wami obojgiem! - mruknęła gospoia. - Podałam lunch na tarasie. Przejdź się trochę albo zrób sobie prawdziwą sjęstę w łóżku, a dopiero potem wróć do pracy - dodała i zniknęła w kuchni.

- Na którym tarasie? - Rachel rozejrzała się po patio. Esperanzę już nie było, musiała więc poradzić sobie sama.

Zamek był większy, niż początkowo sądziła. Posiadał nie tylko dwadzieścia siedem sypialni, o których wspomniał Luis, ale co najmniej dwa salony, ogromną jadalnię, a także wiele innych pokoi i korytarzy, których jeszcze nie odkryła.

I to wszystko dla jednego człowieka?

Weszła do jadalni. Przez otwarte drzwi zauważyła na ta-

rasie okrągły stolik nakryty dla jednej osoby. Usiadła i zaczęła jeść. Sałatka z kurczakiem była przepyszna. Esperanza przygotowała też mrożoną herbatę.

Skończyła posiłek i wróciła do biura. Przerwa w pracy bardzo jej się przydała. Przepiękne widoki dodały jej sił. Czy Luis w ogóle to doceniał? Z relacji gosposi można było wywnioskować, że od śmierci Bonity nic go nie cieszy.

Pod koniec dnia ramiona mocno ją bolały. Miała też lekki ból głowy. Postanowiła przejść się trochę. Wokół panowała cisza. Spacer bardzo ją odprężył.

Kiedy wróciła do domu, gosposia skierowała ją ponownie na taras, na którym czekał już obiad. Zastała tam Luisa. Był pogrążony w lekturze gazety. Wstał, kiedy ją zobaczył, a potem wskazał krzesło.

- Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać - sumitowała się, zajmując wskazane miejsce. - Esperanza powiedziała, że obiad będzie o siódmej, a właśnie jest siódma. - Nie była pewna, czy wspólne posiłki z szefem to dobry pomysł. O czym będą rozmawiać?

- Wcale nie czekałem. - Odłożył gazetę na sąsiednie krzesło.

- Powieść jest fantastyczna. Tak mnie wciągnęła, że nawet nie zauważyłam, kiedy minął dzień. Gdzie mogę znaleźć pierwsze strony? Chciałabym poznać całość.

- No to się zaczęło - mruknął pod nosem.

- Co się zaczęło? - spytała zdziwiona.

- Nie zależy mi na pochlebstwach. Nie piszę po to, by jako wzięty autor romansować z kolejnymi fankami - rzucił ostro. - Mam poukładane życie i nie chcę nic zmieniać. Wykonuj swoją pracę, a kiedy wróci Maria, odejdz.

Patrzyła na niego oniemiała. Luis Alvares nie tylko był obsesyjnie podejrzliwy, ale również przekraczał wszelkie granice dobrego wychowania.

- Chwileczkę! - krzyknęła. - Po pierwsze, nie zamierzam ci schlebiać. Książka jest dobra, ale sam o tym wiesz, choćby patrząc na wyniki sprzedaży poprzednich tytułów. Po drugie, skąd pomyślała, że jestem zainteresowana jakimś romansem? Dla jasności, nie jestem. Chcę się cieszyć życiem. Nie mam ochoty na kłótnie. Lepiej będzie, jak zjem w kuchni. - Mówiąc to wstała i zabrała swój talerz.

- Nie, usiądź, proszę. - Przytrzymała ją za rękę.

Rachel zawahała się.

- Nie pozwolę, żebyś mnie obrażała - oświadczyła wyniośle.

- Przepraszam... - Zwolnił jej dłoń. - Wiem, że przesadziłem.

- Jak na pisarza powieści detektywistycznych, wyraźnie zawodzi cię przecucie. Nie przybyłam tu w poszukiwaniu wakacyjnej miłości. Po prostu potrzebuję tej pracy. Nic ponadto.

- Pracy, na którą nie masz pozwolenia.

- Pozwolenia? - Starła się nie okazać zdenerwowania.

- Do czasu opublikowania książki zostało jeszcze sporo pracy. Po wprowadzeniu całego tekstu do komputera będzie jeszcze wiele poprawek. Sprawdź w komputerze Marii folder o nazwie „Miasto”. To roboczy tytuł tej książki. Dokładnie „Nocne miasto”. Masz ochotę na ryż?

Rachel zastanawiała się, dlaczego Luis nie przejmuje się jej brakiem pozwolenia na pracę. Czyżby tak bardzo potrzebował asystentki? Szczerze w to wątpiła. Radził sobie

sam przez kilka ostatnich tygodni, poradziłby sobie i dłużej albo skorzystał z pomocy kogoś ze swoich pracowników w biurze.

Uniosła drżącymi dłońmi misę z ryżem. Miała nadzieję, że Luis nie zauważy jej zdenerwowania. Nałożyła sobie i zaczęła jeść.

Z czasem nerwowość zaczęła z niej ulatywać. Rozejrzała się dookoła, szukając tematu do niezobowiązującej rozmowy.

Stąd nie było widać morza. Patio otaczał dywan z kolorowych kwiatów. Drzewa osłaniały je przed popołudniowym słońcem. Przyjemnie było odpoczywać w takim otoczeniu. Rachel czułaby się jeszcze lepiej, gdyby była sama. Wolałaby jeść posiłki samotnie lub w towarzystwie Esperanzy. Czy gospoia po bliższym poznaniu bardziej się otworzy? Przecież Rachel nie była dziennikarką i nie miała zamiaru sprzedawać zasłyszanych historii. Była coraz bardziej ciekawa, dlaczego Luis ją o to podejrzewał. A może zamordował swoją żonę i bał się zdemaskowania przez wścibskich reporterów? Mało prawdopodobne. A więc jakie ciemne sekrety ukrywał?

- Opowiedz mi coś o sobie - zagadnął Luis po chwili.
- Jesteś tu na wakacjach, tak?

- Tak.

Można tak powiedzieć, dodała w myślach.

Nie spuszczać z niej wzroku, czekał na ciąg dalszy.

- Zawsze pragnęłam przyjechać do Hiszpanii. Studiowałam wprawdzie anglistykę, ale jako drugi kierunek wybrałam iberystykę i koniecznie chciałam wypróbować swoje umiejętności, jednak idzie mi tak sobie. Biegłe czy-

tam po hiszpańsku, piszę też swobodnie, lecz z mówieniem gorzej.

- To kwestia wprawy.

- Właśnie. Byłam w Segowii i Toledo, widziałam Granadę i Alhambrę. Chętnie byn tam zamieszkała na stałe. Pomyśleć, jak te miejsca musiały wyglądać w czasach swojej świetności.

- Bardzo romantyczne podejście...

- Wolę to niż cynizm - odparła, myśląc o swoim ojcu i Paulu.

- Uważasz, że jestem cyniczny?

Wzruszyła ramionami.

- Nie znam cię. Nie mieliśmy dotąd czasu, żeby porozmawiać... ale wydaje mi się, że owszem, jesteś cyniczny. Czyż mężczyźni nie są tacy z natury?

- Tylko ci, którzy widzą ten świat takim, jakim naprawdę jest.

Po takim dictum można albo wdać się w bardzo poważną filozoficzną dyskusję, albo zmienić temat. Wybrała to drugie.

- Gdzie chodziłeś do szkoły?

- Co? Szkoła? - Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Esperanza wspomniała przy śniadaniu, że twoja matka pochodzi z Iowy i że kończyłeś szkołę w Stanach. To dlatego tak biegle władasz angielskim.

- Co jeszcze powiedziała ci Esperanza? - Spojrzała na nią czujnie.

- Niewiele - wydukała, zdając sobie sprawę, że wpadła w pułapkę. Dlaczego nie może się nauczyć, żeby najpierw pomyśleć, a dopiero potem mówić?

- Jeśli chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć, pytaj mnie, a nie moją gosposię. - Głos miał zimny jak lód.

- O nic nie pytałam. Sama mi o tym opowiedziała. - Rachel bardzo nie chciała wpędzić gosposi w kłopoty, ale pewnie już to zrobiła.

- Och, na pewno wspomniała ci o śmierci mojej żony w wypadku samochodowym. A także o tym, że do dziś nie mogę się z tym pogodzić. - Ton jego głosu zdradził, że nie po raz pierwszy gosposia opowiadała obcym o tych wydarzeniach. Wstał i podszedł blisko do Rachel. Złość biła z jego oczu. - Jeśli interesuje cię coś poza pracą, lepiej od razu zacznij się pakować - wycedził wolno i wyraźnie.

- A jeśli tego nie zrobię? - rzuciła bardziej hardo niż zamierzała.

- Jest wiele sposobów, żeby zakończyć naszą współpracę. Pamiętaj o tym. - Spojrzał na nią przenikliwie.

Rachel zadrżała. Siła jego woli była porażająca. Z całą pewnością kochał żonę i za wszelką cenę starał się chronić pamięć o niej.

Przez chwilę zazdrościła tej kobiecie. Jak to jest być tak kochanym, co chwila odbierać dowody tak wielkiej miłości, wiedzieć, że mężczyzna zrobi wszystko, aby zapewnić ci szczęście?

- Przepraszam, jeśli posunęłam się za daleko. Nie podpytywałam Esperanzy o twoje prywatne życie i będę ucinać wszelkie takie rozmowy.

Napięcie nagle osłabło. Luis skinął głową i wrócił na swoje miejsce. Mimo wszystko Rachel czuła, że minuty ciągną się jak godziny. Pragnęła zakończyć ten posiłek i zo-

stać sama. Próbowała jeszcze coś zjeść, ale nic nie przecho-
dziło jej przez gardło.

Zastanawiała się, czy w ogóle powinna kontynuować tę
pracę. Tak, pomyślała, ale pod warunkiem, że Luis wresz-
cie jej uwierzy. Jeśli nadal będzie uważał ją za szpiega, odej-
dzie stąd niezależnie od tego, jak bardzo potrzebuje pie-
niędzy.

SR

ROZDZIAŁ TRZECI

Wkrótce na tarasie pojawiła się Esperanza i poinformowała Luisa, że ktoś czeka na jego telefon. Luis wstał i nie odezwał się do Rachel ani słowem, wszedł do środka. Rachel odetchnęła z ulgą, że ten posiłek we dwoje wreszcie dobiegł końca.

- Nie smakuje ci? Prawie nic nie zjadłaś - zmartwiła się gospoia.

- Jest przepyszne. Tylko że... rozmawialiśmy i nie miałam okazji zjeść.

Esperanza znacząco pokiwała głową i poszła do kuchni, zostawiając Rachel z jej myślami.

- No to pięknie - mruknęła pod nosem. - Wygląda na to, że podpadłam jednemu pracodawcy w Hiszpanii, który chciał mnie zatrudnić, nie dbając o pozwolenie.

Sięgnęła po półmisek. Wreszcie mogła spokojnie zjeść. Nieprzyjemne i agresywne zachowanie Luisa tylko podsycało jej ciekawość. Zastanawiała się, jaka była jego żona, jak wyglądało ich wspólne życie. Z pewnością płynęło jak w bajce i zupełnie nie przypominało małżeństwa z rozsądku, to znaczy zawartego w celach biznesowych, na co tak uparcie nastawał jej ojciec. Czy gdyby się zgodziła, kiedy-

kolwiek pokochałaby Paula? Czy raczej byłiby zawsze sobie dalecy?

A jak wyglądało małżeństwo jej ojca? Co spowodowało jego rozpad? I jak ojciec mógł okłamywać ją przez całe życie?

Z drugiej strony myśl, że matka przez dwadzieścia lat nie próbowała się z nią skontaktować, również rodziła wiele pytań. I ból.

Czy Rachel była jej jedyną córką? A może powtórnie wyszła za mąż i założyła szczęśliwą rodzinę u boku innego mężczyzny?

Rachel tak bardzo chciała znać odpowiedź na wszystkie te pytania, wiedzieć więcej o swojej rodzinie i o swym tajemniczym pracodawcy. Ojciec nie chciał nigdy nic powiedzieć o matce. Skwitował tylko krótko: „To dla ciebie prawdziwe szczęście, że jej nie znałaś”. Nie odpowiedział na żadne z licznych pytań, tylko wybuchał złością. Kiedy zaś Rachel znalazła dokumenty rozwodowe, był bliski furii.

Mogła zrozumieć niechęć rodziców do siebie. Nie rozumiała natomiast, jak matka może nie myśleć o własnej córce.

Następnego dnia z pewnym lękiem wkraczała do biura. Dziwnie się czuła po wczorajszej scysji przy obiedzie. Ponieważ Luis rozmawiał przez telefon, bez słowa usiadła na krześle i zabrała się do pracy. Piętrzył się przed nią stos kartek. Była to robota na wiele tygodni, mimo że szło jej całkiem nieźle. Może z czasem zwiększy tempo, ale wiedziała, że nie może z tym przesadzić, bo wtedy zaczną mnożyć się błędy. Tak to już jest, gdy się pracuje nad tekstem.

Jednak dziś nie posunie się zbyt daleko, bo obecność Luisa bardzo ją rozpraszała. Obserwowała go kątem oka. Odchylił się na krzesło, rozmawiał coraz głośniej i szybciej. Nie wszystko rozumiała, ponadto starała się nie podsłuchiwać. Trudno go było jednak zignorować.

Domyśliła się, że próbuje wykręcić się z jakiejś uroczystości. Próbowała wrócić do przepisywania tekstu, ale dziś szło jej to jak po grudzie.

Po chwili odłożył słuchawkę, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Nagle odwrócił się i spojrzał prosto na Rachel.

- Będę musiał wygłosić przemówienie na bankiecie w przyszłym tygodniu - powiedział gniewnie, jakby to była jej wina. - Mój przyjaciel jest burmistrzem w miasteczku i nalegał, żebym to zrobił. - Znowu przeszedł kilka kroków. - Odmówiłem mu już trzy razy. Tym razem powiedział, że mam ostatnią szansę, by się na mnie nie obraził. Wcale nie żartował.

Rachel uśmiechnęła się nieznacznie. Oto była świadkiem całkiem niezwykłego zdarzenia. Ktoś zmusił Luisa do czegoś, na co nie miał ochoty! Są jednak cuda na tym świecie...

Czekała, co powie dalej. Czyżby oczekiwał, że asystentka napisze mu przemówienie? Wolne żarty, przecież to on był pisarzem, a nie ona.

Podszedł do jej biurka.

- Chcę, żebyś towarzyszyła mi podczas bankietu.

- Oczywiście. Jeśli mnie potrzebujesz.

Po co mu była potrzebna? Żeby robić notatki? Lub scenicznym szeptem przypomnieć o jakimś spotkaniu, by mógł szybko opuścić zgromadzenie?

Omiótł ją spojrzeniem.

- Jeśli przyjdę na przyjęcie w towarzystwie, różne swatki i fanki zostawią mnie w spokoju. Taką mam w każdym razie nadzieję. - Wzruszył ramionami. - To będzie w najbliższy czwartek. Nie zamierzam zostać tam długo.

- W porządku.

Czy praca każdej asystentki obejmuje takie zadania? W każdym razie znajomi jej ojca często pojawiali się w takim towarzystwie, z czego nieraz rodziły się plotki. Ale rozumiała Luisa. Będzie mu służyć za tarczę przed innymi kobietami.

- Jaki strój obowiązuje? - Oczywiście nie miała w swojej walizce eleganckich kreacji.

- Swobodny. To nie jest oficjalne przyjęcie, tylko fiesta, parada, jedzenie z ulicznych budek, tłok, głośna muzyka i fajerwerki.

- Naprawdę musisz tam iść? Wyczuwam po twoim głosie, że nie jesteś miłośnikiem takich imprez.

- W tej okolicy są moje plantacje oliwek, w mieście żyje wielu moich robotników. Burmistrz oczekuje, że podziękuję im publicznie za ciężką pracę i zapewnię, że ten rok będzie lepszy od poprzednich. - Podniósł z biurka aktówkę. - Gdyby dzwonił Juan lub Julian, powiedz, że jestem w drodze do biura.

Rachel zjadła tego dnia obiad sama, bo Luis nie dotarł do zamku na czas posiłku. Ramiona i szyja mocno jej zeszywniały, ale kolejne strony upewniły ją, że powieść jest wprost pasjonująca. Znalazła przepisane przez Marię pierwsze rozdziały i wydrukowała je, by wieczorem je

przeczytać. Ich znajomość nie tylko zaspokoi jej ciekawość, ale również bardzo pomoże w pracy.

Jak co wieczór postanowiła dla relaksu przejść się wokół zamku. Zachodzące słońce oświetlało mury ciepłym światłem, a wieczorna bryza rozwiewała włosy Rachel. W ogrodzie było zacisznie. Doskonałe miejsce dla kogoś, kto się ukrywa, pomyślała.

Wkrótce będzie musiała pójść do miasteczka lub pojechać do Benidormu, żeby skontaktować się z Karoliną. Niestety komputer, na którym pracowała, nie miał połączenia z Internetem. Choć była wściekła na swego ojca, nie chciała, żeby się o nią martwił. Gdy tylko dotarła do Hiszpanii, wysłała mail do swojej najlepszej przyjaciółki, w którym prosiła o powiadomienie ojca, że u niej wszystko dobrze i że jest bezpieczna. Wiedziała, że stawia Karolinę w niezręcznej sytuacji, ale dla spokoju sumienia musiała tak postąpić.

Usiadła na ciepłym od słońca kamieniu i spojrzała w dół, na miasteczko. Powoli zapadał zmierzch, a w oknach domów zapalały się światła. Rachel myślała o rodzinach siadających do wspólnego posiłku. Rozmowy, omawianie planów, żarty... Zawsze marzyła, by tak kończył się jej dzień, lecz nigdy nie było jej to dane. Ojciec, wciąż zajęty interesami, rzadko jadał w domu, wracał bardzo późno. Kiedy była starsza, często mu towarzyszyła podczas biznesowych kolacji czy przyjęć, ale nigdy nie spędzali z sobą czasu dla przyjemności. Wspólne wyjścia zawsze związane były z interesami. Ojciec dzięki inteligencji i ciężkiej pracy dorobił się ogromnego majątku, ale czy wiedział, ile zarazem stracił?

- Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz - odezwał się Luis, wychodząc z ciemności.

- Tu jest tak cicho i spokojnie. - Wciąż patrzyła na światła w miasteczku.

Poszedł za jej wzrokiem.

- Podczas fiesty całe miasteczko rozbłyśnie. Wokół drzwi, okien i wzdłuż ulic lampiony, no i fajerwerki... Sprawiają niesamowite, wprost magiczne wrażenie.

- Oglądasz pokazy sztucznych ogni z zamku?

- Zwykle tak robiłem.

- Teraz jednak obejrzymy je w mieście, prawda?

- Tak, chyba że wcześniej wrócimy.

Oparł się o kamień, na którym siedziała. Ubrany był na czarno. Z powodu żałoby czy też lubił ten kolor? - zastanawiała się.

- Rachel, opowiedz mi coś o sobie.

Zawahała się. Dlaczego ponownie o to pytał? Miała nadzieję, że poprzednia odpowiedź wystarczająco zaspokoiła jego ciekawość.

- Nie mam wiele do dodania. Urodziłam się i dorastałam w Kalifornii, a teraz przyjechałam do Hiszpanii.

- I pracujesz tu bez pozwolenia.

- To prawda, choć gdybym złożyła podanie, pewnie bym je otrzymała.

- Przyjechałaś tu na wakacje?

- Zakochałam się w Hiszpanii i postanowiłam zostać tu tak długo, jak to możliwe.

- Coś mi się wydaje, że nie mówisz całej prawdy - powiedział łagodnie.

Trafiłeś, chciała powiedzieć, ale się powstrzymała. Męż-

czyżni zwykle są solidarni, Luis mógłby więc nalegać, żeby zadzwoniła do ojca albo sam by się z nim skontaktował.

- Doszukujesz się zagadek tam, gdzie ich nie ma - rzuciła lekko. - Jak tworzysz fabuły swoich książek?

- Nikogo nie morduję, by wczuć się w psychikę zabójcy - stwierdził cierpko.

- O rany! - Roześmiała się. - Skąd taki pomysł?

- Mój amerykański wydawca zasugerował coś takiego. Wciąż podejrzewa, że mam na sumieniu niejedną zbrodnię, bo inaczej moje powieści nie byłyby tak bardzo wiarygodne.

- Z tego wnioszek, że największym seryjnym mordercą w historii świata była Agata Christie.

- No właśnie, najpierw trup, potem powieść. - Zachichotał. - Mój wydawca jest świetnym biznesmenem, ale jako czytelnik należy do tych naiwniaków, którzy nie zawsze odróżniają prawdę od fikcji. Najważniejsze, że dobrze nam się współpracuje.

- O to raczej nietrudno, skoro twoje książki opanowały duży segment rynku. Każdemu wydawcy zależałoby na takim autorze. Zresztą nie chodzi tylko o to, że twoje powieści świetnie się sprzedają. Tak samo ważne jest to, że ciągniesz za sobą innych pisarzy.

- Tak? A w jaki sposób?

- Książka to nie tylko dobro duchowe, ale również towar, a na wartość towaru składa się między innymi marka. Im bardziej rozpoznawalna i ceniona przez odbiorców, tym lepiej dla sprzedaży. Wydawca dzięki twoim bestsellerom zwiększa wartość swojej marki, a więc tym samym rośnie sprzedaż innych jego produktów... czyli książek.

- Myślałem, że jesteś filologiem. Czyżbyś studiowała ekonomię?

- Nie, ale sporo nauczyłam się od ojca - odparła z ociąganiem.

- Czym on się zajmuje?

- Jest biznesmenem...

- W jakiej branży działa? - drażył nieustępliwie.

Gorączkowo myślała, jak zmienić temat. Gdy cisza przeciągnęła się ponad miarę, Luis rzucił z lekkim rozba-
wieniem:

- Dam ci radę. Jeśli nie chcesz otaczać się aurą tajemnicy i tym samym wzbudzać niezdrowego zainteresowania u innych, powinnaś mieć gotowe odpowiedzi na różne pytania. Nie muszą być zgodne z prawdą, ale niech brzmią jak najbardziej wiarygodnie. To pierwsza zasada kłamcy.

- Uśmiechnął się lekko. - Ponieważ ją jednak złamałaś, teraz wprost umieram z ciekawości, czym zajmuje się twój ojciec. - Spoważniał. - Czy to, że nie chcesz o tym mówić, wynika z tego, że nie jesteście blisko?

- Można tak to określić.

- W ogóle wie, że tu jesteś?

- U ciebie czy w Hiszpanii?

- Kontaktujesz się z nim od czasu do czasu? Wie, że żyjesz i nic ci nie zagraża?

Zawahała się przez chwilę.

- Prawdę mówiąc, moje prywatne sprawy nie powinny cię obchodzić.

- Ponieważ mieszkasz u mnie, interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

- Zatrudniłeś mnie na kilka tygodni, to po pierwsze.

A po drugie, jak widzę, muszę sobie znaleźć jakieś lokum w miasteczku. A teraz dobranoc.

Ruszyła w stronę drzwi, mając nadzieję, że nie pójdzie za nią. No i co z tego, że Luis umierał z ciekawości. Niech sobie umiera. Miała swoje zadanie i nie obchodziło jej, co myśli sobie jakiś tam Luis Alvares czy jej ojciec.

Pobyt w Hiszpanii opóźniał poszukiwania matki. Powinna była zacząć je w chwili, kiedy dowiedziała się, że matka żyje. Z drugiej jednak strony wcale nie wiedziała, czy chce ją znaleźć.

W końcu wcale nie muszę się z nią spotykać, pomyślała. Mogę ją tylko odszukać.

Cała ta sytuacja bardzo ją męczyła. Chciała z kimś o tym porozmawiać, podzielić się wątpliwościami. Ale nie wiedziała, komu może zaufać.

Luis patrzył za Rachel. Kiedy zniknęła mu z oczu, odwrócił wzrok w stronę świateł miasteczka. Miała rację, że nie powinien się nią interesować, ale po raz pierwszy od kilku lat ktoś inny naprawdę go zaciekawił. Jej blond włosy były niczym promień słońca rozświetlający mrok nocy, a niebieskie oczy miały elektryzującą moc. Czuł się tak, jakby po trzech latach spędzonych w celi ktoś wyprowadził go na światło dzienne. Nie rozumiał jeszcze, dlaczego, ale wiedział, że chce z nią rozmawiać, chce więcej o niej wiedzieć. Słuchać jej hiszpańskiego, którego najpewniej nauczyła się od kogoś, kto pochodził z Meksyku, co rozpoznawał po charakterystycznym akcencie.

Podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła. Nie było w tym nic z seksownego, zachęcającego do flirtu spój-

rzenia Bonity. Nic z pełnego oddania i uwielbienia, a zarazem nieszczerego spojrzenia fanek, które spotykali z Bonitą podczas trasy promującej książkę w Ameryce.

Od śmierci Bonity skutecznie unikał wszelkich kontaktów z ludźmi. Może najwyższa pora, jak mawiała Esperanza, by to zmienić.

Chodziło mu tylko o to, by normalnie ułożyć stosunki ze swoją asystentką. Uznał jednak przy tym, że poskładaanie różnych informacji o Rachel Goodson może dać mu ciekawy obraz kobiety, która coś ukrywa. Bardzo chciał się dowiedzieć, co to jest.

Zapewne nie była dziennikarką - w każdym razie nie taką, z jakimi dotąd się spotykał. Kilkakrotnie powiedziała miłe rzeczy o jego twórczości i odnosił wrażenie, że mówiła szczerze.

Spojrzał w dal. Ta ziemia od pokoleń należała do jego rodziny. Mimo iż stracił ojca bardzo wcześnie, zdążył zaszcześcić w nim miłość i odpowiedzialność za rodowy majątek.

Kiedy ta odpowiedzialność stała się dla niego takim ciężarem? Czy to się zbiegło w czasie ze śmiercią Bonity? A może nastąpiło już wcześniej, kiedy pragnął wyjechać z Hiszpanii i nigdy więcej tu nie wrócić?

Zastanawiał się, z której części Kalifornii pochodzi jego tajemniczy gość, próbował też dociec, dlaczego Rachel nie chciała mówić o swoim ojcu.

W jej oczach pojawiał się czasem ogień. Przyłapał się na tym, że w myśli prowadzi z nią śmiałą, pozbawioną wszelkich tabu rozmowę o tym spojrzeniu. Czy podobny ogień miałyby w oczach, gdyby ją pocałował?

Ta myśl bardzo go wystraszyła. Czyżby życzenie Esperanzy miało się spełnić? Być może mógłby trochę otworzyć się na innych ludzi... na Rachel. Ale czy aż tak bardzo, by zaprosić tę uroczą kobietę do łóżka?

Tak dawno już nie flirtował z pięknymi kobietami, miał jednak nadzieję, że tego nigdy się nie zapomina. Czy Rachel zgodziłaby się na romans? Czyste zasady: żadnych zobowiązań i deklaracji, miłość jest wykluczona. Tak bardzo nie mógłby się ponownie zaangażować. Poza tym Rachel wyjedzie, jak tylko Maria wyzdrowieje.

Zaproszenie na fiestę mogłoby być dobrym początkiem. Postara się, żeby ten wieczór był dla Rachel jak najprzyjemniejszy, a potem zobaczy, jak się sprawy potoczą.

Ona też raczej nie pragnie się zaangażować. Jest tu tylko na wakacjach. Może jednak romans z Hiszpanem uzna za atrakcyjną przygodę, o której będzie mogła potem plotkować w Kalifornii z przyjaciółkami.

Wracał powoli do zamku, rozważając różne możliwości. Jutro rano sprawdzi, czy Rachel jest zainteresowana tym pomysłem.

Podczas śniadania Rachel starała się za wszelką cenę, aby rozmowa z Esperanza dotyczyła jedynie neutralnych tematów. Nie zamierzała znów podpaść Luisowi.

- Czy w mieście jest biblioteka? - zapytała.

- Nie, ale jest księgarnia niedaleko kawiarni. Mają tam trochę książek dla turystów, ale wszystkie są po hiszpańsku. Anglojęzyczna księgarnia znajduje się w Benidormie.

- A może jest gdzieś kawiarenka internetowa?

- W Benidormie, obok biblioteki.

Nie chodziło jej o książki, tylko o stare roczniki gazet. Chciała się dowiedzieć, co prasa pisała o śmierci Bonity Alvares.

To było trzy lata temu. Sporo czasu. Jakiego miesiąca powinna szukać? Żałowała, że nie ma więcej informacji.

- Czy jest jakiś autobus do Benidormu? - spytała. - Najpewniej jutro będę miała wolne, więc chciałabym się wybrać na wycieczkę.

- Jest jeden autobus, ale rusza o świcie. Lepiej poproś Luisa o samochód. W garażu stoją trzy.

- Trzy samochody?

- Jeden jest jego, drugi jego matki. A ja korzystam z trzeciego.

Niedługo potem weszła do biura i przywitała się z Luisem. Wokół niego leżało mnóstwo książek, był pogrążony w lekturze. Czyżby nie wybierał się do Benidormu?

- Szukasz jakichś informacji? - spytała.

- Muszę kogoś otruć. Szukam trucizny, której nie sposób wykryć - mruknął.

- Aha... No to powodzenia. - Uśmiechnęła się lekko i zabrała do pracy.

Przez chwilę jednak myślała o fenomenie Luisa. Był biznesmenem, i to na pewno dobrym, bo to się po prostu czuło. Miał te cechy, które posiadał jej ojciec i jego odnoszący sukcesy w interesach znajomi: bystrość, twardość, zdecydowanie, a także charyzmę. Zarazem jednak z całym zaangażowaniem oddawał się twórczości literackiej. To zupełnie nie pasowało do wizerunku, a jednocześnie wzbudzało w Rachel prawdziwy szacunek i podziw.

Poranek minął niepostrzeżenie. Zerkała od czasu do

czasu na Luisa, ale był całkowicie pochłonięty lekturą. Robił notatki, zaglądał do różnych książek i zdawał się jej nie zauważać.

Kiedy zerknęła na niego kolejny raz, ich spojrzenia nagle się spotkały.

- Masz jakieś pytania? - zapytał.

- Nie, po prostu muszę sobie zrobić przerwę. - Wstała i przeciągnęła się. - Nie musisz dziś jechać do Benidormu?

- Nie.

- Więc nie jeździsz tam codziennie?

- Nie. - Zamknął książkę. - Chyba i mnie przyda się krótki spacer.

- Świetnie.

- Czytanie o najgorszych truciznach i o tym, jak działają, jest dość męczące.

- Pisanie chyba jeszcze bardziej?

- Ja wiem? Najbardziej pracochłonne są te wszystkie przygotowania, sprawdzanie szczegółów, jak choćby z tą trucizną, natomiast fabuła powstaje w mojej głowie podczas spacerów, przed snem... no, kiedy tylko się da pomyśleć w ciszy i skupieniu, czyli w absolutnej samotności. A gdy już wszystko, do ostatniej sceny, ułożę sobie w głowie, pozostaje to tylko zapisać. Zapełniam puste kartki gotowym, przetrawionym tekstem. Mogę to robić wszędzie, na przykład w samochodzie. Dlatego zresztą zatrudniam kierowcę. Czasem biorę dzień wolny, żeby popracować w zamku albo w pewnym innym miejscu, jeśli tylko pogoda dopisuje. Potem przekazuję rękopis Marii do przepisania i zredagowania, na koniec przeglądam wydruk i nanoszę ostatnie poprawki.

- A gdzie jest to „inne miejsce”?

Zawahał się przez chwilę, potem skinął głową w stronę ścieżki.

- Chodź, pokażę ci.

Szła obok niego, kiedy wspinali się po zboczu za zamkiem. Patrzyła kątem oka na Luisa, zastanawiając się, czy ktoś go nie podmienił. Zachowywał się zupełnie inaczej niż w ostatnich dniach. Można było nawet powiedzieć, że jest miły.

Gdy doszli na miejsce, rozejrzała się dookoła i zamarła z zachwytu. Widok zapierał dech w piersi. Przed nią było morze, wokół gaje oliwne, a na horyzoncie piętrzyły się góry.

- Niesamowity widok.

- Tam jest mój domek. - Wskazał niewielką budowlę.

Kiedy Rachel weszła do środka, zobaczyła stolik, na którym leżał notes i kilka ołówków. Obok stały dwa krzesła i obszerny szezlong. Cudowne otoczenie, sielska chatka... Jak w tym pięknym miejscu mogą powstawać tak mroczne historie? - zastanawiała się.

- Jak w ogóle możesz tu pracować? Ja nic bym nie robiła, tylko delectowała się tym widokiem.

- Dla ciebie to nowość, a ja się tu wychowałem, więc zachwycam się tym pejzażem tylko od czasu do czasu. - Uśmiechnął się. - Zresztą kiedy pracuję, całkowicie się wyłączam.

- Tak, oczywiście. To, co powiedziałam, było bardzo naiwne, ale nie wiem, ile lat musiałyby upłynąć, żebym uznała te widoki za coś zwyczajnego.

- Możesz tu przychodzić, kiedy tylko chcesz.

- Naprawdę? - Nie spodziewała się aż tak miłego gestu.
- Dziękuję.

- Mój dom jest twoim domem - powiedział z niespodziewaną czułością.

Wzięła głęboki wdech i wykorzystując jego dobry humor, odważyła się zapytać:

- Mogę pożyczyć jutro samochód? Chciałabym pojechać do Benidormu. Bo weekendy mam wolne, prawda? Chciałabym trochę pozwiedzać.

- Możesz korzystać z auta, kiedy tylko chcesz. Zresztą chętnie jutro sam cię zawiozę do Benidormu. Poznasz drogę i później nie pobłądzisz.

- Nie chciałabym sprawiać ci kłopotów... - Wcale nie zamierzała spędzać z Luisem więcej czasu, niż to konieczne.

- Ależ to żaden kłopot. I tak muszę jutro tam jechać. Wyruszam o ósmej. Czy to nie za wcześnie dla ciebie?

- Nie, w porządku. Wrócę autobusem.

- Nonsens! Przywiozę cię z powrotem.

-Ale...

- Nalegam. - Nawet kiedy starał się być miły, nie znoślił sprzeciwu.

Rachel początkowo chciała się z nim spierać, ale zmieniła zdanie. Dlaczego miałyby się nie zgodzić na tę podróż? No, był jeden powód. Jeśli Luis nadal jej nie ufał, być może będzie starał się odgadnąć, jaki jest cel jej wizyty w mieście. A może tylko ją podwiezie, a potem wróca o określonej godzinie?

- Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony. - Uśmiechnęła się.

Wpatrywał się w nią uważnie. Poczwała, że serce bije jej coraz szybciej, a ciało wypełnia ciepło.

- Lepiej będzie, jeśli już pójdę do zamku. - Głos jej mimowolnie zadrżał.

Dlaczego była tak zdenerwowana? Przecież zaoferował tylko podwiezienie do miasta, a nie małżeństwo.

Zaczęli schodzić po zboczu i wkrótce znaleźli się na tarasie.

- Dziękuję, że pokazałeś mi to miejsce.

Zatrzymał się i odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. Serce Rachel znów mocno zabiło.

Czy to się dzieje naprawdę? - zastanawiała się.

- Pójdę się odświeżyć przed obiadem - powiedziała, pragnąc zakończyć tę niezręczną sytuację.

Punktualnie o ósmej następnego ranka była gotowa do drogi. Gdy zeszła ze schodów, Luis czekał na nią w holu.

- Dzień dobry - powitała go.

- Dobrze spałaś?

- Jak niemowlę. - Prawda była taka, że długo nie mogła zasnąć. Zbyt wiele myśli kołatało jej w głowie. - A ty?

- Jak zawsze. Nie potrzebuję dużo snu. - Otworzył drzwi. - Samochód czeka. Esperanza powiedziała, że nie jadłaś śniadania. Chcesz coś zjeść, zanim wyjdziemy?

- Nie, dziękuję. Wstąpię gdzieś w mieście.

- Zawieź cię w konkretne miejsce, czy po prostu chcesz sobie pochodzić po Benidormie?

- Najlepiej, jakbym mogła wysiąść gdzieś w centrum. Zacznę zwiedzanie od jakiejś kawiarni.

A konkretnie od kawiarenki internetowej, dodała w myślach. Przyświecał jej ważny cel.

Przed zamkiem czekał na nich czarny kabriolet. Uśmiechnęła się. Pogoda była doskonała na przejażdżkę. Będzie się delectować podmuchami ciepłego wiatru na twarzy i uczuciem wolności, jakie daje szybka jazda odkrytym samochodem.

Luis ruszył pomału w dół zbocza. Styl jego jazdy zdecydowanie różnił się od sposobu, w jaki prowadził samochód taksówkarz, który ją tu przywiózł. Czuła się zupełnie bezpieczna.

Starła się zachowywać naturalnie, ale nie było to łatwe, gdy Luis siedział tak blisko niej. Patrzyła ukradkiem na jego profil, ciemne włosy i czarny, nienaganny strój. Nie widziała jego oczu, gdyż założył okulary przeciwsłoneczne, ale wyobrażała sobie ich głębię i blask.

- Jeśli sprawy zawodowe zatrzymają cię na cały dzień, naprawdę mogę wrócić autobusem.

- Powiedziałem, że cię odwiozę. Ile czasu zamierzasz spędzić w Benidormie?

- Ja wiem? Chcę się trochę powłóczyć po mieście, to wszystko.

- Jest kilka miejsc wartych obejrzenia. No i plaża jest wspaniała.

- Nie zabrałam kostiumu kąpielowego. Spacer po mieście mi wystarczy.

Nie odezwał się już ani słowem. Droga do Benidormu nie była ani trochę skomplikowana. Cały czas jechali wzdłuż morza. Każdy trafiłby bez problemu.

Po półgodzinie Rachel miała dość tej ciszy.

- Opowiedz mi o uprawie oliwek. - Miała nadzieję, że taki temat zajmie Luisa do końca podróży.

- Co dokładnie chciałabyś wiedzieć?

- Wszystko. Czy sprzedajesz oliwki, czy też najpierw przerabiasz je na oliwę? Kiedy są zbiory i jak wyglądają? Czy są zmechanizowane, czy wykonywane ręcznie? Czy masz własną rafinerię, czy może ktoś inny przetwarza twoje oliwki? Dlaczego w ogóle to robisz, skoro jesteś słynnym pisarzem?

Zerknął w jej stronę.

- Uprawa oliwek jest rodzinnym biznesem od kilku pokoleń i przechodzi z ojca na syna. Teraz ja prowadzę interes.

- Lubisz to robić?

- Nie tak bardzo jak pisać.

- Więc dlaczego to robisz?

- Jestem jedynym synem, więc musiałem przejąć zarząd nad koncernem. Moja siostra ma inne zainteresowania.

- No więc co robisz z tymi oliwkami?

Dalsza część drogi upłynęła im na rozmowie o wieku drzew, metodach zbioru i wyciskania oliwy z oliwek.

Kiedy dotarli do miasta, ruch się nasilił. Rachel wysiadła przy jednym z największych placów, otoczonym przez stare, urocze kamieniczki.

Poczekwała, aż Luis odjedzie, a potem spytała policjanta, gdzie znajduje się najbliższa kawiarenka internetowa.

Najpierw sprawdziła swoją kalifornijską skrzynkę z wiadomościami i znalazła list od Karoliny. Przeczytała w nim, że ojciec próbuje ją odnaleźć. W odpowiedzi poprosiła przyjaciółkę, by zapewniła go, że u niej wszystko w porząd-

ku, ale nadal jest na niego zła i nie chce się z nim kontaktować osobiście.

Nie mogła się powstrzymać i dopisała też o swojej pracy dla J.L. Allana, prosząc, aby zachowała tę wiadomość w tajemnicy. Wiedziała, że Karolina także czytała jego książki.

Następnie wpisała w wyszukiwarce hasło: „Loretta Goodson”. Komputer wyświetlił kilka odpowiedzi. Sprawdziła każdą, ale żadna nie dotyczyła osoby, której szukała.

Pomyślała, że jeśli nie zdoła nic znaleźć, wynajmie prywatnego detektywa. Musiała odszukać matkę, choćby po to, by dowiedzieć się, dlaczego nie kontaktowała się z córką przez ponad dwadzieścia lat. Zarazem jednak nie wiedziała, czy chce poznać prawdę.

Już miała zamiar wyłączyć komputer, ale zmieniła zdanie. Tym razem wpisała do wyszukiwarki internetowej hasło „J.L. Allan”. Wyświetliła się długa lista odpowiedzi. Pierwsza dotyczyła jego książki wydanej ostatnio w Stanach, doskonałych wyników sprzedaży i objawów histerycznego nieraz zainteresowania autorem przez czytelników, a mówiąc dokładnie - przez czytelniczki.

Wreszcie natknęła się na imię Bonita. Był to fragment artykułu dotyczącego tragicznego wypadku. Zdała sobie sprawę, że biblioteka nie będzie jej potrzebna, bo wszystkie informacje znajdzie tutaj.

W feralny deszczowy wieczór Bonita jechała samochodem. Na jednym z ostrych zakrętów wypadła z drogi. Samochód przekoziołkował, a Bonita zginęła na miejscu. A także jej nienarodzone dziecko.

Rachel nie była w stanie wyobrazić sobie, jak musiał czuć się Luis, gdy dotarła do niego ta wiadomość.

Czytała kolejne artykuły, niektóre także po hiszpańsku. W jednym z nich sugerowano, że Luis miał coś wspólnego ze śmiercią Bonity. Zarzucano mu, że ciągle był nieobecny w domu i nie zajmował się należycie żoną. Niemal oskarżano go o morderstwo!

SR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Luis poprawił okulary przeciwsłoneczne i oparł się o budynek. Ukrywanie się za gazetą wydawało mu się głupie, choć tyle razy wykorzystywał ten pomysł w swoich książkach. Gdyby jednak Rachel go zobaczyła, nie wiedziałaby, jak się wytłumaczyć.

Do tej pory śledzenie jej było dość nudne. Najpierw spytała policjanta o drogę i weszła do małej kawiarni po drugiej stronie ulicy. Siedziała w środku już ponad godzinę. Ile czasu można samotnie pić kawę? Co ona tam robi? A może z kimś się umówiła? Z kimś, kto pracuje w gazecie, i teraz przekazuje mu informacje o swoim pracodawcy? Nie bardzo w to wierzył, ale...

Co chwilę nerwowo zerkał na zegarek.

Jeśli nie wyjdzie stamtąd w ciągu pięciu minut, to pójdę tam i sprawdzę, co ona robi, postanowił.

W tym momencie Rachel pojawiła się w drzwiach kawiarenki. Słońce ją oślepiło, więc szybko założyła okulary słoneczne. Trudno było rozpoznać, w którą stronę patrzy, ale Luis miał nadzieję, że go nie zauważyła.

Poszła w dół ulicy, oglądając wystawy sklepów. Przeszła skrzyżowanie i wolno ruszyła dalej - jak ktoś, kto przecha-

dza się bez wyraźnego celu. Coraz bardziej rozdrażniony Luis podążył za nią.

Po co tu przyjechała? - zastanawiał się. Spacerować mogła wokół zamku, tam jest jeszcze ładniej. Mogła też pozwiedzać miasteczko u stóp wzgórza. A w czasie, który spędziła w kawiarni, Esperanza zaparzyłaby jej dziesięć kubków kawy.

Około południa Rachel zaczęła zatrzymywać się przy spisach potraw, wystawionych przed restauracjami.

- Wystarczy - mruknął Luis i zawołał, udając zdumienie: - Rachel?

- Luis? Co ty tu robisz? Już skończyłeś pracę? Twoje biuro jest tu gdzieś blisko?

- Jestem już wolny. Podrzucić cię do innej części miasta?

- Jakie wspaniałe są te stare budynki. Wiele z nich musi mieć fascynującą historię.

- Jadłeś już obiad?

- Jeszcze nie.

- Więc cię zapraszam. - Wsunął rękę pod jej ramię i poprowadził na drugą stronę ulicy. - Kilka przecznic stąd jest moja ulubiona restauracja.

- Nie ma potrzeby...

- Myślę, że ci się spodoba. Zjemy paellę. Próbowełaś kiedyś?

- Tak, kiedy kilka lat temu przyjechałam do Andaluzji. Smakuje wybornie.

- Carlos jest mistrzem kuchni. Co do tej pory robiłaś? Cały czas spacerowałaś?

- Nie, trochę czasu spędziłam w kawiarence internetowej, żeby napisać listy do przyjaciół.

- Dlaczego nie zrobiłaś tego w zamku?
- Nie ma tam dostępu do sieci.
- W komputerze Marii nie ma, ale mój laptop ma połączenie z Internetem.

- Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli skorzystam z niego od czasu do czasu?

- Oczywiście, że nie. Często wchodzę do Internetu, kiedy szukam informacji.

Jeśli Rachel skorzysta z jego komputera, to będzie mógł sprawdzić, z jakimi stronami się łączyła, i rozszyfruje jej intencje. Chciał jej ufać, ale musiał być ostrożny.

Restauracja była mała i zatłoczona. Luis wskazał na pusty stolik i ruszył w jego kierunku. Kiedy usiedli, ich kolana zawadziły o siebie delikatnie.

Zdjął okulary słoneczne i spojrzał na nią. Rozglądała się dookoła, wyraźnie unikając jego spojrzenia.

Złożyli zamówienie, a czekając na realizację, popijali wino.

- Jak to się stało, że zacząłeś pisać kryminały, które są wydawane na amerykańskim rynku, skoro mieszkasz tutaj?

- Spędziłem sporo czasu w Stanach przed śmiercią mojego ojca. Moi rodzice rozstali się, kiedy byłem mały. Nie było formalnego rozwodu, ale spędziłem większość szkolnych lat z mamą. Na wakacje przyjeżdżałem do Hiszpanii. Pierwszą książkę napisałem w Stanach, lecz po śmierci ojca wypełniłem jego wolę i przeniósłem się tutaj.

- Jeździsz do Stanów promować swoje książki?

- Zrobiłem to tylko raz.

Kelner podał ich zamówienie. Zabrali się do jedzenia,

zapadła cisza. Luis przypomniał sobie promocje swoich książek. Nie lubił rozmawiać z obcymi ludźmi o tym, co napisał i odpowiadać na ich dziwne pytania. Nie lubił spojrzeń, jakimi obdarzali mężczyźni Bonitę, kiedy mu towarzyszyła, ani nacisku, jaki na niego wywierała, aby więcej udzielał się w mediach.

Te czasy wydały mu się bardzo odległe. Nie był w Ameryce już od trzech lat i wcale do niej nie tęsknił.

Rachel zastanawiała się, czy Luis myśli o żonie. Jak to możliwe, by ktokolwiek zarzucał mu, że miał związek z jej śmiercią? Nigdy nie spotkała nikogo, kto byłby podejrzany o morderstwo. Ciekawiły ją szczegóły śmierci Bonity, ale nie mogła się zdradzić, że czytała artykuł.

Aby odwrócić myśli od tego tematu, zaczęła opowiadać o Kalifornii, surfingu i jeździe na nartach. Luis słuchał z zainteresowaniem, ale chwilami Rachel się zdawało, że odbiegał gdzieś myślą.

- Smakowało ci? - zapytał, kiedy odłożyła sztuce.

- Bardzo, dziękuję ci.

Przez całe spotkanie Luis był czarujący - zupełnie inaczej niż w pierwszym dniu ich znajomości.

- Cieszę się. Chcesz jeszcze pozwiedzać Benidorm? Chętnie cię zaprowadzę w takie miejsca, gdzie turyści na ogół nie docierają, a są warte zobaczenia.

- Na dzisiaj mam już dość zwiedzania. Jeśli masz jeszcze coś do załatwienia, to poczekam w jakiejś kawiarni.

- Nie mam już tu nic do roboty. Więc jak, wracamy do zamku?

- Tak, oczywiście.

Gdy wyszli z restauracji, zapytała:

- Daleko zaparkowałeś?
- Kilka przecznic stąd. Weźmiemy taksówkę.
- A może się przejdziemy?
- Z przyjemnością.

Kiedy szli wzdłuż ulicy, Rachel niby oglądała wystawy sklepowe, ale tak naprawdę zastanawiała się, czy Luis faktycznie byłby zdolny do zamordowania żony. Żałowała, że w ogóle przeczytała ten artykuł. Teraz nie mogła przestać o tym myśleć. Luis był dla niej wyjątkowo miły. Czyżby chciał się zaprzyjaźnić? A może wcześniej był po prostu w złym humorze, a obecnie zachowuje się tak, jak ma to w zwyczaju? Bardzo chciała, żeby taki już pozostał.

Kolejne dni upływały szybko. Rachel coraz sprawniej przepisywała teksty, zabawiała się też w zgadywanie, jak potoczą się losy bohaterów. Z drugiej strony nie dawała jej spokoju myśl, że Luis mógł być zamieszany w śmierć Bonity.

Każdego dnia po skończeniu pracy łączyła się z komputera Luisa z Internetem i kontynuowała poszukiwania matki. Szukała także informacji o Luisie Alvaresie i J.L. Allanie. Nie dowiedziała się niczego nowego o wypadku Bonity, ale o niej samej całkiem sporo. Była piękną brunetką, ubierała się w kosztowne kreacje. Miała prowokujący uśmiech, wyglądała na osobę, która lubi korzystać z uroków życia. Czy ktoś taki mógł lubić ten zamek i związaną z nim izolację od świata? W każdym razie Bonita była kobietą, która zdobyła wszystko, co sobie wymarzyła, włącznie z miłością i oddaniem Luisa. Co zatem zdarzyło się tamtej feralnej nocy?

- Jeśli interesują cię informacje dotyczące mojego prywatnego życia, powinnaś mnie zapytać.

Rozgniewany Luis gwałtownie przerwał połączenie z Internetem.

Rachel zamarła. Luis wrócił do zamku wcześniej niż zwykle i wszedł do pokoju tak cicho, że kompletnie ją zaskoczył. Zobaczył, jaki artykuł czytała, co więcej, sprawdzi, na jakie strony wchodziła tego dnia, bo nie zdołała usunąć tych informacji.

Spojrzała na niego.

- Byłam tylko ciekawa.

- I to daje ci prawo do wtykania nosa w moje prywatne sprawy?

- To chyba nie jest tajemnica, skoro każdy może przeczytać o tym w Internecie. Ale rozumiem twój gniew. - Wstała i cofnęła się kilka kroków. - Gdybym cię zapytała, pomyślałabyś, że jestem ciekawską reporterką, prawda? Zrozum, czytam te artykuły, bo chcę wiedzieć więcej o tobie. Nie po to, żeby o tobie napisać. Nie jestem dziennikarką. Jestem zwykłą dziewczyną, która po prostu potrzebowała pracy.

- Nie mogłaś zadzwonić do domu, żeby przysłali ci więcej pieniędzy?

To był drażliwy temat. Nie zamierzała wyjaśniać swoich relacji z ojcem.

- Chciałam się usamodzielnąć.

- I przyjechałaś na wakacje bez pieniędzy? Kiedy wracasz do Stanów?

- Wszystko okazało się droższe, niż zaplanowałam. Wyjadę, kiedy będę gotowa. Oczywiście nie wcześniej niż Maria wróci do pracy. Potrzebujesz mnie.

- Jakoś do tej pory radziłem sobie bez ciebie.
- A co z jutrzejszą fiestą? - Czyżby zamierzał ją zwolnić tylko za to, że jest ciekawska?
- Punkt dla ciebie. Ale na przyszłość będę wdzięczny, jeśli zapytasz mnie o sprawy, które dotyczą mojego życia, zamiast szukać cudzych opinii o tym, co się wydarzyło.
- Zaskarżyłeś ich?
- Słucham?
- Znalazłam jeden okropny artykuł, w którym sugerowano, że miałeś coś wspólnego z tym wypadkiem.
- Nie, nie pozwalam im. Mają prawo przedstawiać swój punkt widzenia.
- Ale nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda?
- A jak myślisz?
- Myślę, że nie - odarła zgodnie z głosem swego serca.
- Masz rację tylko częściowo. Nie grzebałem przy jej samochodzie, ale pokłóciliśmy się i rozstaliśmy w gniewie. Cały czas się zastanawiam, czy dlatego prowadziła w tak szaleńczy sposób.
- To okropne. Nie możesz się winić. Przecież tamtej nocy padał deszcz i to było przyczyną wypadku.
- Chodzi o powód naszej kłótni.
- A jaki to powód?
- Nie twoja sprawa, wścibska panno. Zresztą nikomu nic do tego. I nie dowiesz się o tym w żadnym artykule.
- Bardzo ci współczuję, Luis...
- Była piękną kobietą - powiedział powoli, patrząc na małe zdjęcie zamieszczone w artykule, który nadal wyświetlony był na ekranie. - Była zbyt młoda, by umrzeć. - Przeniósł wzrok na Rachel. - To do tego był ci potrzebny Internet?

- Nie. Tak naprawdę to szukam mojej matki.
- Och... Twoja matka zaginęła?
- Dopiero niedawno dowiedziałam się o jej istnieniu, choć całe życie wmawiano mi, że nie żyje. Wyjechała z domu, kiedy byłam dzieckiem.
- Dlaczego?
- Myślę, że z powodu mojego ojca - odparła cicho.
- Czy dlatego uciekłaś z domu i przyjechałaś tutaj?
- Tak...
- Teraz rozumiem, dlaczego nie chcesz prosić go o pieniądze...
- Nie chcę nawet, żeby wiedział, gdzie jestem.
- Ach, tak? To wiele wyjaśnia.

Zastanawiała się, co Luis zamierza zrobić z tą informacją. Czyżby miała wkrótce pożalować, że mu się zwierzyła? Łatwo mógłby dotrzeć do jej ojca przez Internet, poza tym miał jej paszport z adresem...

- I co zamierzasz zrobić z tą wiedzą?

Podszedł krok bliżej.

- Nie będę szukał twojego ojca, jeśli ty zostawisz moje prywatne życie w spokoju.

- Umowa stoi.

Wyciągnęła do niego rękę. Jego historia dotyczyła przeszłości, Rachel tkwiła w środku swych problemów. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby zebrać siły do obrony przed ojcem i Paulem.

Ujął jej dłoń w swe ręce. Nie spodziewała się, że jego dotyk będzie tak silnym doznaniem.

- Dziś jest fiesta. Miasteczko roi się od turystów i mieszkańców, którzy chcą się dobrze bawić. Będzie masa jędze-

nia, więc dałem Esperanzy wolny wieczór. Wychodzimy o piątej, a nie o siódmej, jak wcześniej planowałem.

- Będę gotowa. - Już żałowała, że zgodziła się mu towarzyszyć.

- To nie potrwa długo. Wygłoszę tylko, co mam do ogłoszenia, i możemy wracać.

Widok miasteczka kompletnie ją zaskoczył. Wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy była tu po raz ostatni. Ulice wypełnione były kolorowym tłumem, wszędzie porozwieszane były lampiony gotowe do zapalenia po zmroku. Każda wolna powierzchnia udekorowana była kwiatami, było mnóstwo budek z napojami i lokalnymi smakołykami.

Panowała atmosfera zabawy. Ludzie śmiali się i tańczyli na ulicach.

Oczywiście Luis wyróżniał się na tle wesołego tłumu. Im bliżej byli miasteczka, tym bardziej stawał się ponury i mrukliwy.

- Dobra, zróbmy to szybko - powiedział gniewnie, gdy zaparkował samochód kilka przecznic od centrum. - Mównica jest na głównym placu.

Nastrój zabawy był zaraźliwy. Rachel odwzajemniała uśmiechy uczestników fiesty, natomiast podobny gradowej chmurze Luis bez słowa podążał w stronę placu.

- Luis?! - Jakaś młoda kobieta rzuciła mu się w objęcia i pocałowała w usta.

- Witaj, Rosalie. - Odsunął ją od siebie.

- Nie spodziewałam się ciebie tutaj. Juan nic nie mówił, że przyjdiesz. Co u ciebie, najdroższy? Nigdy nie oddzwaniaz. Nie wierzę, że jesteś aż tak bardzo zajęty.

- Cóż, od wypadku Marii sprawy nabrały szalonego tempa.

- Wiesz, że chętnie ci pomogę.

Rachel przyglądała się im zaskoczona. Rosalie była bardzo ładna. Jasnowłosa Rachel czuła się przy tej południowej piękności blado i mdło.

Luis spojrział na nią. Rachel przestraszyła się, że odczytuje jej myśli.

- Pozwól, że ci przedstawię Rosalie Fontanę. Rosalie, to jest Rachel Goodson, moja... przyjaciółka.

Rachel uśmiechnęła się uprzejmie, natomiast Rosalie przyglądała się jej podejrzliwie, potem znów spojrzała na Luisa.

- Przyjaciółka? Nigdy wcześniej jej nie spotkałam.

- Przyjechała z wizytą z Ameryki. - Przyciągnął Rachel do siebie.

Jego gra nie była trudna do przejrzania. Rachel łagodnie przytuliła się do niego i uśmiechnęła słodko.

- To miło, że mogę poznać znajomych Luisa.

Rosalie nawet nie próbowała być sympatyczna.

- Kiedy przyjechałaś?

- Mniej więcej tydzień temu.

- Dziwne. - Zmarszczyła brwi. - Sophia nic mi nie mówiła, że ktoś przyjechał.

- A niby dlaczego miałyby cię o tym informować? - spytał chłodno Luis.

Rachel nie wiedziała, kim jest Sophia, jednak gdyby była kimś ważnym dla Luisa, już by o tym usłyszała. By nie zepsuć Luisowi rozgrywki, postanowiła jak najmniej mówić i co chwilę się uśmiechać.

- Byłyśmy razem na lunchu w zeszłym tygodniu, ale nie nie wspomniała o gościach - wyjaśniła Rosalie.

- Moja siostra nie jest wszechwiedząca. A propos, czy dziś tu będzie?

- Tak, mniej więcej za godzinę. - Rosalie położyła rękę na ramieniu Luisa. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. Może zatańczysz później ze mną?

Kiwnął głową, ale trudno było zrozumieć, czy zgodził się na propozycję, czy wręcz odwrotnie.

- Wybacz, ale muszę znaleźć Juana. - Pociągnął Rachel za sobą.

- Do zobaczenia - zdążyła jeszcze prowokacyjnie krzyknąć do Rosalie.

W odpowiedzi dostała jedynie mrozące krew w żyłach spojrzenie.

- Sophia to twoja siostra, prawda? - spytała Rachel, kiedy kawałek odeszli.

- Tak, mieszka w Benidormie. Od lat przyjaźni się z Rosalie.

- I chce cię z nią zeswatać?

- Trudno było tego nie dostrzec.

- Dlaczego nie ją poprosiłeś, żeby ci dziś towarzyszyła?

- Uznałaby to za randkę, a nie chcę rozbudzać jej nadziei. Nie jestem nią zainteresowany.

- Powiedz to swojej siostrze.

- Kilkakrotnie już o tym rozmawialiśmy, ale ona wierzy, że upór i wytrwałość zostaną wynagrodzone.

- Jestem więc tu po to, by nabrać twoją siostrę.

- Ot, mała dywersja, żeby ją zniechęcić. Jest najgorszą swatką, jaką znam.

Przerwali rozmowę, bo Luis dostrzegł Juana. W centralnej części placu stała platforma i dwa rzędy krzeseł. Mównica i mikrofon były przygotowane. Kolorowy baldachim chronił podest przed promieniami popołudniowego słońca.

Luis przedstawił Rachel Juanowi. Okazało się, że mowa ma być wygłoszona dopiero około siódmej. Luisa niezbyt to ucieszyło, ale nie protestował. Rachel zastanawiała się, co będą robić przez ten czas. Luis rozejrzał się po placu, odpowiedział na kilka pozdrowień. Jego znajomi wyglądali na zaciekawionych osobą Rachel, ale Luis nic sobie z tego nie robił i nikomu więcej jej nie przedstawił.

- Skoro mamy dwie godziny, to może przejdźmy się wkoło. Nigdy nie uczestniczyłam w takiej fiescie. Z jakiej jest okazji? - spytała Rachel.

- Ku czci patrona miasta. Mieszkańcy wykorzystują każdą okazję, żeby świętować. Takich imprez jest kilka w roku.

- Nie lubisz zabaw? - Pytanie było raczej retoryczne, bo ponura mina Luisa mówiła sama za siebie. A przecież wokół było tyle radości i śmiechu...

- Już nie... Chodź, jest ktoś, z kim chciałbym porozmawiać.

Chwilę później poznała Pabla i Marię Sanchez. Pablo pracował u Luisa jako zarządca na plantacjach oliwek. Wszystko wskazywało na to, że poza relacjami zawodowymi łączyła go z Luisem również przyjaźń.

- Widzę, że zdecydowałeś się jednak przyjść - odezwał się Pablo, po czym zwrócił się do Rachel: - Mam nadzieję, że podoba ci się nasza fiesta.

- Wspaniale spędzam tu czas. - Uśmiechnęła się.

Poczuła sympatię do tych ludzi, szczególnie że przez dziewięć dni pracy w zamku poza Esperanza i pokojówką z nikim nie miała kontaktu. Czyżby Luis po śmierci Bonity całkowicie odgradził się od przyjaciół? A może uwierzyli w insynuacje prasowe, jakoby maczał palce w wypadku? Jeśli tak, to co to za przyjaciele, myślała wzburzona.

- Luis! - Drobna młoda kobieta podeszła do nich szybkim krokiem. - Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjdiesz? - Uściskała go pospiesznie. - Julian z dzieckiem pilnują dla mnie miejsca. Gdybym wiedziała, że będziesz, mielibyśmy jedno dla ciebie.

- Nie ma sprawy, mamy gdzie siedzieć.

- My? - Kobieta spojrzała zdziwiona na Luisa.

- Rachel i ja. Sophia, pozwól, że ci przedstawię Rachel Goodson, przyjaciółkę z Ameryki.

Tak więc gra weszła w kulminacyjną fazę, bowiem jej celem stała się swatka nad swatkami, która za wszelką cenę pragnęła połączyć brata ze swoją przyjaciółką Rosalie.

- Cześć. - Rachel chciała coś dodać, ale wyraz twarzy Sophie powstrzymał ją.

- Jesteś gościem Luisa? - czujnie spytała swatka.

-Tak.

- Przyjaciółka z Ameryki?

- Rachel... - Luis uniósł jej dłoń i czule pocałował. - Ku mej wielkiej radości Rachel wreszcie odwiedziła mnie w zamku i zostanie jakiś czas.

- Cóż za niespodzianka. Rachel, wybac mi moje zaskoczenie, ale nie miałam pojęcia, że mój brat spodziewa się gościa.

- Bo się nie spodziewał. Po prostu tak bardzo stęskniłam się za Luisem, że nagle rzuciłam wszystko i tu przyleciałam, nie powiadamiając go o tym. Co to było za powitanie! - Rachel uśmiechnęła się promiennie.

Luis znów czule ucałował jej dłoń.

- Wyobrażam to sobie... Zapraszam was jutro na kolację. Musimy się lepiej poznać, Rachel, a fiesta to nie najlepsze miejsce na pogaduszki. A teraz chodźcie, przedstawię ci mojego męża.

- Mamy już plany na jutro - wtrącił Luis.

- To je zmień.

- Niestety nie mogę.

- Więc pojutrze. - Spojrzenie Sophii mówiło jedno: „Braciszku, tym razem się nie wykręcisz”.

- Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem - odrzekł Luis.

- Rachel, jak ci się mieszka w zamku? - spytała Sophia.

- Wspaniale.

Rachel uznała, że ta gra posunęła się za daleko. Miała nadzieję, że Luis uważa podobnie i wieczorem wyjaśni siostrze, jak naprawdę sprawy się mają. Ostatecznie są inne sposoby, by spławić Rosalie, i wcale nie muszą udawać kochanków.

- Hej, mam nadzieję, że nie będziesz wygłaszał mowy? - spytała Sophia, po czym zwróciła się do Rachel: - Mówił ci o tym? Nasz ojciec każdego roku przemawiał podczas tej fiesty. Nie cierpeliśmy w tym uczestniczyć, bo w kółko powtarzał to samo.

- A właśnie że będę przemawiał i liczę na twój szczerzy aplauz - z nieskrywaną satysfakcją stwierdził Luis. -

Usiądź blisko sceny, żeby nie uronić choćby słowa. Pablo, zadzwonię do ciebie w przyszłym tygodniu, dobrze?

Ruszyli do męża Sophii. Luis cały czas trzymał Rachel za rękę. Po prezentacji znalazł jakąś wymówkę i zniknął w tłumie.

- Nie sądzisz, że twoja historyjka jest grubymi niemi szyta? - spytała, kiedy przechadzali się pomiędzy stoiskami z jedzeniem. - Nie zamierzasz wtajemniczyć siostry w swój plan?

- Po pierwsze, dzięki, że tak świetnie wczułaś się w rolę. A po drugie, nic nie powiem Sophie, bo natychmiast wszystko by wypaplała Rosalie. Ale nic z tego. Jeszcze kilka takich czułych scenek i w moim życiu wreszcie zapanuje błogi spokój.

- No tak, rozumiem. Celem mojego życia jest to, żeby twoje życie stało się mniej skomplikowane - mruknęła.

- Świetnie to ujęłaś. - I na oczach ciekawskich ludzi pocałował Rachel w usta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wprawdzie tylko musnął ją wargami, ale i tak na chwilę zamarła z wrażenia.

- Hm... a co to? Po co? - spytała wreszcie.

- Niech Sophia, Rosalie i inni wiedzą, że swatać mnie to próżny trud.

- Ach, no tak.

Spacerowali uliczkami. W jednym miejscu kupił coś do jedzenia, w drugim coś do picia. Przy trzecim stoisku podarował jej wachlarz. Od razu go otworzyła, powachlowała się teatralnie i zerkając uroczo, uśmiechnęła się do Luisa.

- Czy wiesz, że nasze babcie z wielką maestrią wykorzystywały wachlarze do flirtowania? - spytała.

- Flirtujesz ze mną?

- A nie powinnam? Jeśli mamy dalej nabierać tych, którzy się nam przyglądają...

- Już rozumiem, w czym tkwi siła wachlarzy. Niby się za nim skrywasz, a tak naprawdę wabisz. Widać zza nich jedynie twoje pełne ekspresji oczy.

Zamrugała nerwowo. W ustach Luisa zabrzmiało to jak nie lada komplement.

- Nigdy nie graj w karty. - Ze śmiechem odsunął wachlarz, by odsłonić jej twarz. - Przegrasz ostatnią koszulę.

Nalegał, by towarzyszyła mu na platformie podczas przemówienia. Świadoma była tego, że setki oczu obserwują każdy jej ruch. Uznała jednak, że skoro powiedziało się „a”, należy powiedzieć i „b”. Odwróciła się w stronę Luisa i uśmiechnęła ciepło, dotykając jego ramienia.

- Świetnie się bawię - powiedziała. - Czy będę mogła to uwzględnić w CV, gdy będę starała się o pracę?

Nachylił się nad nią i zbliżając jędrne wargi do jej ucha, szepnął:

- Grasz doskonale. Nie wiem, czy nadaje się to do poważnego CV, ale na pewno dam ci znakomite rekomendacje. Czy zostaniemy na tańcach?

- Z przyjemnością.

Spojrzała na niego. Stali tak blisko, że ich twarze niemal się dotykały. Wyglądali jak pogrążona w miłosnej rozmowie para zakochanych. Serce zabiło jej mocniej. Wiedziała, że tylko udają, ale przez chwilę wyobrażała sobie, że Luis jest nią prawdziwie zainteresowany. Byłoby to całkiem nowe, nieznane jej dotąd przeżycie.

Juan przygotował mikrofon i uwaga zgromadzonych skupiła się na Luisie. Rachel wielokrotnie uczestniczyła w różnych imprezach, nieraz nawet w oficjalnej roli, kiedy zastępowała nieobecnego ojca, ale żadna z nich nie była tak spontaniczna i radosna. Luis mówił nadzwyczaj zabawnie, publika przerywała mu śmiechem, brawami i wesołymi docinkami. Błyskawicznie ripostował, zyskując olbrzymi aplauz. Tak naprawdę nie było to przemówienie, ale skrzący się dowcipem dialog Luisa z tłumem. Rachel wprost go nie poznawała. Gdzie podział się ten sztywny ponurak?

Na koniec tłum zalał mównicę. Wszyscy witali się z Luisem i gratulowali mu znakomitego wystąpienia, on zaś przedstawiał Rachel. Uśmiechała się uroczym, aż rozboleły ją policzki. Usłyszała przy tym tyle komplementów, że mogłaby nimi obdarować wszystkie koleżanki ze studiów. Najważniejsze jednak, że traktowano ich jak parę, a o to przecież chodziło w tej maskaradzie.

Zmrok zaczął powoli zapadać, lampy rozświetlały miasteczko niczym lunapark. Kiedy zabrzmiały pierwsze takty muzyki, Luis poprowadził Rachel na parkiet i przytulił mocno. Wiedziała, że to tylko gra, ale delektowała się każdą chwilą.

- Traktują cię tu jako wielkiego plantatora, mało kto wspominał o twoich książkach. Chyba wiedzą, że piszesz, prawda? - spytała Rachel.

- Niektórzy. Moje powieści w Hiszpanii nie są tak popularne jak w Stanach. Nie robię wokół tego szumu i mój pseudonim nie jest tu tak znany. - Wzruszył ramionami.

- Tutaj jestem po prostu synem Juana Baptisty Alvaresa. I to mi wystarcza.

Kiedy muzyka ucichła, nagle pojawiła się koło nich Rosalie.

- Nasz taniec, Luis.

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Dzisiejszy wieczór należy do Rachel. Może przy następnej okazji. - Otoczył Rachel ramieniem i przytulił.

Rosalie zmrugała lekko oczy, potem skinęła głową i rozejrzała się w poszukiwaniu innego partnera.

Kolejny utwór był bardzo spokojny i romantyczny. Luis kołysał Rachel w ramionach na środku parkietu. Czuła bli-

skość jego ciała. Kiedy musnął wargami jej skroń, poczuła, że krew szybciej krąży jej w żyłach. Była pewna, że obserwuje ich cały zgromadzony i roztańczony tłum. Rachel wiedziała, że wyglądają jak para kochanków. Luis Alvares i jego nowa miłość, tak to na pewno komentowano.

Nagle dobiegł ich krzyk:

- A więc to tak!

Luis zatrzymał się i odwrócił w kierunku mężczyzny, który stał za nim.

- Jose!

- Jak widzę, szybko zapomniałeś o Bonicie. - Jose omiótł nieprzyjaznym spojrzeniem Rachel, ale nie uznał za stosowne, by choćby się jej skłonić.

- Nie zapomniałem o niej - odparł Luis cicho. - Zawsze będzie ze mną.

- Uwielbiała fiesty.

- Tak, uwielbiała...

- U niej - Jose pogardliwie spojrzął na Rachel - nie znajdziesz takiego ognia i żaru, jaki miała Bonita.

- Chodzi o to, że jestem blondynką? - rzuciła z irytacją.

- Co? - Jose wreszcie raczył do niej przemówić.

- Krąży fama, że blondynki są zimne i wyrachowane. Pewnie niektóre mają tę przypadłość, ale ja raczej do nich nie należę. Prawda, Luis? - zamruczała jak kotka.

- Och, z pewnością nie należysz! - Musnął jej usta. W jego oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Och, Luis, chciałabym już wrócić do domu - powiedziała leniwie, rozkosznie mrużąc oczy.

- Nie chcesz poczekać na fajerwerki?

- Będzie je widać z naszego miejsca pod zamkiem.
- Do widzenia, Jose - rzekł Luis.

Drogę do samochodu przeszli w milczeniu. Wreszcie Luis powiedział:

- Nasze miejsce pod zamkiem?
- Brzmi nieźle, nie sądzisz? - Uśmiechnęła się. - Miałam na myśli to miejsce, z którego zwykle oglądasz pokazy sztucznych ogni. Chyba że należało ono tylko do ciebie i żony, a teraz jest poświęcone wspomnieniami. Wybacz, jeśli cię uraziłam, ale nie miałam złych intencji.

- Och, nic z tych rzeczy. Zwykle uczestniczyliśmy z Bonitą w festynach do końca. Z tego miejsca oglądałem fajerwerki, kiedy byłem mały. Myślałem, że chciałaś zostać dłużej na zabawie. Skąd to hasło do powrotu?

- Po co miałam tam zostawać? Żeby walczyć z Rosalie lub odpierać agresywne ataki rozdrażnionych facetów? Co to za historia z Jose? To były wielbiciel twojej żony?

- Być może. - Włączył silnik i ruszył w stronę zamku.
- Być może? Co to znaczy?
- Zmieńmy temat. Mówiłem, żebyś nie zadawała pytań na temat mojej przeszłości.

Kiedy dotarli do zamku i wysiedli z auta, Rachel powiedziała:

- Dziękuję, że mnie zabrałeś. Mam nadzieję, że nieźle odegrałam swoją rolę.

- Wprost znakomicie.
- To dobrze. - Zatrzasnęła drzwi samochodu i ruszyła w stronę zamku.

Zamierzała wziąć latarkę i poszukać miejsca, z którego obejrzy pokaz. Sama.

- Dokąd idziesz?
- Po latarkę.
- Nie potrzebujemy latarki. Znam drogę na pamięć.
- Wiem... Ale nie musimy kontynuować tej farsy.
- Rachel, obejrzyjmy fajerwerki... z naszego miejsca pod zamkiem.

- Przecież wiesz, że to była tylko maskarada.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- To tylko po to, żebyś nie spadła ze ścieżki.

Jaki troskliwy, pomyślała zgryźliwie. Jedyne, czego pragnęła, to chwili oddechu od tego faceta. Trzymał ją jednak mocno, prowadząc wzdłuż muru.

Ledwie usiedli kamieniach, a już usłyszeli charakterystyczny syk i chwilę później niebo rozbłysło feerią kolorowych świateł.

- Uwielbiam pokazy sztucznych ogni! - wykrzyknęła z zachwytem.

- Ja też.

Obserwowali kolejne wybuchy kolorowych światełek.

- To dziwne, że małe miasteczko stać na tak wspaniałe pokazy - powiedziała po olśniewającym finale i podniosła się z kamienia.

Luis stał tuż za nią. Zerknęła za siebie, ale na de ciemnego nieba dostrzegła jedynie zarys jego głowy.

- Jest na to specjalny fundusz.

Ledwie go słuchała. Był tak niebezpiecznie blisko niej.

- Rachel - miękko wymówił jej imię. Jego dłoń dotknęła jej włosów. - Powiedz, proszę, czy uważasz, że mężczyzna powinien całe życie nosić żałobę po stracie żony?

- Nie... Przecież życie toczy się dalej...

- Czasem myślę, że toczy się zbyt wolno.

Nachylił się nad nią i ciepłymi, miękkimi wargami dotknął jej ust. Zamknęła oczy. W porywie szalonego impulsu zarzuciła mu ręce na szyję i namiętnie odwzajemniła pocałunek.

Żadne fajerwerki świata nie mogły się równać z tym, co teraz czuła. Wszystko w niej drżało z ekscytacji i napięcia. Kiedy Luis oderwał usta, miała ochotę krzyzczeć, żeby nie przerywał.

- Czy w Kalifornii czeka na ciebie jakiś mężczyzna? - spytał, opierając się czołem o jej czoło.

- Nie... - Przyłgnęła do Luisa, oczekując kolejnego pocałunku.

Ich usta znów się połączyły.

- Pragnę cię, Rachel - wyszeptał.

Te słowa otrzeźwiły ją jak kubeł zimnej wody. Odepchnęła go od siebie.

- Luis, posuwamy się za daleko. Przecież to tylko maskarada. Tylko udajemy, że coś nas łączy.

- Czyżby? Nasze pocałunki mówią co innego.

- Dlaczego mnie pocałowałeś?

- Już mówiłem. Pragnę cię.

- Przecież tylko udajemy. - Serce waliło jej jak młot.

- Moglibyśmy przez jakiś czas nie udawać...

- Słucham? - spytała zimno.

- Proponuję romans... dopóki tu będziesz.

Dotąd nikt nigdy nie zaproponował jej czegoś takiego. Dwóch mężczyzn chciało się z nią ożenić, bo zależało im na wpływach i majątku jej ojca. No i był jeszcze Paul. Przekonał przyszłego teścia, że połączenie rodziny Cambricków

i Goodsonów byłoby dla obu stron wspaniałym interesem. Nie przyszło im do głowy, by Rachel mogła przeciwstawić się tym uzgodnieniom, dlatego Paul nawet nie silił się na udawanie namiętności, tylko żądał od niej, by wypełniła umowę.

- Muszę to przemyśleć - odparła, by zyskać na czasie.

Ale nad czym tu się zastanawiać? Uciekła z Kalifornii, bo nie godziła się na to, by zaborczy i dominujący mężczyźni decydowali o jej losie. Nie miała powodu, by myśleć, że Luis jest inny. Z całą pewnością nie chciała wpaść z deszczu pod rynnę.

Z drugiej strony Luis był fascynującym mężczyzną. I całował namiętnie. Chciała poznać go bliżej, spędzać z nim czas, cieszyć się wzajemnym zaangażowaniem.

- Mam nadzieję, że nie zabierze ci to zbyt wiele czasu.

- Odwrócił się i odszedł.

Odczekała chwilę, potem wróciła do zamku. W głowie miała mętlik, starała się nie myśleć o propozycji Luisa. Udało jej się to tylko do chwili, gdy dotarła do pokoju. Wtedy znów dopadły ją natrętne myśli. Jak by to było, gdyby spędzała z nim więcej czasu, całowała i pieściła?

Nagle dotarło do niej, że Luis nie myśli tylko o pocałunkach...

- Och, tak... - I zaraz, wielce sobą zgorazona, poprawiła się: - Och, nie!

Kiedy następnego dnia weszła do biura, liczyła na to, że zastanie Luisa. Nie widziała go w kuchni. Jednak nie było go też w pokoju.

Zapewne pojechał już do Benidormu, pomyślała.

Całą noc nie mogła spać. Rozmyślała nad tym, co stało się wczoraj. Wciąż doszukiwała się jakiegoś podstępu w działaniach Luisa. Nie rozumiała, dlaczego właśnie ją, a nie na przykład Rosalie, zabrał na fiestę.

Po niezbyt pracowitym poranku zjadła szybkie śniadanie i udała się do ogrodu. Musiała znaleźć spokojne miejsce, by uporządkować myśli. Usiadła na ławeczce w altanie i zaczęła wszystko dokładnie analizować. Po pierwsze, zdała sobie sprawę, że jest zainteresowana Luisem Alvaresem. Nie wiedziała, gdzie to ją zaprowadzi, ale nie mogła tego zmienić. Po drugie, dostrzegała pewne podobieństwo między Luisem a swoim ojcem. Dynamiczni i twardzi biznesmeni, ludzie sukcesu. Po trzecie, odnosiła wrażenie, że Luis wreszcie zaczął jej ufać. Może nie do końca, w każdym razie nie był już taki podejrzliwy. I sprawa czwarta, która najbardziej ją intrygowała i niepokoiła, to fakt, że nigdy dotąd nie wdała się w żaden romans. Jak to by miało wyglądać? Co się zmieni? Luisowi chodzi jedynie o seks, a może więcej czasu będą spędzać razem, poznawać się, dzielić myślami?

Jakoś nie mogła uwierzyć, by Luis był mężczyzną, który potrafi zaangażować się w prawdziwy, pełen serdecznych uczuć i wzajemnego zaufania związek, oparty nie tylko na seksie. Romans z nad wyraz atrakcyjnym Hiszpanem, kolacje przy świecach, wino, tańce i fiesty do białego rana, wszystko to w teorii wyglądało cudownie. Była jednak na życiowym zakręcie i powinna strzec się takich przyjemności. Miała dużo ważniejsze sprawy do załatwienia i na nich należało się skupić. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ciężko będzie utrzymać emocje na wodzy.

- Podjęłaś już decyzję? - usłyszała nagle głos Luisa.

Stał oparty o łuk altany. Wyglądał bardzo pociągająco. Ubranie podkreślało jego opaleniznę i wysportowaną sylwetkę.

- Tak. Nie.

- Słucham?

Stanął blisko niej. Niemal czuła ciepło od niego bijące.

- Tak, bo podjęłam decyzję. Nie, bo taki jest jej sens.

Nic nie było w stanie wytrącić Luisa z równowagi. Uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i dotknął włosów Rachel.

- Nie czujesz tego samego co ja?

Serce załomotało jej w piersi.

- Luis, czy oczekujesz czegoś więcej niż tylko przelotnego flirtu?

- Co masz na myśli?

Przysunął się bliżej, pochylił głowę, prawie dotknął ustami jej warg.

- Nie wiem... - szepnęła.

Znów zaczął ją całować. Oplótł ramionami, przycisnął mocno i całował namiętnie, kusząco, prowokująco, ale nie nazbyt natarczywie. Czekał, aż napięcie w Rachel zelżeje i zacznie odwzajemniać jego pieszczoty. A ona czuła, że każda część jej ciała jest zaangażowana w te pocałunki. Mogłyby tak trwać bez końca.

Inni mężczyźni zawsze działali zbyt szybko, więc musiała hamować ich zaloty. Luis natomiast był cierpliwy, sprawiał, że to ona pragnęła go coraz mocniej.

Kiedy skończyli pocałunki, otworzyła oczy. Luis patrzył na nią uważnie.

- Przemyśl to jeszcze, Rachel - poprosił czule.

- Wydaje mi się, że pragniesz czegoś więcej niż tylko seksu.

- To znaczy czego?

- Tego, co łączyło cię z twoją żoną. - Cofnęła się kilka kroków.

Czuła się zupełnie rozbita. Przecież wszystko przemyślała, decyzja brzmiała „nie”, a teraz, po namiętnych pocałunkach, zaczęła się wahać.

Jednak po jej słowach wyglądał, jakby go spoliczkowała.

- Nawet się nie porównuj z moją żoną!

- Och, jakżebyś śmiała - warknęła.

Zapadła chwila pełnej napięcia ciszy. Przerwał ją Luis:

- Rachel... - powiedział dziwnie miękko. - Zrozum...

- Nie mówmy o Bonicie - gwałtownie wpadła mu w słowo. - Chodzi mi o to, że jeśli szukasz tylko seksu, to szukaj gdzie indziej. Tarzanie się w pościeli to dla mnie za mało. Jeśli nie łączy się to z wzajemnym szacunkiem, czułością i... - Zamilkła. Przecież nie oczekiwała, że Luis Alvares ją pokocha.

-i?

-i... i... i tego rodzaju uczuciami. Lecz nie łączą nas one. Myślisz, że jestem szpiegiem. Ja cię zupełnie nie znam...

- Czytałaś moje książki. Na pewno wyrobiłaś sobie zdanie, jakim jestem człowiekiem.

- Obowiązkowym, honorowym, skoncentrowanym na pracy i odnoszącym sukcesy. To w każdym razie cenisz w swoich bohaterach. Literacka autoprezentacja, czyli fikcja, czyli blablaba. Mówiłeś o swoim wydawcy, że naiwnie, w sposób dosłowny odbiera literaturę. Ja aż tak naiw-

na nie jestem... i dlatego z całą szczerością mówię, że nic o tobie nie wiem.

- Też ciebie nie znam, ale chciałbym to zmienić. Nadal nie wiem, czy nie jesteś reporterką lub sprytną dziewczyną, która szuka męża.

- A może, tak jak powiedziałam, dziewczyną, która przyjechała na wakacje do Hiszpanii?

- I która nie może zadzwonić do domu, kiedy skończą jej się pieniądze? Ciężko mi w to uwierzyć. Podobnie jak w to, że nie czeka na ciebie żaden mężczyzna.

- Dlaczego?

Podszedł bliżej.

- Masz w sobie ogień, jesteś piękna. Mężczyźni nie są ślepi.

Nigdy nie słyszała o sobie tylu pochlebnych słów. Czy naprawdę tak o niej myślał?

- Być może...

- Być może ktoś na ciebie czeka?

- Nie, być może jeszcze raz zastanowię się nad twoją... propozycją. Ale dopiero wtedy, kiedy poznam cię lepiej. A ty mnie.

Uniósł jej podbródek i spojrzał w jej oczy.

- Ile dni ci potrzeba?

- Luis, na Boga, skąd mogę wiedzieć? Aż stwierdzę, że jestem gotowa... na „tak” lub na „nie”.

- A do tego czasu?

Był tak niecierpliwy, że aż się uśmiechnęła. To nieco rozładowało napiętą atmosferę.

- A do tego czasu, panie Alvares, będę pana obserwować... i liczę, że będzie pan grzeczny.

- Hm, grzeczny... Nie jestem zbyt cierpliwy. - Pocałował ją.

- Proszę pana? - rozległ się głos z małego głośniczka umieszczonego w altance.

- Tak? - Luis przerwał pocałunek, podszedł do urządzenia i wcisnął mały przycisk.

- Pana siostra nalega na rozmowę - powiedziała Esperanza.

- Zaraz tam będę. - Spojrzał na Rachel. - Zobaczymy się później. - Wyszedł.

Zgodził się na okres próbny, zaznaczył jednak, że nie jest zbyt cierpliwy. Rachel wiedziała, że przeciągnie to przez kilka dni, ale co dalej? Czy zdoła mu się oprzeć? Jeśli nadal będzie tak ją kusił, to najpewniej pójdzie za nim tam, gdzie ją zaprowadzi.

Przyszła tu, żeby poukładać myśli, a efekt był taki, że w jej głowie zapanował jeszcze większy chaos. Jakby ktoś w niej zamieszał bez ładu i składu.

Nie widzieli się tego wieczoru. Kiedy w porze kolacji weszła na patio, zastała tylko Esperanzę, która nakrywała stół.

- Pan Alvares musiał wrócić do Benidormu w sprawach służbowych. Prosił, żeby cię przeprosić.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - mruknęła, siadając do stołu. - Zjesz ze mną? - Jakoś nie uśmiechał się jej samotny posiłek.

- Już zjadłam.

- Wygląda przepysznie.

- Dzwoniła siostra Luisa i pytała o ciebie.

Rachel nie chciała tłumaczyć, że wie o telefonie Sophii. Zastanawiała się przy tym, czy Luis faktycznie pojechał do miasta w sprawach służbowych, czy może odwiedza siostrę.

Luis zamierzał jak najszybciej wrócić do zamku. Musiał załatwić w biurze pilną sprawę, choć wcale nie było mu to na rękę. Właśnie próbował nakłonić Rachel do tego, żeby została jego kochanką, a tu, zamiast spędzać z nią romantyczny wieczór, musiał jechać do miasta. Zastanawiał się, czy Rachel jeszcze nie śpi i czy nadal ma ochotę poznać go bliżej...

Kobiety prowadzą dziwne gry. On jej pragnął, a ona pragnęła jego. Po co czekać, aż poznają imiona swoich dziadków czy wybryki z czasów szkoły średniej? Nie szukał związku na dłużej. Miał już jeden za sobą i nie doprowadził on do niczego dobrego.

Rachel przyjechała do Hiszpanii tylko na wakacje. Była doskonałą kandydatką, by uciąć sobie gorący romans, a do tego dzięki niej skończą się plotki o jego pustelnicznym życiu, a także dadzą mu spokój adoratorki. Zwłaszcza Rosalie.

Z daleka dostrzegł zamek. Przyszło mu do głowy, że może kiedyś będzie chciał ponownie się ożenić, żeby mieć dzieci, które odziedziczą rodzinny majątek. A może przekaże go dzieciom Sophii?

Zamek ginał w mroku. Wszystkie okna były ciemne.

Cholera, pomyślał. Pewnie Rachel już śpi. A może jest jeszcze w biurze?

Jednak pozostał tam po niej tylko zapach perfum. Luis

był rozczarowany, że nie czekała na niego. Widocznie nie była nim aż tak zainteresowana jak on nią.

W niedzielny poranek Luis obudził się wcześniej. Rozpoczął się pierwszy dzień jego kampanii. Zanim doszedł do kuchni, zdążył ułożyć ogólny plan strategiczny i szczegółową taktykę działania. Oczywiście wiedział, że będzie musiał również improwizować.

W kuchni Rachel i Esperanza gawędziły z sobą przyjaźnie.

- Dzień dobry - przywitała go gospoia. - Zaraz będzie śniadanie.

- Nie ma pośpiechu. Zjem z wami tutaj. - Usiadł na przeciwko Rachel. - Dobrze spałeś?

- Tak, dziękuję.

- Możemy iść dzisiaj na plażę. - Luis zignorował zaskoczenie w jej oczach. - Szkoda byłoby, gdybyś przyjechała nad Morze Śródziemne i nie skorzystała ze wszystkich atrakcji.

Uśmiechnęła się. Luis czuł rosnące pożądanie. Najchętniej zaciągnąłby Rachel na górę i nie wychodził z łóżka przez cały dzień. Urodą nie przypominała Bonity, ale pamiętał dobrze, jak przekonywała Jose, że blondynkom nie brak ognia i żaru. Pragnął jak najszybciej sprawdzić to osobiście.

- Chętnie trochę poleniuchuję na plaży. Gdybyś mógł mnie tam zawieźć, byłoby cudownie.

- Proponuję wspólną wycieczkę. Bardzo lubię pływać.

- Zgoda. - Poczwała, że się rumieni.

Żałował, że nie może czytać w jej myślach. Zdawało mu

się, że jej entuzjazm osłabł, gdy usłyszała, że i on się z nią wybiera, ale jakiegokolwiek były jej prawdziwe uczucia, już się nie mógł doczekać wyjazdu.

Plaża ma to do siebie, że wszyscy czują się dużo swobodniej. Skape stroje, atmosfera nicnierobienia, wszystko to bardzo zbliża ludzi do siebie. Luis znakomicie obmyślił ten punkt strategicznego planu. Ważne, by taktyka działania była równie doskonała.

SR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rachel przeglądała się w lustrze. Miała nadzieję, że kostium kąpielowy nie rzuci się za bardzo w oczy. Jednocześnie chciała wiedzieć, co pomyśli o nim Luis.

Udawała przed sobą, że nie jest to najważniejsze, ale jednak liczyła na to, że spodoba się Luisowi w tym stroju. Szybko włożyła sukienkę i sandały. Nie chciała, żeby czekał na nią zbyt długo.

Wychodząc z pokoju, promieniała ze szczęścia. Wierzyła, że cokolwiek się stanie, będzie to z pożytkiem dla nich obojga. Ona na chwilę zapomni o prawdziwym celu hiszpańskiej eskapady, o ojcu i Paulu, a Luis oderwie myśli od zmarłej żony.

Przez całą drogę Luis żartował, opowiadał o okolicy, był serdeczny jak nigdy.

Marcos, szofer Luisa, wypakował z bagażnika parasol i dwa składane fotele, które rozstawił nad brzegiem morza, a także przenośną lodówkę. Rachel uśmiechnęła się szczęśliwa. Zapowiadał się piękny dzień.

Usiadła na fotelu i poprzez słoneczne okulary przyjrzała się ludziom na plaży. Były tu głównie rodziny z dziećmi. Fale leniwie rozbijały się o brzeg, maluchy szalały w wodzie, budowały zamki z piasku. Rachel wspominała, że ja-

ko dziecko rzadko bywała na plaży, mimo że mieszkała w Malibu. Niestety ojciec wiecznie był pochłonięty pracą. Pomyślała również, że kiedy sama założy rodzinę...

Potrząsnęła głową. Nie chciała tego. Wiązało się z tym zbyt wiele smutku. Bolało ją, że nie miała rodzeństwa, nie będzie więc nawet ciocia dla jakichś szkrabów.

- Nie podoba ci się tutaj? - spytał Luis.

- Słucham? - Oderwała się od markotnych myśli i spojrzała na niego.

- Sądząc po twojej minie, nie jest ci tu dobrze.

- Ależ nie. Myślałam o czymś innym. - Uśmiechnęła się. - Jest cudownie. Pod tym parasolem możemy spędzić cały dzień. - Wyjęła olejek do opalania.

- Posmarować ci plecy?

Przez chwilę znieruchomiała, jakby szykowała się do ucieczki.

- Proszę - zgodziła się jednak. Przecież to tylko filtr przeciwsłoneczny, powiedziała sobie, a nie coś zdrożnego.

Jednak w chwili, gdy dotknął jej rozpalonej skóry, nie była już taka pewna, że to jedynie pomoc przy nałożeniu olejku. Dotyk Luisa był uwodzicielski. Długie pociągnięcia palców wzdłuż pleców działały hipnotyzująco. Kusiło ją, żeby rzucić się w silne ramiona Luisa, całować... kochać się...

Nie wiedziała, czy czas wolniej płynął, czy może Luis specjalnie dłużej ją masował. Zamknęła oczy i w rozmarzeniu poddawała się tym pieszczotom.

- Gotowe - szepnął. - Posmarujesz teraz mnie?

- Jasne. - Miała nadzieję, że jej głos brzmi normalnie.

Ramiona miał szerokie, mocno umięśnione. Jego skóra

była ciepła od słońca, przyjemna w dotyku. Nabrała więcej olejku i delikatnie poznawała jego ciało. Pragnęła, żeby się odwrócił.

W tym samym momencie musiał odczytać jej myśli, bo zwrócił się do niej twarzą. Pożądanie drażniło całe jej ciało. Przesunęła dłońmi po piersi Luisa.

- Tu już sobie poradzę. - Jego głos był niski, chrapliwy, oczy płonęły. - Chyba że tak samo ci pomogę. - Przesunął palcem wzdłuż jej stanika od kostiumu.

- Och, już nie trzeba. - Gwałtownie się cofnęła. - Czas na kąpiel.

Rzuciła mu olejek i pobiegła do wody. Miała nadzieję, że zimne fale ostudzą emocje i pozwolą myśleć racjonalnie. Zanurkowała, potem z rozkoszą zaczęła pływać.

- Cóż, nie muszę pytać, czy umiesz pływać. - Nagle koło niej pojawił się Luis.

- Pływam od dziecka. Kocham to. Nigdy jednak nie byłam na tak cudownej plaży.

- Właśnie dlatego z taką radością przyjeżdżałem na wakacje do Hiszpanii.

- To musiało być trudne, tak podróżować między rodzicami.

- Cóż, nie było to łatwe, ale gdyby moi rodzice się nie rozeszli, straciłbym amerykańskie doświadczenia. Byłbym po prostu kimś zupełnie innym... Ty, jak zgaduję, spędziłaś dzieciństwo w jednym miejscu?

- Mieszkałam z ojcem - odparła zdawkowo. Nie paliła się do osobistych wynurzeń. W każdym razie nie wtedy, gdy unoszą ją cudowne fale.

- A co z twoją matką?

- Jeśli naprawdę chcesz poznać moją historię, wróćmy na brzeg.

Po chwili rozkoszowała się ciepłym promieniami słońca, które suszyły krople na jej skórze. Jednocześnie przekonywała się w myślach, że wyjawienie Luisowi prawdy być może pomoże jej w znalezieniu matki.

- Kiedy byłam dzieckiem, często pytałam ojca o mamę, a on zawsze odpowiadał, że umarła. I tyle, żadnych szczegółów. Wreszcie przestałam pytać. Jednak gdy stałam się nastolatką, pytania wróciły. Chciałam wiedzieć, dlaczego nie mamy jej zdjęć, jak i kiedy umarła, skąd pochodziła.

- Czy ojciec wyjaśnił ci wszystko?

- Wspominał tylko, że to odległa przeszłość i nie warto do niej wracać.

- Jak dowiedziałaś się, że twoja mama żyje?

- Postanowiłam zaprowadzić porządek w domowych rupieciech gromadzonych przez lata w piwnicy i natknęłam się na pudła z papierami ojca. Tam znalazłam dokumenty rozwodowe...

- Dlaczego powiedział ci, że umarła?

- Chciał mnie odciąć od niej. Jakiż mógł być inny powód? Oczywiście spytałam go o to. - Rachel wspomniała tamten dzień z niechęcią. Ojciec był zimny jak lód, zupełnie obojętny na emocje, jakie nią targały. - Prawdę mówiąc, po dwudziestu latach kłamstw, gdy próbowałam przycisnąć go do ściany, po prostu mnie zbył. Nadal nie wiem o matce poza tym, że nie umarła, tylko przestała być żoną mojego ojca.

- Rozumiem... Dlatego uciekłaś od niego...

- Nie uciekłam - rzuciła gniewnie. - Zostałam go, a to

wielka różnica. Potrzebowałam czasu, żeby uporządkować wszystko w głowie, zrozumieć, czego pragnę. Nie zamierzam przez całe życie potulnie poddawać się woli ojca.

- Próbowałaś skontaktować się z matką? Może warto dowiedzieć się, czemu nie szukała z tobą kontaktu przez cały ten czas.

- Tego rzeczywiście nie pojmuję. - Westchnęła ciężko.

- Może jej nie obchodzę?

- O to właśnie powinnaś ją spytać.

- Niestety nie wiem, jak ją odnaleźć. - Przez chwilę coś rozważała. - Luis... pomożesz mi?

- Ja? Chętnie... Tylko co ja mogę?

- Daj mi wskazówki. Na pewno wiesz, jak szukać kogoś, kto chce się ukryć. Przecież nieraz o tym pisałeś.

- Uważasz, że ona się ukrywa?

- Raczej nie, bo niby z jakiego powodu, ale lepiej przyjąć takie założenie, bo wtedy można dotrzeć tam, gdzie zwykle się nie dociera.

- Dobrze myślisz.

- Do ludzi, którzy cokolwiek znaczą choćby w lokalnej społeczności, można dotrzeć przez Internet. Niestety niczego nie osiągnęłam w ten sposób.

- Prawdopodobnie wyszła ponownie za mąż i zmieniła nazwisko.

- Tak, oczywiście. - Często o tym myślała. Najpewniej matka ma nową rodzinę. Co sobie pomyśli, gdy pewnego dnia stanie przed nią córka, której nie widziała ponad dwadzieścia lat? - Ale to utrudnia mi dalsze poszukiwania. Nie wiem, jak dotrzeć do odpowiednich baz danych, na przykład o zawartych małżeństwach. Zresztą mama mogła

przenieść się do innego stanu lub w ogóle opuścić Amerykę. Pewnie będę musiała wynająć prywatnego detektywa, ale najpierw chcę zrobić to wszystko, co tylko mogę.

- Przerwała na chwilę. - To jak, Luis, pomożesz mi?

- Myślę, że wszystko można zrobić...

- ... za odpowiednią sumę.

- Co? - Zdumiały go jej słowa.

- Czyż nie tak się mówi? Że za odpowiednią kwotę nie ma rzeczy niemożliwych?

- Czy to cynizm słyszę w twoim głosie?

- Raczej realizm. Jaka jest twoja cena?

Uczucie triumfu na moment wypełniło Luisa. Mógł teraz się ostro potargować... na przykład zażądać wspólnej nocy.

Lecz to byłby koniec ich znajomości. Zaraz też poczuł się głupio. Przecież nigdy, nawet w myślach, nikomu nie postawiłby takiego warunku, a tu proszę, był tego bliski. Cóż, pożądanie czyni z człowieka prymitywnego głupca.

Spojrzał na Rachel. Była cudowną mieszanką naiwności i wyrafinowania, kobiety pełnej żaru... tak wspaniale reagowała na jego pieszczoty... i zarazem czystej niewinności.

A przy tym czuł, że jest bezwzględnie uczciwa i nie ma w niej cienia fałszu czy obłudy. Z całą pewnością nie pracowała dla jakiejś gazety.

Z całą pewnością w niczym nie przypominała Rosalie.

- Najchętniej pomógłbym ci bezinteresownie, jednak jeśli nie byłby to dla ciebie zbyt wielki kłopot... - Zawiesił głos.

- To co? - rzuciła niecierpliwie.

- Zależy mi na tym, byśmy kontynuowali naszą grę. Na-

dal udawaj moją przyjaciółkę z Ameryki z tymi wszystkimi aluzjami i niedopowiedzeniami, które tak bardzo działają na plotkarzy.

Zmarszczyła brwi.

- Tylko tyle? Udawać, że jesteśmy przyjaciółmi i sugerować ciekawskim, że być może to coś więcej?

- To dla ciebie „tylko tyle”?

- A co z...

- Z czym? - Luis nie zamierzał ułatwiać jej zadania.

Niech sama to powie.

- Wydawało mi się, że chcesz czegoś więcej - wyjaśniła pośpiesznie.

- Ach, masz na myśli nasz romans?

- Tak... - Obserwowała go nieufnie.

- I tak wszyscy są już przekonani, że między nami aż iskrzy. Chodzi mi o to, by tak myśleli nadal. To jak, umowa stoi?

-Stoi...

Wyciągnął rękę. Nie tyle, żeby przypieczętować układ, co pragnął jej dotknąć. Wspomnienie dotyku jej delikatnej skóry, kiedy smarował ją olejkami, wciąż było żywe. Zdecydowanie podała mu swoją dłoń. Nie stawiała oporu, gdy przyciągnął ją do siebie i łagodnie pocałował.

Wiedział, że na więcej nie może sobie pozwolić, więc puścił jej rękę i oparł się na swoim fotelu.

Resztę popołudnia spędzili na opalaniu się, rozmowach i pływaniu.

Około szesnastej Marcos zabrał ich z plaży. W drzwiach zamku powitała ich Esperanza.

- Sophia i Julian będą dziś gościć u nas na kolacji - powiadomiła Luisa.

- Sama się zaprosiła? - spytał gniewnie.

- To jest wciąż jej dom rodzinny, czyż nie?

- Tak, oczywiście... Mam tylko nadzieję, że nie będzie dla ciebie zbyt wielkim kłopotem przygotować kolację na więcej osób.

Rachel poszła na górę odświeżyć się i przebrać. Spojrzała w lustro i zadowolona z siebie wróciła na dół.

Sophia i Julian rozmawiali z Luisem w pokoju niedaleko drzwi. Zatrzymała się na chwilę w progu, zanim ją zobaczyli.

Luis miał na sobie kremowe spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Wyglądał bardzo elegancko. Szkoda, że nie mogą zjeść kolacji tylko we dwoje. Kto wie, być może znów byją pocałował...

- O, Rachel. - Uśmiechnął się do niej.

Weszła do środka i przywitała się. Luis podał jej szklankę i zaprowadził na kanapę. Usiadł tak blisko, że przez moment nie docierała do niej treść rozmowy. Ciepło bijące od niego oszałamiało ją.

- Przepraszam, o co pytałaś? - Zmieszana spojrzała na Sophię, jednocześnie starając się ignorować obecność Luisa, choć nie było to łatwe, szczególnie gdy zaczął się bawić jej włosami, położywszy rękę na oparciu kanapy.

- Pytałam, jak długo znasz Luisa. Kiedy i gdzie się poznaliście? Jestem bardzo ciekawa. Mama również.

- Rozmawiałaś już z mamą o Rachel? - wtrącił Luis.

- Oczywiście. Jest podekscytowana faktem, że wreszcie

pokazałeś się wśród ludzi. Minęły trzy lata, Luis. Wszyscy kochaliśmy Bonitę, ale jej już nie ma. Na pewno by nie chciała, żebyś pozostawał w żałobie przez całe życie.

- Jak też nie chciała umierać tak młodo - mruknął, po czym dodał głośno: - Rachel jest gościem w moim domu, nie rozmawiamy o przeszłości.

- Więc jak się poznaliście? - napierała Sophia.

Rachel spoglądała na Luisa. On wymyślił tę grę, więc niech teraz się tłumaczy, pomyślała.

- Rachel jest zapaloną fanką moich powieści. Kiedyś mnie zaczepiła.

- Kiedy byłeś w Stanach? - Sophia zmarszczyła czoło.

- Przecież nie byłeś tam od trzech lat.

- A słyszałaś, droga siostrze, o wynalazku zwanym pocztą elektroniczną?

- Cóż, zawsze sądziłam, że maile od fanów kasujesz bez czytania...

- A na jakiej podstawie?

Sophia przez chwilę uważnie przyglądała się bratu i jego... no właśnie, narzeczonej? kochance? przyjaciółce?

- I co? Zaprosiłeś ją, a ona przyjechała, tak?

- Byłam w Hiszpanii i pomyślałam, że wpadnę tu na chwilę - wtrąciła się do rozmowy Rachel. - Zawsze marzyłam, by osobiście poznać Luisa. - Uśmiechnęła się do niego słodziutko.

- A jeśli o mnie chodzi... - pocałował Rachel w głowę - kiedy tylko ją ujrzałem, wiedziałem, że chcę z nią być.

Rachel drgnęła. Luis już jej to deklarował, ale teraz ujawnił swoje pragnienia publicznie. Serce łomotało jej w piersi. Nikt wcześniej tak do niej nie mówił. Spojrzała na Sophię. To

prawda, była trochę wścibska, ale przecież chodziło o jej brata. I tenże brat bezczelnie ją oszukiwał. A przecież Sophia nie zasługiwała na to. Martwiła się o Luisa, poza tym była sympatyczna i na pewno uczciwa.

Rachel była wręcz chorobliwie uczulona na podobne manipulacje. Przecież jej własny ojciec...

- To nie całkiem tak. - Spojrzała Sophii w oczy.

Luis błyskawicznie złapał Rachel za rękę i ruszył na patio.

- Chodźmy. Esperanza nakryła do stołu.

Sophia i Julian poszli za nimi. Luis zatrzymał Rachel, żeby nie słyszano ich rozmowy.

- Co miałaś zamiar powiedzieć?

- Powinniśmy wyznać im prawdę. Mój ojciec okłamywał mnie przez całe życie. Nie chcę zachowywać się w ten sam sposób wobec twojej siostry. Sophia zasługuje na to, żeby znać prawdę.

- To zupełnie inna sytuacja. Pozwalamy mojej siostrze uwierzyć w drobne kłamstwo, które jednak w żaden sposób jej nie zrani.

- Ale to nie w porządku.

- Tylko wtedy, gdyby to była zupełna nieprawda. Możemy sprawić, żeby tak nie było.

- Aha, ten twój romans...

Uśmiechnął się, a potem pocałował ją w usta. Czowała, że zgodzi się na wszystkie warunki.

- Pospieszcie się, gołąbeczki, jestem głodna - zawołała Sophia bardziej rozbawiona niż zirytowana.

Rachel czuła, że jej twarz płonie rumieńcem.

Wieczór upłynął przyjemniej, niż się spodziewała. Sophia przestała pytać ją o to, jak się poznała z Luisem,

a konwersacja najpierw krążyła wokół kariery Luisa, potem zaś przeniosła się na Mario, synka Sophii. Julian i Rachel nie odzywali się zbyt często.

Przez cały wieczór Luis adorował ją, sprawiał, że czuła się kochana i podziwiana. Marzyła, żeby kiedyś być z mężczyzną w tak radosnym, dobranym związku, na jaki wyglądało małżeństwo Sophii i Juliana.

- Dziękuję ci za ten wieczór - powiedział Luis, kiedy goście wyszli. - To powinno przekonać Sophię, że nie potrzebuję swatki.

- Nie wydaje mi się, żebyś jej potrzebował, nawet bez naszej gierki. - Uśmiechnęła się.

- Może to nie gierka, tylko nasza przyszłość?

- Dobranoc, Luis - rzuciła szybko, by rozmowa nie zaszła zbyt daleko. Pobiegła do pokoju. Chciała pozbierać myśli. Czyżby ucieczka była jej sposobem na radzenie sobie z trudnymi sytuacjami?

To właśnie Luis sugerował, że uciekała... Ale dość tego! Jutro stawi mu czoło i da ostateczną odpowiedź. Musi mu odmówić. Była nim bardzo zainteresowana, domyślała się też, że Luis szczerze mówił o swoich uczuciach, ale jeśli się w nim zakocha, dokąd ją to zaprowadzi? Lepiej się stanie, jeśli mu odmówi.

Czy jednak taka była prawda?

Westchnęła, wspominając wspaniałe chwile spędzone z Luisem. I znów straciła pewność, jaką odpowiedź powinna mu dać.

Następnego ranka, kiedy zeszła do kuchni, nie zastała Esperanzy. Zimne śniadanie czekało na tacy. Liścik powia-

damiał, że gospościa poszła do kościoła, a Luis pojechał na plantację.

Rachel wzięła tacę i poszła w ich ulubione miejsce na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na całą okolicę. Z daleka dostrzegła dwóch mężczyzn jadących konno wzdłuż rzędów krzewów oliwnych. W jednym z nich rozpoznała Luisa. Ponownie ubrany był na czarno. Niemal zlewał się w jedną plamę z karym koniem. Patrzyła na niego, wyobrażając sobie jego ciało rozgrzane od słońca.

Co oni robią? Dlaczego jeżdżą wzdłuż rzędów? - zastanawiała się. I dlaczego tak wspomniały i utalentowany mężczyzna miałby się zainteresować właśnie nią?

Tylko jedna odpowiedź przyszła jej do głowy: romans z nią był bezpieczny. Gdy tylko Maria wróci do pracy, Rachel będzie musiała wyjechać. Nie ma między nimi żadnych poważnych zobowiązań. Nie ma nacisku, żeby zapomniał o Bonicie. Kiedy romans się skończy, Luis wróci do samotnego życia, do którego przywykł.

Była niedziela, czas odpoczynku, ale Rachel czuła, że nie może odpocząć od natrętnych myśli. Kiedy Luis zniknął jej z oczu, ruszyła w stronę biura. Uznała, że praca nad książką oderwie ją od myślenia, a czas szybciej upłynie. Poza tym książka była na tyle ciekawa, że nie mogła się doczekać dalszego ciągu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Luis wrócił do domu niewiele później. Odnalazł Rachel przy pracy. Kusiło go, by wśliznąć się do środka i porwać ją na górę do sypialni. Nigdy wcześniej nie odczuwał takiego pożądania, nawet przy zmysłowej, kuszącej Bonicie. W Rachel było coś magicznego, co budziło w nim niemal zwierzęce instynkty.

- Jadłaś? - spytał, stojąc w drzwiach.

Wiedział, że powinien raczej iść pod prysznic, żeby zimna woda ostudziła jego zapały, ale czuł, że zwariuje, jeśli nie zobaczy Rachel.

Zaskoczona uniosła głowę i uśmiechnęła się. Serce Luisa zabiło szybciej. Jakaż ona jest piękna, pomyślał.

- Tak, ale dawno.

- Świetnie. Na obrzeżach miasteczka jest przytulna restauracja, w której podają wspaniałą jagnięcinę. Przyłączysz się do mnie?

- Z przyjemnością. Powinnam się przebrać. - Wstała i pokazała szorty, które miała na sobie.

Spojrzał na jej nogi i aż westchnął. Były cudowne, długie, smukłe, ładnie opalone. Z trudem odwrócił wzrok.

- Musimy się pospieszyć, by zdążyć przed tłumem, który niedługo wyleje się z kościoła. Wezmę tylko szybki prysznic.

W restauracji było już sporo ludzi, ale znaleźli wolny stolik. To było jedno z ulubionych miejsc Luisa, choć Bonita nie przepadała za wizytami w tej „knajpie”, jak mówiła z niesmakiem.

Kładąc dłoń na plecach Rachel, poprowadził ją w stronę stolika. Po drodze skinał głową kilku znajomym, kiedy jednak usiedli, nie rozglądał się dokoła, lecz patrzył na Rachel i z nią tylko rozmawiał.

Chwilę później przy ich stoliku pojawił się kelner, który przyniósł wino i sztucce. Kiedy odszedł, Rachel zdziwiona spytała:

- A menu?
- W niedzielę zawsze jest jagnięcina.
- i to wszystko?
- Nie lubisz?
- Lubię, ale wydaje mi się dziwne, że taka duża restauracja serwuje jedno danie.
- We wtorki są ryby, w środy paella.
- To nawet wygodne. - Roześmiała się. - W jedne dni przychodzisz, w inne nie, zależnie od swoich upodobań kulinarnych.
- No właśnie. - Przyglądał się jej z fascynacją. Widać było, że restauracja zrobiła na Rachel duże wrażenie.

Wreszcie spojrzała na niego.

- Opowiedz mi, co robiłeś na wzgórzach. Sprawdzales oliwki? Po co?

- Zbliży się czas zbiorów. Razem z Pablem musieliśmy sprawdzić, czy są już dojrzałe.

- A czy po zbiorach macie może jakieś święto w miasteczku?

- Nie. Fiesty poświęcone są świętym i patronom. Kiedyś świętowaliśmy również po zbiorach, ale teraz już tego nie robimy.

- Od czasu śmierci Bonity?

Skinął głową.

Rachel pomyślała, że to nie w porządku, iż ludzie, którzy ciężko pracują przy zbiorach, nie mogą się bawić i świętować z powodu śmierci żony właściciela plantacji. Miała nadzieję, że Luis kiedyś przywróci ten zwyczaj.

Przywołała się do porządku. Nie przyszła tu rozmyślać o Bonicie. Luis zaprosił ją na obiad i chciała cieszyć się każdą chwilą. Przyglądała się restauracji, widokom rozciągającym się wkoło. Pomyślała, że Hiszpania jest taka, jak ją sobie wyobrażała. Gdy powiedziała to Luisowi, zaczęli rozmawiać o różnych regionach kraju, różnicach między nimi, kuchni. Słuchała z zainteresowaniem, choć chwilami jej myśli odbiegały od tematu rozmowy i koncentrowały się na samym Luisie.

Był pierwszym mężczyzną w jej życiu, który interesował się nią dla niej samej. Nie obchodził go jej ojciec, jego wpływy i majątek.

Zdawała sobie sprawę, że Luis nie szuka stałego związku, ale w tej chwili nie przejmowała się tym. To, że mogła skupiać na sobie całą jego uwagę, było niezwykle. Cudowne. I elektryzujące erotycznie.

O cokolwiek by ją teraz poprosił, zgodziłaby się.

Jedzenie było wyborne. Mięso tak delikatne, że rozplątało się w ustach, warzywa soczyste. Po prostu żyć, nie umierać. Lekko oszołomiona winem, Rachel oparła się

o krzesło i pomyślała, że mogłaby przez resztę życia relaksować się u boku Luisa...

- Jesteś gotowa do wyjścia? - spytał.

- Nie chcę jeszcze wychodzić. Tak mi tu dobrze. Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł z uwodzicielskim uśmiechem.

Wierzyła, że tak naprawdę było. To nie była tylko formułka grzecznościowa, Luis też miło spędził czas.

Kilka minut później wyszli z restauracji i ruszyli kabrioletem w drogę powrotną. Cieszyła się, że samochód prowadził Luis, a nie Marcos. Dzięki temu byli tylko we dwoje.

Różne myśli zaczęły biegać jej po głowie. Co by się stało, gdyby Luis zapragnął dłuższego związku? Czy miała by szansę konkurować z Bonitą? Pewnie nie. W jego sercu było miejsce tylko dla zmarłej żony. Rachel była pewna, że nikt inny nie zagości tam na dłużej.

- To co, zaczynamy poszukiwania twojej matki? - spytał, kiedy weszli do domu.

Rachel poczuła rozczarowanie. Nie wiedziała co prawda, czego oczekiwać, ale poszukiwania matki na pewno nie były tym, o czym teraz marzyła. Szczególnie że wcale nie wiedziała, co zrobi z tą informacją. Czy powinna pojechać do niej? A może tylko napisać list i czekać, co dalej?

- Jasne. - Przynajmniej dzięki temu spędzi resztę dnia z Luisem.

Kilka chwil później siedzieli przy komputerze i przeglądali Internet.

- Sprawdźmy tu. - Nachylił się i wpisał w komputerze jakiś adres.

Był tak blisko, że czuła jego ciepło. Gdyby odwróciła ku niemu głowę, ich usta by się spotkały. Jednak zabrakło jej odwagi, by to zrobić. Tłumaczyła sobie, że jeden pocałunek nikomu nie robi krzywdy.

- Chyba nie koncentrujesz się na tym, co robimy. - Spojrzał na nią uważnie.

Czuła jego oddech na policzku. Widziała tylko jego piękne, ciemne oczy. Pochyliła się i pocałowała go. Luis początkowo był zaskoczony, ale szybko ogarnęło go pożądanie. Odpowiedział na jej pocałunek, pieścił ją wargami, rozchyłał jej usta, aż Rachel poczuła, że ogarnia ją płomień namiętności. To był najbardziej erotyczny pocałunek w jej życiu. Kiedy Luis odsunął się od niej i spojrzeli sobie w oczy, wiedziała, że poznał dokładnie, co czuła i myślała.

- Rachel?

- Tak!

- Tak? Jesteś pewna?

- Tak... - To mógł być błąd, ale chciała zaznać pożądania mężczyzny, który naprawdę jej pragnął.

Dotknął jej szyi i pochylił głowę do kolejnego pocałunku. Potem wstał i wyciągnął rękę w jej kierunku. Podała mu swoją i ruszyli w kierunku schodów.

Nogi ugięły się pod nią, kiedy wchodziła za nim na górę. Czuła, że Luis jest tak bliski jej sercu, jak jeszcze nikt do tej pory nie był.

Tylko się w nim nie zakochaj, mówiła sobie, bo wkrótce zniszczy wszystkie twoje marzenia i nadzieje. Ciesz się chwilą, ale nie planuj przyszłości.

Wiedziała jednak, że były to spóźnione rady, bo już dawno zakochała się w Luisie.

Pchnął uchylone drzwi i zaprosił ją do dużej sypialni. Zatrzymał się, pocałował Rachel i zatrzasnął drzwi. Była coraz bardziej zdenerwowana. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała. Czy Luis oczekuje więcej, niż zamierzała mu dać? A może żądza i miłość zawsze idą w parze? Miała wrażenie, że zna go od lat, a jednak nadal pozostawał dla niej zagadką, której do końca życia by nie zgłębiła. Niestety nie będzie jej dane tego sprawdzić, bo niedługo się rozstaną...

Przeciagnął palcami po jej włosach. Całował namiętne usta, policzki, szyję. Złapała mocno jego nadgarstki i czuła, jak krew pulsuje mu w żyłach.

Promienie słońca wpadały przez duże okna i kładły się na szerokim łożu. Luis pociągnął ją w tamtym kierunku, nie przerywając pocałunków. Wsunął ręce pod jej bluzkę, dotknął rozpalonej skóry. Wstrzymała oddech. Odchyliła się, aby spojrzeć na niego i delectować się nowym doznaniem... i spod półprzymkniętych powiek dostrzegła wielkie zdjęcie Bonity Alvares stojące na szafce przy łóżku.

Ten widok natychmiast ją otrzeźwił. Odepchnęła Luisa.

- Nie mogę tego zrobić! - krzyknęła, poprawiając bluzkę i cofając się kilka kroków.

Nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia. Luis każdego ranka, kiedy wstaje z łóżka, i każdego wieczoru, kiedy zasypia, patrzy na nie. To była sypialnia jego i Bonity. Tu spędzali miłosne noce...

- O co chodzi? - Wreszcie zorientował się, w czym rzecz. Podszedł do stolika i położył ramkę zdjęciem do dołu. - To nie to, co myślisz.

- To wasza sypialnia. Twoja i Bonity. Nie chcę tu być.
- Ruszyła do wyjścia.

Jednak Luis był szybszy. Przytrzymał drzwi, żeby nie mogła ich otworzyć.

- Wypuść mnie - zażądała, unikając jego spojrzenia.

Niewiele brakowało, żeby zrobiła z siebie kompletną idiotkę. Wszystko z powodu mężczyzny, który nadal kochał zmarłą żonę. Jakże głupie były jej marzenia i nadzieje!

- Nie wypuszczę cię, zanim mnie nie wysłuchasz.

- Nie interesuje mnie, co masz mi do powiedzenia.

- Trzymam to zdjęcie, żebym nie zapomniał.

- Świetnie. W jakim innym celu ktoś trzymałby zdjęcie ukochanej?

- Nie z powodu miłości.

Zawahała się. Zaryzykowała i spojrzała na niego. Stał blisko niej i wpatrywał się w nią uważnie. Westchnął i cofnął rękę, którą przytrzymywał drzwi.

Rachel oparła się o framugę.

- Nie z miłości do Bonity? Wszyscy twierdzą, że byliście doskonałym małżeństwem, a jej śmierć stała się tragedią ponad twoje siły.

- Tak mówią, ale to nieprawda. W dniu wypadku Bonita jechała do swojego kochanka.

Rachel stała jak wmurowana. Bonita, perfekcyjna żona, miała kochanka?

- Niemożliwe... Kto mógłby być lepszy od ciebie?

- To miał być komplement? Nie możesz uwierzyć, że pragnęła kogoś innego?

- Więc uważasz, że twoja ukochana żona cię zdradzała...

- Dowód nosiła pod sercem.

- Nie ty byłeś ojcem dziecka?! Przecież wszyscy myśleli... Gazety pisały... - Nie mogła pozbierać myśli.

- Tak, wszyscy myśleli, że to moje dziecko. Ale tak nie było. Jakoś nikt nie zwrócił uwagi na to, że dwa tygodnie przed wypadkiem wróciłem z trzymiesięcznego pobytu w Stanach, co wykluczało moje ojcostwo, bo płód liczył sześć tygodni.

- To był powód waszej kłótni...

- Tak... Wyrzuciłem Bonitę z domu. Niełatwo dostać rozwód w Hiszpanii, ale można żyć w separacji. Moi rodzice byli w separacji od narodzin Sophii aż do śmierci ojca osiem lat temu. Mogłem pozostać mężem Bonity, ale nie chciałem żyć z nią ani chwili dłużej.

- Wszystkim się wydawało, że byliście z sobą bardzo szczęśliwi.

- Nikt nie wie, co się dzieje w domowym zaciszu. Chodziliśmy razem na przyjęcia, kupowałem jej biżuterię i najmodniejsze ubrania. To jej wystarczało do szczęścia, dzięki temu budowaliśmy wizerunek wzorowej pary. Ale było nam coraz trudniej. Pragnąłem powiększyć rodzinę, ustatkować się. Bez tego nie podołałbym moim obowiązkom, a było ich mnóstwo: plantacja, firma eksportowa, zarządzanie rodzinnym majątkiem, no i pisanie książek. Dlatego marzyłem o spokoju, stabilizacji.

- A ona?

- Cóż... łatwo się domyślić.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?

- Po co? Gdyby się rozniosło, zraniłbym jej rodziców. Wystarczająco cierpieli z powodu jej śmierci.

Przypomniała sobie artykuł mówiący o tym, że Luis miał coś wspólnego ze śmiercią żony. Gdyby prawda dotarła do brukowców, ohydnych plotkom i insynuacjom nie

byłoby końca. Miał słusność, że zachował dyskrecję. Nie rozumiała jednak czegoś innego.

- Skoro między tobą i Bonitą nie było prawdziwej miłości, to dlaczego odciąłeś się od świata? Twoja siostra sądzi, że nadal jesteś w żałobie. Podobnie Esperanza i wszyscy inni.

- Nie odciąłem się. Nadal prowadzę rodzinny biznes, piszę. Jedyne, czego nie robię, to nie uczestniczę w przyjęciach i fiestach.

- Kogo by to zraniło?

- Nie wiem, kto był jej kochankiem.

- A co to ma do rzeczy?

- To był ktoś z miasteczka. Tyle wiem. Ale kto? Mam pewne podejrzenia, ale żadnych dowodów. Więc kiedy tam chodzę i spotykam ludzi, cały czas się zastanawiam, który to. Czy to jeden z bliskich przyjaciół mnie zdradził? A może ktoś, kto mnie nigdy nie lubił? Lub ktoś zupełnie obcy?

- Czy teraz ma to tak duże znaczenie? Minęły już trzy lata. Rozumiem, że to musiał być dla ciebie wielki szok, ale Bonity już nie ma i to jej kochanek musi żyć z poczuciem winy. Ty nie masz się przed czym chować.

- Nie chowam się, ale nie mam powodu, żeby chodzić na te przyjęcia. Nie zapominaj, że moja siostra cały czas próbuje mnie wyswatać. Jakbym jeszcze kiedykolwiek mógł komuś zaufać.

- Zaczekaj. To prawda, Bonita cię zdradzała, ale to wcale nie znaczy, że następna kobieta też to zrobi.

- Ponieważ ty jesteś następną kobietą, z którą czuję się jakoś związany, więc sama mi odpowiedz.

- Jeśli połączy nas romans, nie będzie mnie interesował żaden inny mężczyzna.

- Romanse szybko się kończą. Ale gdybyśmy byli małżeństwem? Jak długo ty... czy jakakolwiek inna kobieta... byłabyś wierna? Rok, może dwa? Moja matka wytrzymała siedem lat. Bonita trzy.

Matka zostawiła jego ojca. Bonita go zdradzała. Same fatalne doświadczenia. Ale przecież to nie znaczy, że wszystkie kobiety na świecie tak postępują. Jednak Luis miał ugruntowane zdanie na ten temat.

Rachel ze smutkiem zdała sobie sprawę, że w takiej sytuacji może mu zależeć tylko i wyłącznie na krótkich, niezobowiązujących romansach. Raz z tą kobietą, raz z inną, i tak bez końca, byle tylko nie związać się na stałe, byle tylko uniknąć wszelkich deklaracji i zobowiązań.

Rozejrzała się po pokoju. To była sypialnia Luisa, jego najbardziej osobiste miejsce w domu, a zdjęcie Bonity miało mu stale przypominać o niewierności żony. Sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi i wyszła.

- Rachel! - zawołał za nią.

Zignorowała jego krzyk. Nie było sensu rozmawiać z mężczyzną, który nikomu nigdy nie zaufa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zamknęła się w swoim pokoju. Nie miała ochoty spotykać się z Luisem do chwili, gdy zapanuje nad emocjami. Jego cynizm skutecznie rozwiązał marzenia o prawdziwym związku.

Zależało mu tylko na romansie... a mówiąc wprost, na seksie. Nie pragnął prawdziwie jej poznać, tylko przez dwa tygodnie zabawiać się z nią w łóżku, a kiedy wróci Maria - pożegnać się. To, że bywał czuły i romantyczny, miało tylko jeden cel - seks. I niewiele brakowało, żeby dopiął swego.

Złość i rozgoryczenie aż w niej kipiały. Powinna spakować walizki i odejść.

Ale co z pracą? Nadal miała jedynie czterysta siedemdziesiąt euro. Nawet mniej, bo trochę wydała w kawiarence internetowej. Trudno, wszystko było lepsze niż mieszkanie z Luisem pod jednym dachem.

Pamiętała każdy ich pocałunek i pieszczotę. Zamknęła oczy i próbowała wymazać te wspomnienia z pamięci. Bez skutku.

Bolało, ale nie miała sobie nic do zarzucenia. Przecież nie zrobiła nic złego. Jeśli Luis chce myśleć, że każda ko-

bieta jest niewierna, to jego problem. Kiedy tylko skończy przepisywać książkę i dostanie wypłatę, spakuje się i wyjedzie.

W wolnych zaś chwilach zajmie się szukaniem matki. Może Karolinie uda się coś zdziałać? Skontaktuje się z nią jutro. Dzisiaj nie ma zamiaru opuszczać pokoju.

Następnego ranka usłyszała, jak Marcos podstawia samochód pod frontowe wejście. Wstała z łóżka. Nie było sensu, żeby dłużej leżała, skoro już od wielu godzin nie spała. Dyskretnie wyjrzała przez okno.

Luis właśnie wybiegł z domu. Był ubrany w czarny garnitur, srebrnoszarą koszulę i ciemny krawat. W lewej ręce trzymał teczkę. Zamienił kilka słów z Marcosem i wsiadł do samochodu, który natychmiast ruszył.

Pomyślała ze smutkiem, że Luis całe dni spędza samotnie. Albo zajmuje się biznesem, albo ucieka w świat fikcji swoich powieści. Powinien mieć rodzinę, nauczyć się śmiać i kochać.

Lecz to nie ona dokona tej przemiany. Miała własne problemy i miłość do jakiegoś cynicznego Hiszpana tylko by jej przeszkadzała jak niewygodne buty.

Poszła do biura, lecz zamiast przepisywać książkę, zabrała się do poszukiwania matki. Zaczęła od adresów internetowych, które podał jej Luis. Niektóre dały nowe podpowiedzi i kierunki, nic jednak nie wskazywało bezpośrednio na Loretę Goodson. Zaczęła więc pisać długi list do Karoliny, sugerując, co powinna zrobić i z kim się skontaktować.

- Witaj, Rachel. - W drzwiach stała Sophia. - Wpadłam

do ciebie na lunch. Domyślam się, że Luis jest w pracy. Co z niego za gospodarz, że zostawia cię tu samą.

- Hej, Sophia. Luis... miał pilną pracę do wykonania. Potrafię sama sobą się zająć.

Sophia spojrzała na notatki leżące przed Rachel.

- Przepisujesz jego książkę? Zagonił cię do roboty w zastępstwie Marii?! Już ja mu powiem, co o tym myślę.

- Teraz akurat wysyłam mail do koleżanki. Ale masz rację, z nudów przepisałam kilka stron. - Uśmiechnęła się. - Wcale nie musiał mnie do tego zaganiać.

- Tylko ładnie poprosił, ale na jedno wychodzi. Dobrze znam mojego braciszka... Niech sobie będzie pracoholikiem, ale dlaczego z innych wyciska ostatnie poty? Już ja mu wygarnę, bez dwóch zdań... Przecież przyjechałaś tu na wakacje! - Zrobiła dramatyczną pauzę, ale zaraz rozpodziła się. - Rzuć to w diabły i chodźmy na lunch, a potem padniemy plackiem na plaży. Zdarzył mi się wolny dzień bez dzieci i muszę to wykorzystać.

- Masz rację, przecież jestem na wakacjach.

Pomyślała, że dzień spędzony poza zamkiem dobrze jej zrobi. Przynajmniej nie będzie myślała o Luisie ani o swojej matce.

Wkrótce, zgodnie z życzeniem Sophii, padły plackiem na plaży.

- A teraz powiedz mi... tylko szczerze, jak to między nami kobietami... jak zakochałaś się w moim bracie?

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - odparła spokojnie Rachel.

- Och, przestań! Jestem jego siostrą. Widziałam, jak patrzycie na siebie. To cudownie, że Luis znowu się zakochał. Z Bonitą nie miał łatwego życia.

- Naprawdę?

- O mały włos, a zamęczyłaby mi brata na śmierć. Była bardzo wymagająca, ciągle chciała czegoś nowego, bez przerwy była w ruchu. A Luis, choć jest energiczny i ma tę pracowitą skazę, tak naprawdę zawsze marzył o spokojnym, co wcale nie znaczy, że nudnym życiu. Myślę, że jesteś do niego w tym podobna. Pasujecie do siebie idealnie. Jest szczęściarzem, że cię znalazł. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście czasem będziesz musiała mu się postawić. Dasz sobie z tym radę?

- Bez najmniejszego problemu. Wystarczająco mi dopieklki faceci, którzy lepiej ode mnie wiedzą, czego pragnę i co jest dla mnie dobre - rzuciła z gryźliwie.

- Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć. - Oczy Sophii zapłonęły z ciekawości. - Nic nie opuszczaj.

Rachel zaśmiała się i położyła głowę na oparciu leżaka. Tęskniła za Karoliną. Od dobrych kilku tygodni nie miała z kim podzielić się swoimi przemyśleniami. Wiedziała, że Sophia nie zastąpi jej przyjaciółki, ale miała nadzieję, że taka babska rozmowa poprawi jej humor.

- Pierwszy raz uciekłam z domu, kiedy miałam dwadzieścia siedem lat - zaczęła.

- A teraz ile masz? - Sophia przyjrzała się jej uważnie znad okularów.

- Dwadzieścia siedem - odpowiedziała z uśmiechem.

A potem opowiedziała o tym, jak odkryła, że matka

żyje; o złości na ojca i wątpliwościach, jakie nią targały. Skrzętnie pomijała kwestię Luisa, ale Sophia sama uknuła teorię na ten temat.

- Musiałaś więc znaleźć sobie jakąś kryjówkę i wtedy pomyślałaś o moim bracie? A kiedy tu przyjechałaś, okazało się, że to coś więcej niż tylko przyjaźń i teraz jest to ważniejsze niż twoje poszukiwania.

- Mniej więcej tak...

Wychodziła z założenia, że skoro Sophia widzi wszystko przez pryzmat książkowych romansów, to Rachel nie będzie burzyła jej świata. Prawda i tak niedługo wyjdzie na jaw. Choć martwiło ją trochę, że oszukuje Sophię, to nigdy by sobie nie darowała, gdyby zdradziła Luisa. Przyszło jej do głowy, że szkoda, iż ten zapiekły cynik nie wie, że są jednak ludzie, na których może polegać.

Potem rozmawiały o sposobach poszukiwania matki Rachel. Sophia podpowiadała rozwiązania i deklarowała pomoc. Zasugerowała nawet, że może polecieć do Ameryki i tam, wspólnie z Karoliną, rozejrzeć się, czy nie ma nowych śladów.

Rachel podziękowała za pomoc i zmieniła temat, pytając, dlaczego Sophia i Luis mieszkają w Hiszpanii.

- Jeśli chodzi o mnie, to sprawa jest prosta. Podczas jednej z moich wizyt u ojca poznałam Juliana, zakochałam się i zostałam tutaj. Luis zaś, kiedy skończył studia, przyjechał tu, żeby prowadzić rodzinny biznes.

- Nie marzył, żeby robić coś innego?

- Cóż, jest również pisarzem. I to dobrym.

- Wiem.

- No jasne, przecież dzięki temu się poznaliście.

- Powiedz mi, jaki był Luis w czasach, kiedy jeszcze się śmiał i nie był wypełniony po brzegi cynizmem.

- No cóż, od kiedy stał się pustelnikiem i wrogiem kobiet, łatwo się z nim nie żyje. Ale masz rację, kiedyś nie był taki. Jako nastolatek ubóstwiał robić mi kawały. Pewnego dnia, razem z Pablem, przebrali się za morskie potwory i gdy byłem z przyjaciółmi na plaży, wyskoczyli z fal. O mało nie dostaliśmy zawału, a oni mieli ubaw po pachy. Luisa i Pabla do dziś łączy wielka przyjaźń. - Zadużała się na chwilę. - Czasem żałuję, że musieliśmy dorosnąć... - Znów zamilkła. - Pamiętam ich ślub. Byłam druhną panny młodej. Moja matka nie przepadała za Bonitą, ale ojciec wierzył, że to idealna żona dla Luisa. Myślę, że po cichu naciskała na ten ślub, licząc, że zwiąże to Luisa z tą ziemią. Ojciec obawiał się, że na zawsze pozostaniemy w Ameryce.

Rachel milczała, choć nasuwały jej się setki pytań.

- Ona nie była... zbyt sympatyczna - powiedziała powoli Sophia.

- Kto? - Mimo pytania, Rachel wiedziała, o kim mowa.

- Żona Luisa. - Sophia zawahała się, potem mówiła dalej, ważąc słowa: - Różne plotki chodziły o niej w miasteczku. Nigdy nic nie mówiłam Luisowi. Nie wiem, czy sam coś słyszał.

- Powinnaś z nim porozmawiać. On wie...

- Słucham? - Sophia aż usiadła na leżaku. - Luis wie? Nigdy nic nie powiedział. Wierzyłam, że wciąż jest pogrążony w smutku.

- Chciał chronić jej dobre imię po wypadku. Ze względu na rodziców Bonity.

- Ach, to wszystko zmienia... - Zadumana Sophia zapatrzyła się w morze.

- Dowiedział się o tym niedługo przed wypadkiem.

- Rachel również usiadła. - Wiesz, jak długo to trwało? Wiesz, kto to był?

- Jeśli chodzi o plotki, to zaczęły się niedługo po ślubie. Wiesz przecież, jak w takich małych miasteczkach ludzie lubią sensacje.

Rachel nie wiedziała, ale mogła sobie wyobrazić.

- Ktoś powinien wcześniej dać jakiś sygnał Luisowi. Bez względu na to, jak ciężka do zniesienia miałyby okazać się prawda, sądzę, że lepiej ją znać.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że chce odnaleźć matkę niezależnie od tego, jaką prawdę odkryje.

Kiedy wróciły do zamku, Sophia wzięła prysznic i przebrała się. Powiedziała Rachel, że poczeka na brata, bo chce z nim porozmawiać.

- Może zjawić się późno - powiedziała niepewnie Rachel.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewać po Luisie. Czy będzie udawał, że nic się nie wydarzyło? Czy może stanie się zimny i niedostępny? A może lepiej będzie, jeśli po tej niedyskrecji, jakiej się dopuściła, jak najszybciej się wyprowadzi? Choć bardzo tego nie chciała...

- Chyba nie. Będzie się spieszył do ciebie - odparła Sophia.

Rachel chciała, żeby tak rzeczywiście było.

Jakież było jej zaskoczenie, kiedy zastały Luisa w salonie. Ciemny strój wyglądał niepokojąco oficjalnie. Choć czuła, że jest między nimi jakaś bariera, to kiedy spojrzę-

ła mu w oczy, nie była już taka pewna. Serce nagle zabiło jej mocniej.

Sophia wzięła od brata szklaneczkę sherry. Kiedy podawał drugą Rachel, ich dłonie się zetknęły. O mały włos, a upuściłaby alkohol na ziemię.

- Luis, dlaczego nie powiedziałeś mi o Bonicie? - zaczęła prosto z mostu Sophia.

- Niby co miałem powiedzieć? - Spojrzał na nią bardzo uważnie.

- Że cię zdradzała i okłamywała; że wiedziałeś, iż z kimś się spotyka, może nawet miała więcej kochanków...

- A ty jak się o tym dowiedziałeś? - Jego groźne spojrzenie padło tym razem na Rachel.

- Jej do tego nie miesza. Każdy o tym wiedział w miasteczku. Bonita nie działała zbyt dyskretnie. Ja stawiałam na Carlosa Valdiza, ale wygląda na to, że zamieszani mogli być również Pedro Martinez i Jose Gonzalez.

- Wiedziałeś, ale nigdy z tym do mnie nie przysłaś? Dopiero dziś?

- Bo myślałam... że albo wiesz i nie zamierzasz robić z tego sensacji, albo nie wiesz, ale nie chciałam być tą, która przynosi złe wieści.

- Ale teraz coś się zmieniło. Tylko co?

- Powiedziałam o tym Rachel, a ona wyjawiała mi, że ty już wiesz.

- To nie było moje dziecko - powiedział cicho.

- Och, Luis... - Oczy Sophii wypełniły się łzami. - Tak mi przykro.

Rachel czuła, że coś ściska ją w gardle. Wiele by dała, żeby mieć kogoś bliskiego, kto by ją wspierał. Odwróciła się

i wyszła z pokoju. Czuła się odrzucona i niepotrzebna. Nie chciała zakłócać ich prywatności.

Na patio zastała Esperanzę.

- Czy Sophia będzie na obiedzie? - spytała gospośia.

- Nie sędę. Chciała tylko zamienić kilka słów z bratem.

-i pod wpływem impulsu spytała: - Czy znasz jakieś miejsce w miasteczku, gdzie mogłabym się zatrzymać?

Esperanza wyraźnie się zdumiała.

- Przecież mieszkasz tutaj.

- Tylko chwilowo. Kiedy wróci Maria, nie będę już potrzebna.

- Mam koleżankę, która wynajmuje pokoje. Jeśli chcesz, mogę spytać o warunki.

- Będę wdzięczna.

Na patio wszedł Luis i powiedział:

- Sophia nie zostanie na obiedzie.

- Rozumiem. Zaraz podam do stołu. - Gospośia poszła do kuchni.

Rachel cała się trzęsła ze zdenerwowania. Zarazem Luis tak bardzo na nią działał...

- Może chciałabyś porozmawiać o wczorajszym dniu?

- spytał miękko, patrząc jej w oczy.

- A o czym tu rozmawiać? - Wzruszyła ramionami, - Sytuacja się zmieniła. Zdecydowałam, że nie pragniemy tego samego.

- Nic się nie zmieniło. A na pewno nie to, co do ciebie czuję.

- Mam dobrą radę. Weź zimny prysznic.

- Tak, pożądam ciebie, ale to nie wszystko.

- A co jeszcze?

- Chcesz, żebym powiedział ci o Bonicie?
- Niespecjalnie. Prawdę mówiąc, chcę coś zjeść i wskoczyć do łóżka.

- Zabawne, miałem to samo na myśli.

- Sama.

- Och, i tu się różnimy.

- Luis! Przestań flirtować. - Czuła się przytłoczona przez jego zniewalający zapach, głos, spojrzenie.

- A jeśli nie przestanę?

Patrzyła mu w oczy i próbowała go rozgryźć. Co tak naprawdę skrywa ten człowiek? - pytała się w myślach.

- Cały czas cię pragnę, Rachel. - Wsunął palce między jej włosy. - Cały czas - powtórzył łagodnie.

Jego usta przyłgnęły do jej warg, powodując w niej niezwykły dreszcz ekscytacji. Wirowało jej w głowie i tylko jedna myśl zdawała się jasna: on wciąż jej pragnie.

Nie był natarczywy. Ledwie jej dotykał.

Jednak Rachel wyrwała mu się i cofnęła gwałtownie.

- To nic nie znaczy! - krzyknęła łamiącym się głosem i zacisnęła pięści.

- A co chciałybyś, żeby znaczyło?

- Chodzi ci tylko o seks! A ja... a ja zaczynam się w tobie zakochiwać, Luis. Dokąd nas to zaprowadzi? Wkrótce wróci Maria i...

- Ona nie ma tu nic do rzeczy. Jesteśmy dorosłymi, zauroczonymi sobą ludźmi. Lecz jeśli widzisz coś więcej, to już nie moja wina.

- Nie obwiniam cię. Po prostu inaczej podchodzimy do życia. Szukasz krótkich, łatwych przygód. Ze mną tego nie znajdziesz.

Zrobił krok w jej stronę, lecz ponownie się cofnęła.

- Do diabła, Rachel, przecież się na ciebie nie rzucę!

- Nie musisz, sama twoja obecność doprowadza mnie do szaleństwa.

Spojrzał na nią. Oczy zwięzły mu się, jakby planował kolejny atak.

- Kiedy powiesz Sophii, że zatrudniłeś mnie do przepisywania książki i że tylko udawaliśmy parę podczas fiesty?

- Po co? Przecież się wścieknę, że ją okłamywałem.

- Po co? Bo to prawda. Wystarczający powód, nie uważasz? Zresztą razem ją okłamywaliśmy. I wszystkich innych też. Źle się z tym czuję.

- Możemy przemienić kłamstwo w prawdę. Trochę przesuniętą w czasie, ale prawdę. I przed nikim nie będziemy musieli się tłumaczyć.

Zawahała się. Może Luis miał rację? Oczywiście nie chodziło o to, by przekuć kłamstwo w prawdę. Lecz o to, że pragnęli siebie nawzajem. W końcu byli dwojgiem dorosłych ludzi bez żadnych zobowiązań wobec innych. Każde z nich decydowało o sobie.

Poza tym później miałyby co wspominać...

- A co będzie, jeśli się w tobie zakocham? - szepnęła.

- Niczego nie obiecuję. Rachel, nie zastanawiajmy się, dokąd nas to zaprowadzi. Po prostu ruszmy w drogę. - Wyciągnął do niej rękę.

Podąła mu dłoń i bez oporu dała porwać się w silne ramiona.

- Zrobie, co w mojej mocy, żebyś się we mnie nie zakochała. ...

- Akurat... - Uśmiechnęła się.

- A może zrewiduję jakiś mój pogląd na życie... a nawet dwa...

- Och, nie gadaj tyle...

Gdy zwarli się w pocałunku, z holu dobiegł ich głos Esperanzy. Luis z trudem wypuścił Rachel z ramion. Fascynowały go jej błyszczące oczy, miękkie włosy i czerwone, kuszące usta.

Pomógł jej usiąść do stołu i nalał wino. Gosposia postawiła parujący półmisek i bez słowa wróciła do kuchni.

- Myślisz, że ona wie? - zapytała Rachel szeptem.

- Z całą pewnością. - Wybuchnął śmiechem. - Ona wie wszystko.

Zastanowił się przez chwilę, czy Esperanza wiedziała o zachowaniu Bonity. Czy nie powiedziała mu prawdy? Miała wielu przyjaciół w miasteczku, a Sophia twierdziła, że plotek nie brakowało. Złość w nim zawrzała. Gosposia знаła go tyle lat, ale ukryła przed nim sekret Bonity?

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Rachel

-Nic.

- Jeśli nie chcesz mówić o czymś, co cię martwi, to w porządku, ale nie odpowiadaj, że nic się nie stało, skoro coś cię martwi.

- Zastanawiałem się, czy Esperanza wiedziała wcześniej o Bonicie.

- Wątpię.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ze sposobu, w jaki o tobie mówi. Zna cię od urodzenia, kocha cię. Gdyby знаła taką tajemnicę, jestem pewna, że by ci powiedziała.

- Pochodzi stąd, przyjaźni się z ludźmi z miasteczka, musiała coś słyszeć.

- Kto byłby na tyle głupi, żeby opowiadać plotki o właścicielu zamku i największym pracodawcy w okolicy w obecności jego zaufanej gosposi?

- Tak myślisz?

- Dobry Boże, nie dziwię się, że nie poczuwasz się do wspólnoty z mieszkańcami, skoro każdego podejrzewasz. Zresztą najlepiej porozmawiaj z Esperaną. Wyjaśnijcie sobie wszystko. Jeśli okaże się, że o niczym nie wiedziała, o czym jestem przekonana, powiedz jej, jak się sprawy mają.

- Ale po co? Przez ostatnie trzy lata o tym nie rozmawiałem.

- Kogo chroniłś? Bonitę czy siebie?

Dobre pytanie... Bonita wiedziała, co robi, pakując się w romans. A teraz jej już nie ma. Nie ma znaczenia ochrona jej dobrego imienia.

Lecz jego duma warta jest ochrony... Do czego go to jednak zaprowadziło? Przez tę dumę wstydził się przyznać, że przyprawiono mu rogi, więc zamknął się w swoim zamku na kilka lat, aż do chwili, gdy piękna blondynka otworzyła mu oczy. Czas przestać odgrywać obrażonego męża i zacząć żyć od nowa. Z Rachel?

Obserwowała go nieufnie. Zauważył, że często przyglądała mu się w taki sposób. Czy przez tę swoją samotność stał się agresywnym dzikusiem?

Żeby złagodzić napięcie, spytał, czy Sophia pokazywała jej jakieś zdjęcia Maria.

Rachel zaśmiała się dziwnie miękko, łagodnie. Mógłby słuchać jej śmiechu całymi dniami. I nocami.

- Co najmniej ze trzysta. Dobrze, że poszliśmy na plażę, a nie do jej domu, bo jeśli miała ich tyle w torbie, to ile musi mieć u siebie?

- Trzysta tysięcy. - Zaśmiał się. - Sophia, jeśli nie wypstryka co najmniej kliszy, uważa dzień za zmarnowany.

- Naprawdę?

- Ma na tym punkcie fioła. Mario to słodki dzieciak, ale nie rozumiem, jak można uwiecznić każdą minutę jego życia.

- Zwariowani rodzicie - skomentowała czule.

Przynajmniej oni robią wszystko jak należy, pomyślał.

- Wygląda na to, że my takich nie mieliśmy - dodała, jakby czytając w jego myślach.

Zapadła cisza, którą przerwała Rachel.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co by było, gdyby twoi rodzice się nie rozeszli?

- Hm... odkąd sięgam pamięcią, zawsze byli osobno.

- Wiesz, gdybyśmy pozostali normalną rodziną, to czy moje życie byłoby inne? Czy ojciec spędzałby ze mną więcej czasu? Czy miałabym rodzeństwo? I tak dalej.

- Takie rozważania nie mają sensu. Niczego już nie zmienisz.

- Wiem, ale zawsze przecież można pomyśleć, co by było, gdyby...

Luis często się nad tym zastanawiał, gdy był chłopcem, jednak później zaakceptował fakty. Lecz Rachel znowu zmusiła go do refleksji. Gdzie byłby dziś, gdyby rodzice się nie rozwiedli?

Gdy jednak spojrział na nią, uznał, że nie warto teraz o tym myśleć. Wyglądała pięknie i powinien cieszyć się

tym, że jest obok niego. Zdawał sobie sprawę, że po powrocie Marii Rachel wyjedzie. Miała swoje życie, on też miał swoje. Ale dopóki są razem, powinni z tego korzystać.

- No dobrze, Luis... To teraz ty mi powiedz, co by było, gdyby...

- Gdyby Bonita mnie nie zdradziła?

- Wtedy żylibyście długo i szczęśliwie.

- Wątpię. Nawet w najlepszych okresach nasze życie dalekie było od ideału.

- W porządku, a co by było, gdybyś nie pisał? Czym byś się zajmował?

- Pracą.

- Nie myślisz, że to za mało? Że zamiast literatury miałbyś jakieś równie fascynujące hobby?

- Na przykład? - Teraz fascynowała go tylko Rachel. Ileż by dał za choćby jedną wspólną noc.

- Skoki spadochronowe? - Zachichotała.

- Marny pomysł.

- Rodeo?

- Uff...

- Kajakarstwo górskie?

- Ratunku! - Wybuchnął śmiechem. - A dlaczego nie bibliofilstwo, archeologia śródziemnomorska lub choćby zbieranie znaczków?

- Tak tylko drażniłam się z tobą... A teraz poważnie, Luis. Gdyby wróżka powiedziała ci, że spełni jedno twoje marzenie, to co byś wybrał?

Zamyślił się. Czego tak naprawdę pragnął? Porzucić plantację i bez reszty oddać się pisaniu? Zaszyć się w zamku i tworzyć kolejne dzieła?

Kusząca perspektywa... lecz nie gwarantowała prawdziwego szczęścia.

Tkwiło w nim jedno marzenie, o którym myślał, że pogrzebał je bezpowrotnie. Rodzina... prawdziwa rodzina. On i żona, połączeni miłością, bezgranicznie oddani sobie, przyjaźni, wierni... i dzieci...

Gwałtownie wstał.

- Nie podoba mi się ta gra. Co by było, gdyby... Nie ma żadnego „gdyby”, jest tylko to, co jest.

- A gdybyś spojrział na to inaczej? Przecież jeśli mówimy: „gdybym miał to czy tamto”, „gdybym był taki czy inny”, „gdybym zmienił w swym życiu to czy owo”, wcale nie muszą to być czeze mrzonki. Niektóre marzenia można przekuć w rzeczywistość, jeśli tylko...

- Nie, dziękuję - przerwał jej ostro.

Próbował już życia rodzinnego i nie miał ochoty na powtórkę.

- Skończyłeś już jeść?

- Nie jestem głodny.

- Żałuj, bo widzę tu same pyszności.

Usiadł z powrotem, Rachel zabrała się do jedzenia. Chciał, żeby już skończyła i poszła z nim. Nie wiedział dokąd. To znaczy wiedział. Do łóżka.

- Nie nadaję się dziś na główną atrakcję wieczoru - mruknęła znad talerza. - Poszukaj sobie czegoś innego. Może wybierzesz się do znajomych?

Miał jednak inne zdanie na ten temat. Dla niego to ona była atrakcją nie tylko na dzisiejszy, ale i na kilka następnych wieczorów. Mógłby wziąć trochę urlopu i pokazać jej Hiszpanię, jakiej nie znała. Chciał widzieć radość w jej

oczach. Dla niego byłaby to też nowość, gdyby tak oglądał swój kraj w towarzystwie kobiety, która jest nim zafascynowana. A może podczas tej eskapady poznałby jej ukryte wady i czar by prysnął?

SR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rachel odłożyła widelec.

- Skończyłam. Co teraz?
- Może pójdziemy na spacer?
- Chętnie.

Luis poprowadził ją krętą ścieżką na wzgórze. Altana na szczycie oświetlona była łagodnym światłem, które jednak Luis zaraz zgasił.

- Widok jest lepszy bez świateł - wyjaśnił.

Spojrzała przed siebie. Miasteczko w dole tonęło w ciemnościach. Gdzieś na horyzoncie coś błysnęło.

- Co to? - spytała.

Podszedł bliżej. Poczuła na karku oddech Luisa. Jego zapach mieszał się z wonią kwiatów targanych przez wiatr.

- Błyskawica. Zbliża się burza. Pewnie dotrze tu za jakąś godzinę.

- Luis?
- Tak?

Spojrzała w jego stronę.

- Jestem gotowa - szepnęła.
- Na co?
- Na wszystko. - Położyła dłonie na jego piersi.
- Na to też? - Pocałował ją.

Przede wszystkim na to, zdążyła pomyśleć, nim zakreśliła się jej w głowie. Miała wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Straciła poczucie czasu, odleciała w nierzeczywistą krainę.

Nagle w pobliżu huknął grom. Spojrzała w górę, wtulając się w Luisa.

- Gdzieś blisko - powiedziała przestraszona.

Wiatr przybrał na sile, lunął deszcz.

- Nie zamierzam biec do zamku - mruknęła, myśląc jednocześnie, że w ramionach Luisa mogłaby tak stać do końca życia.

- Jeśli nie chcemy zmoknąć, musimy tu przeczekać ulewę. Szczęśliwie nie jest zimno.

Roześmiała się.

- Nie wiem, czy jest zimno, czy nie, bo cała jakbym płonęła.

- Płoniesz, tak? - Chwyć jej dłoń i całował bez opamiętania. - Można temu zaradzić.

- Przegonisz mnie po deszczu do zamku?

- Och, to prostacka metoda. - Roześmiał się.

- Znasz bardziej wyrafinowaną?

- Owszem... Polega na bardzo powolnym zdejmowaniu ubrania...

- Powolnym - mruknęła - a potem coraz szybszym i szybszym... - Zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

Luis, co oczywiste, zajął się jej bluzką.

Już nie flirtowali, nie przekomarzali się. Pożądanie narastało w nich z ogromną siłą. Drżącymi palcami przesunęła po napiętych mięśniach klatki piersiowej Luisa. Chciała poznać każdy centymetr ciała mężczyzny, który zdobył jej serce. Musnęła ustami jego tors.

- Och, skarbie - jęknął Luis.

Wsunął dłonie w jej włosy, pocałował dziko, jak szaleńiec. Rachel po raz pierwszy w swym życiu pragnęła kochać i być kochana.

W jej umyśle błysnęła myśl, że Luis nigdy nawet nie wspomniał o miłości.

W świetle błyskawicy dostrzegła jego twarz. Tak, kochała go bezgranicznie. Chciała mu oddać wszystko.

- Luis, czy dobrze robimy? Ledwie się znamy...

- Znasz mój najskrytszy sekret. A ja twój, prawda? Bardziej nie możemy się znać.

Przysunęła się bliżej. Kocham cię, powiedziała w myślach. Kocham.

Błysk ponownie rozświetlił altanę, w oddali rozległ się grzmot. Nie zwracała już na to uwagi.

Połączyli się w jedno i nic więcej się dla nich nie liczyło.

Deszcz wciąż padał, ale burza już minęła. W oczyszczonym powietrzu unosił się zapach morskiej wody. Seks w zamkowym ogrodzie był wprost odurzający. Rachel za wszelką cenę starała się nie zasnąć. Leżała u boku Luisa szczęśliwa i zaspokojona.

- Zmarzłaś? - Otulił ją ręką.

- Trochę.

- Stary materac to jednak nie to samo co miękkie, wygodne łóżko.

- Już narzekasz?

- Skądże. Ot, modłę się o łóżko następnym razem.

Wstrzymała oddech. Następnym razem, powtórzyła w myślach. Zabrzmiało cudownie.

- Ubiorę się. - Usiadła.

- Nie musisz - mruknął.

- Jakoś nie mam ochoty wpaść na kogoś w stroju Ewy.

- Jest tak ciemno, że nikt nas nie zauważy. Mogę nas bezpiecznie wprowadzić do zamku.

- Chcesz, żebyśmy jak dzikie nagusy paradowali w strugach deszczu?

Próbowała dostrzec jego twarz, ale w ciemnościach nie było to możliwe. Pomysł nie pasował do sztywnego, ponurego Luisa, którego poznała kilka dni temu.

- Potraktuj to jak wspólny prysznic.

Roześmiała się.

- Dobrze, skoro ty w to wchodzisz, to ja również.

Trzymając ubrania w rękę, przemykali się w stronę zamku. Po kilku minutach, śmiejąc się i dysząc, dopadli drzwi. Kiedy weszli, Rachel złapała Luisa za ramię i wyszeptwała:

- Jeśli Esperanza nas tak zobaczy, po prostu umrę.

- Trup pięknej nagiej kobiety w zamkowym holu... Dobry początek powieści. - Zachichotał. - Ale nie ma obawy, ona już dawno śpi. Chodź. - Ruszył przodem.

Nie zrobił dwóch kroków, gdy nagle szpetnie zaklął pod nosem.

- Co się stało? - spytała przestraszona.

- Huknąłem się w palec. Rany, nic takiego nie przydarzyło mi się od lat.

- Mnie to nigdy się nie przydarzyło. - Zaśmiała się cicho.

Chwilę później zamknęli za sobą drzwi od pokoju Rachel.

- Nigdy ci się to nie przydarzyło, tak?

Wziął ubrania z jej rąk i rzucił na podłogę. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zmarzniętą od deszczu skórę przeszył dreszcz. Spleceni w miłosnym uścisku upadli na łóżko.

Obudziły ją promienie słońca wpadające przez rozchyłone zasłony. Odwróciła głowę, żeby uciec przed światłem, i zobaczyła obok pogniecioną poduszkę. Luis przed świtem wymknął się z pokoju. Jak przez mgłę pamiętała pocałunek na dobranoc.

Usiadła i przeciągnęła się. Spojrzała na zegarek i ze zgrozą stwierdziła, że jest już po jedenastej. Dobry Boże, co sobie Esperanza pomyśli! - przemknęło jej przez głowę.

W rekordowym tempie umyła się i ubrała. Zbiegając na dół, postanowiła udawać, że nic się nie stało, tylko pójdzie prosto do gabinetu. Miała ochotę coś zjeść, ale uznała, że lepiej poczekać do lunchu.

Usiadła przed komputerem i wzięła w rękę plik papierów, jaki został jej do przepisania. Jeszcze kilka dni uczciwej pracy i przed powrotem Marii skończy przepisywanie powieści.

- A, tu jesteś. Mam dla ciebie wiadomość. - W drzwiach gabinetu pojawiła się Esperanza.

- Dzień dobry. Jaką wiadomość? - Rachel poczuła, jak rumieńce występują jej na twarzy.

- Luis prosił, żebyś wzięła samochód i spotkała się z nim w kawiarni nad przystanią w Calpe. Aha, i żebyś włożyła turystyczne buty, i ubrała się ciepło.

- Już się przebieram. - Rachel wstała podniecona my-

ślą o prowadzeniu kabrioletu Luisa. - Czy mówił, o której mamy się spotkać?

- Mniej więcej w porze lunchu.

Pobiegła na górę, żeby się przygotować. Luis chciał spotkać się na przystani. Brzmiało to bardzo romantycznie.

Niewiele później wiatr rozwiewał jej włosy, kiedy mknęła drogą w stronę Calpe. Cieszyła się każdym pokonywanym kilometrem. Kto by pomyślał kilka tygodni temu, że będzie jechała kabrioletem na spotkanie z mężczyzną, którego kocha.

Bez problemu odnalazła przystań. Kiedy wysiadła z auta, dostrzegła Luisa, który machał do niej. Podeszła do stolika, przy którym siedział.

Musnęła ustami jej wargi na powitanie.

- Jak tu pięknie. - Uśmiechnęła się i usiadła.

- Cieszę się, że przyjechałaś.

- A teraz mów, po co turystyczne buty i ciepłe ciuchy.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wspiąć się na El Peñon.

- Wskazał na okazały szczyt górujący nad okolicą. - Obiecuje, że widok będzie wart wspinaczki.

Błysnęła jej myśl, że zgodziłaby się również na wyprawę kilkutygodniową, jeśli tylko Luis miałby jej towarzyszyć.

- Brzmi to wspaniale, ale... nie powinieneś pracować?

- Wziąłem dziś wolne.

Rachel niespokojnie rozejrzała się wkoło.

- Coś się stało? - spytał zdziwiony.

- Tak. Szukam mojego szefa, groźnego pracoholika pana Luisa Alvaresa. Zlecił mi robotę, a ja zamierzam włożyć się po górach z jego bliźniakiem, który ma w nosie wszelkie obowiązki.

Roześmiał się, zaraz jednak spoważniał.

- Rachel, dokonałaś cudu. Uwolniłaś mnie od duchów przeszłości.

- Och, Luis... - Głęboko poruszona ujęła jego dłoń.

- Dzięki... - Znów się rozpogodził. - Wiem, że kochasz mój kraj. Chciałbym pokazać ci te miejsca w Hiszpanii, które lubię najbardziej.

Po lunchu ruszyli w drogę. Szybko doszli do szlaku, który wiodł pnącą się w górę ścieżką. Dla nieprzyzwyczajonej do górskich wypraw Rachel była to dość ciężka próba, lecz Luis w odpowiednich chwilach zarządzał krótkie postoje, dzięki czemu w niezłej formie po dwóch godzinach dotarli na szczyt. Luis objął ją ramieniem i opowiadał, co widzą pod sobą. Kawiarenka, w której się spotkali, wyglądała jak małe pudełko.

Rachel starała się słuchać, ale jego bliskość sprawiała, że nie mogła się skoncentrować. Odwróciła się w jego stronę i spytała:

- Czy wczorajsza noc śniła mi się, czy to wydarzyło się naprawdę?

Nachylił się i pocałował ją namiętnie, lecz zaraz odsunęli się od siebie, bo nadchodzili jacyś turyści.

- Cóż, to już nie jest prywatne miejsce - mruknął Luis.

Nieświadoma tego, że została uznana za natrętów, para turystów wyłoniła się zza kamieni i przysiadła na skałach. Cóż było robić, wymienili z nimi uprzejme pozdrowienia i pogadali chwilę o pięknie krajobrazu. Potem Luis spytał Rachel:

- Napatrzyłaś się?

- Nigdy się nie napatrzę. Tu jest tak cudownie.

- Kiedy zerwie się wiatr, robi się tu całkiem chłodno i miejsce traci trochę uroku.

Dotknął ramienia Rachel i zsunął dłoń, by poczuć jej skórę. Pragnął jej z każdą chwilą mocniej. Coraz gorzej radził sobie z rosnącym napięciem. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Czy chciał nadrobić stracony czas? A może bał się, że nieuchronnie zbliża się termin jej wyjazdu?

- Zejdę na dół pod warunkiem, że jeszcze tu kiedyś wrócę - powiedziała.

- Kiedy tylko będziesz chciała, zawsze tu z tobą chętnie przyjdę.

- Tylko z tobą. - Uśmiechnęła się ciepło.

Serce Luisa zabiło mocniej. Jej błękitne oczy błyszczały szczęściem. Czuł dumę i radość, wiedząc, że on to sprawił.

Ruszyli w dół i dość szybko dotarli do samochodu. Kiedy wsiadli do środka, Rachel poprosiła Luisa, żeby pojechali wzdłuż wybrzeża.

Sprawnie prowadził samochód krętą drogą. Co jakiś czas zerkał na Rachel, która była zachwycona widokami. Turkusowe morze z jednej i poszarpane wzgórza z drugiej strony robiły na niej ogromne wrażenie. Sam też czuł się szczęśliwy.

- Dziękuję za cudowne popołudnie - powiedziała, gdy zatrzymali się przed zamkiem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, droga księżniczko.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia, milordzie.

Wybuchnęli śmiechem.

- Zjesz ze mną jutro obiad w Benidormie?
- Chętnie, ale jeśli to elegancki lokal, to nie bardzo mam się w co ubrać.
- Przyjedź do miasta wcześniej i idź na zakupy. Marcos przywiezie cię i odwiezie.

Kiedy nadeszła noc, Luis nie pozostawił złudzeń, jakie ma plany. Wśliznął się za Rachel do pokoju i pocałował ją. Odpowiedziała na pieszczotę.

Kiedy jakiś czas później zasypiali, otoczył ją ramieniem.

- Rozmawiałem z Esperanzą.
- O czym?
- O Bonicie. Miałaś rację, nic nie wiedziała. Choć dziś już wie. Miejscowi plotkarze dotarli do prawdy. Kochankiem Bonity był Carlos Vadiz.

Rachel usiadła i spojrzała na Luisa.

- Czy czujesz się lepiej, kiedy to wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Będę go unikał i tyle. Wolę myśleć o tobie, tulić cię do siebie.

Luis nie przejął się tym odkryciem. Bonita to przeszłość, Rachel - teraźniejszość. A może i przyszłość?

Kiedy następnego dnia jechała z Marcosem do Benidormu, naprawdę czuła się jak księżniczka. Pragnęła kupić najwspanialszą suknię, jaką znajdzie, choć obawiała się, czy wystarczy jej pieniędzy.

Po odwiedzinach w kilku sklepach znalazła odpowiedni strój. Suknia nie kosztowała majątku, ale i tak była najbardziej seksowna ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miała na sobie. Wprost nie mogła się doczekać reakcji Luisa.

Kiedy się spotkali, była w pełni usatysfakcjonowana jego zachowaniem. Stała przed nim, a on wręcz pożerał ją wzrokiem.

- Wyglądasz bosko - wyszeptał i pocałował ją na powitanie. - Jest trochę za wcześnie na obiad, więc pomyślałem, że moglibyśmy zajrzeć do jednego z barów na plaży i posłuchać muzyki.

- Na plaży? W takich butach? - Rzeczywiście jej pantofelki nie bardzo nadawały się do spacerów po piasku.

- Raczej przy plaży - uspokoił ją.

Wsiedli do samochodu, Luis wydał instrukcje Marcosowi i szofer ruszył.

- Mam pewną wiadomość, którą chciałabym się z tobą podzielić. Ale najpierw usiądźmy w barze,

Lokalik okazał się uroczy, choć był tylko najzwyczajszym barem. Roześmiani ludzie, wesoła muzyka, nic, tylko cieszyć się życiem i nie dbać o zmartwienia. Luis i Rachel w swoich eleganckich strojach wyróżniali się na tle pozostałych gości.

Znaleźli wolny stół tuż przy piaszczystym zejściu na plażę. Zamówili białe wino.

- Znalazłam matkę! - oświadczyła Rachel uroczyście, kiedy kelner odszedł od ich stolika.

- Co? Jak?

- Poszukiwania prowadzone przez Karolinę w Stanach przyniosły efekty. Dotarła do ludzi, którzy od dawna znają mojego ojca. Znali też moją mamę. Dotarła do matki znajomego taty, która przekazała Karolinie niezwykle cenne wskazówki. Dzięki nim dotarliśmy do strony internetowej szkoły, w której uczyła się mama. I tak dalej. Ale co naj-

ważniejsze, matka tego znajomego pamiętała rozwód swoich rodziców.

- I pewnie opowiedziała o tym Karolinie?

- Tak. Mój ojciec w tamtych czasach był takim samym pracoholikiem jak dziś. Matka czuła się zaniedbana, zaczęła pić, no i pod wpływem alkoholu spowodowała wypadek. To posłużyło ojcu jako pretekst do rozwodu. Twierdził, że boi się o moje bezpieczeństwo.

- I matka nie protestowała?

- Nie miała wyjścia.

- Rozumiem... - Luis zamyślił się na chwilę, patrząc na morze.

- Nie wiem, co o tym myśleć - mówiła dalej Rachel.

- Może niesłusznie potępiał ojca? Może okłamywał mnie powodowany prawdziwą troską? Może matka naprawdę o mnie nie dbała?

- Rozmawiałas z tą kobietą, która zna twoją matkę ze szkoły? Wyjaśniałaś jej, kim jesteś?

- Kontaktowałyśmy się poprzez mail. Napisałam tylko, że jej szukam. Przesłała mi informację, że matka mieszka w San Antonio, w Teksasie. Ożeniła się ponownie, ma trójkę dzieci.

Kiedy opowiadała to Luisowi, uświadomiła sobie, że sama jeszcze nie może w to wszystko uwierzyć. Odnalazła matkę, wie, dlaczego doszło do rozwodu. Pod wpływem tych informacji powinna zmienić stosunek do ojca, a w każdym razie spojrzeć na to wszystko z jego strony. Skoro jego żona, zamiast zajmować się dzieckiem, ostro piła... Do tego matka przez te wszystkie lata ani razu nawet nie napisała do córki.

Luis ucałował dłoń Rachel.

- To wspaniała wiadomość. Powinniśmy ją uczcić szampanem, a nie zwykłym winem.

- Samo przebywanie z tobą to jedno wielkie święto - odparła z uśmiechem.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Zapragnęła jak najszybciej wrócić do zamku. Przepełniało ją uczucie szczęścia. Odnalazła matkę i na dodatek mogła podzielić się tą nowiną z ukochanym mężczyzną.

Gwałtowna przemiana w zachowaniu Luisa, która zaszła w czasie ostatnich dni, wyraźnie świadczyła, że był zainteresowany Rachel w takim samym stopniu jak ona nim. Duma ją rozpierała na myśl, że adoruje ją tak wspaniały mężczyzna. Dodatkowej radości dostarczał fakt, że Luis zabiega nie o córkę bogatego biznesmena, ale po prostu o nią. Gdy wylatywała z Kalifornii, nie odważyłaby się nawet marzyć o takim szczęściu.

Popijając wino, zastanawiali się nad dalszymi krokami. Luis sugerował, by przed przylotem do Teksasu Rachel jak najwięcej dowiedziała się o matce i jej rodzinie, by uniknąć niespodzianek. Z kolei ona miała nadzieję, że starczy jej odwagi, by poprosić Luisa o towarzyszenie jej w tej podróży.

Obiad był bardzo romantyczny. Elegancka, klubowa restauracja zrobiła na Rachel duże wrażenie. Stylowa, srebrna zastawa, kryształowe naczynia i piękny wystrój wnętrza sprawiały, że czuła się wyróżniona przez los.

Gdy orkiestra zaczęła grać, Luis powiódł Rachel do tańca. Miała wrażenie, że zaproszono ją do raję. Był wspaniałym partnerem, prowadził cudownie. Delektowała się

muzyką, eleganckim miejscem, zapachem Luisa. Czuła się cudownie. Ostatnie dwa dni okazały się najszcześniejszym czasem w jej życiu.

Luis też nie krył rozpieszczonej radości. Niemal nie odrywał od Rachel oczu.

Pomyślała, że to za sprawą przeznaczenia odkryła, iż ojciec ją oszukuje. Inaczej nigdy nie spotkałaby Luisa. Nie poznałaby prawdziwej miłości.

Smutno doświadczona przez los wiedziała, że na tym świecie nie ma nic pewnego, ale przyrzekła sobie, że jeśli kiedyś wyjdzie za Luisa, to zrobi wszystko, żeby ich małżeństwo wytrzymało wszystkie próby.

Czy jednak on też pragnie, by na zawsze byli razem? - zastanawiała się. I czy potrafiłaby żyć w Hiszpanii?

- Już późno - szepnął jej do ucha, kiedy skończyła się kolejna piosenka. - Powinniśmy wracać do domu.

Gdy wyszli na zewnątrz, Marcos już na nich czekał.

- Czy w najbliższy weekend chciałabyś pojechać do Madrytu? - spytał Luis, kiedy ruszyli. - Mam tam małe mieszkanie. Z chęcią oprowadzę cię po stolicy.

- Z ogromną przyjemnością.

Ucieszyła się z propozycji, choć jednocześnie niepokój wdarł się w jej serce. W tonie głosu Luisa było coś dziwnego. Jakby miała to być ostatnia okazja do wspólnej eskapady po Hiszpanii.

Dni przed weekendem Rachel poświęciła głównie pracy nad tekstem Luisa oraz wyszukiwaniu dodatkowych informacji o matce. Miała już jej adres, numer telefonu, nazwisko męża i informacje o swoim przyrodnim rodzeństwie.

Kilka razy wykręcała nawet numer do matki, ale bała się jej reakcji. Bo co będzie, jeśli rzuci słuchawkę?

W piątek Luis zjawił się dość wcześnie, usiedli więc razem do obiadu na patio. Ledwie skończyli jeść, gdy w drzwiach pojawiła się Esperanza z niepewnym wyrazem twarzy. Spojrzała na Rachel.

- Ktoś chciałby się z tobą zobaczyć - powiedziała.
- Sophia? - Rachel wstała.
- Nie, kochanie. Ja.

Paul Cambrick minął Esperanzę i wyszedł na patio.

SR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rachel opadła na krzesło. Paul był ostatnią osobą, jakiej się spodziewała. Co on tu robi? - myślała przerażona. Jak ją znalazł? Spojrzała nerwowo przez drzwi. Czy jej ojciec też przyjechał?

Luis wstał od stołu i stanął przed Paulem.

- Kim pan jest?

- Paul Cambrick. - Wyciągnął dłoń na powitanie.

Luis spojrzał na niego z wyższością, co zachwyciło Rachel. Niewiele osób traktowało w ten sposób Paula.

- Jesteś przyjacielem Rachel? - spytał Luis, ignorując wyciągniętą dłoń.

- Nie tyle przyjacielem, co narzeczonym.

- Bzdura! - krzyknęła, zrywając się od stołu. - To wcale nie jest tak.

- Ot, problemy kochanków. - Paul mrugnął porozumiewawczo do Luisa, po czym odwrócił się w stronę kipiącej gniewem Rachel. - Twój ojciec też chciał przyjechać, ale przekonałem go, że sam wszystko załatwię. Skarbie, najwyższa pora skończyć z tymi babskimi fochami i wracać do domu.

- Po pierwsze, nie waż się nazywać mnie skarbem - syknęła. - Po drugie, nie obrażaj mnie tymi „babskimi fo-

chami". - Spojrzała na Luisa. - Do diabła, nie jestem zaręczona z Pauliem! To jakieś wariactwo.

- Rachel, wstydź się. Chyba nie zwodzisz pana Alvaresa? Masz mój pierścionek. A cóż to znaczy innego, jak nie to, że jesteś moją narzeczoną?

Pierścionek Paula rzeczywiście miała. Leżał w szufladzie jej biurka w Kalifornii. Nie przyjął go z powrotem, gdy odrzuciła jego oświadczyzny. Nie uznał odmowy, jak to miał w zwyczaju.

Choć Luis nie drgnął, wyczuwała, że zamyka się w sobie.

- Cóż, chyba potrzebujesz czasu na uporządkowanie swojego życia - powiedział wreszcie. - A wiesz... Przez chwilę... - Skinął delikatnie głową i wszedł do zamku, zostawiając ich samych na patio.

Rachel odwróciła się do Paula.

- Nie mam pojęcia, jak mnie tu znalazłeś i po jaką cholere tu przyjechałeś! - zaczęła z furją. - Ale powiem to tylko raz: wynoś się stąd i zostaw mnie w spokoju!

- Przysłał mnie twój ojciec. Zabieram cię do Stanów, gdzie się pobierzemy. A gdy już to zrobimy, mam nadzieję, że nie będę musiał cię szukać przez pół świata.

- Paul, do diabła! Nie rozumiesz? Nigdy za ciebie nie wyjdę.

Jego oczy zapłonęły wściekłością.

- Wyjdiesz. Mam pełne wsparcie twojego ojca. Wszystko już omówiliśmy...

- Ty durniu! Chyba oszalałeś, jeśli ci się zdaje, że zrobię z siebie bezwolną kukłę tylko po to, żeby wam lepiej robiło się interesy. Nie jestem udziałem w spółce, którym można dowolnie handlować! Powiedziałam ojcu, by oddał

ci ten cholerny pierścionek. - Spojrzała na Paula z nienawiścią. - Powieś go sobie na ścianie jako dowód swjej bezczelności i głupoty. A teraz zostaw mnie w spokoju! I wynoś się stąd!

- Tata tęskni za tobą, Rachel - zagrał na inną nutę. - Wróć ze mną. Porozmawiamy o wszystkim, kiedy ochłonie z emocji.

- Czego nie rozumiesz w zdaniu „wynoś się stąd”?

Złość w niej kipiała. Chciała jak najszybciej znaleźć Luisa i wszystko mu wyjaśnić. Gdy Paul przedstawił się jako jej narzeczony, Luis mógł pomyśleć, że Rachel traktuje go jak Bonita. Ruszyła do środka, ale Paul chwycił ją za ramię.

- Zmarnowałem masę czasu, by cię odnaleźć - rzucił z furją. - Nie wrócę bez ciebie, to dla mnie żadne rozwiązanie.

- A dla mnie w sam raz - zadrwiła. Nagle coś ją zastanowiło. - Jak mnie znalazłeś?

Uśmiech zadowolenia pojawił się na jego twarzy. Miała ochotę go dzielić.

- Koleżanka Karoliny, Marty Henson, rozповідаła ostatnio, że jej dobra znajoma Rachel pracuje u pewnego znanego autora. Dalsze poszukiwania były już tylko kwestią czasu.

Uff... Dlaczego Karolina nie trzymała języka za zębami? Mniejsza z tym, pomyślała. Najważniejsze, by pozbyć się Paula i jak najszybciej porozmawiać z Luisem.

- Po prostu idź już sobie, Paul.

- Nie ruszę się bez ciebie - odparł spokojnie.

- No cóż, mam zatem nadzieję, że spodoba ci się Hiszpania, bo ja nigdzie się nie wybieram.

W tym momencie na patio weszła Esperanza.

- Pan Alvares poprosił mnie, żebym pomogła ci się spakować - powiedziała z zakłopotaną miną, jednocześnie rzucając groźne spojrzenie na Paula.

- Sama widzisz - natychmiast zatriumfował. - Nie możesz tu dłużej zostać. Mam dla nas bilety na jutrzejszy samolot z Madrytu.

- Zamierzasz siedzieć na dwóch fotelach? - rzuciła szyderczo i z wysoko podniesioną głową weszła do zamku.

A więc Luis chce, by wyjechała... Dlaczego okazał się takim tchórzem? Dlaczego nie powiedział jej tego w twarz? Dlaczego uwierzył Paulowi, a nie jej?

- Muszę z nim porozmawiać - powiedziała do Esperanzy, która weszła za nią do sypialni.

- Wyjechał. Wróci późno. Kazał mi dopilnować, żeby ciebie tu już nie było. Przepraszam - tłumaczyła się gosposia.

Rachel poczuła się, jakby ktoś ją ogłuszył. Jak to? Luis nawet nie chciał jej wysłuchać? To prawda, miał złe doświadczenia z **Bonita**, ale to nie powód, by nie poznać prawdy. Jak mógł ją tak potraktować i po prostu wyjechać z zamku?

I nagle wszystko zrozumiała. Nie zależało mu na niej. Nie obchodziła go. Ostatnie dni, tak dla niej cudowne, dla niego były jedynie przygodą, o którą prosił na początku. To ona liczyła na więcej. On nic jej nie obiecywał.

Kompletnie przybita, spakowała swoje rzeczy i przygotowała się do opuszczenia zamku. Jednego była pewna: niezależnie od tego, czego spodziewali się Luis i Paul, nie wróci potulnie do Kalifornii.

- Nie wyjadę, dopóki z nim nie porozmawiam - oświadczyła gosposi. - Nie chcę ci jednak robić problemów, więc powiedz, czy masz adres tej koleżanki, która wynajmuje pokoje?

- Tak, oczywiście. - Esperanza uśmiechnęła się. - Powiem jej, żeby się tobą dobrze zaopiekowała.

Rachel podziękowała, wzięła bagaż i poprosiła gospo- się, żeby przypadkiem nikomu nie zdradziła, gdzie zamierza się zatrzymać.

Kiedy kilkanaście minut wcześniej pakowała swoje rzeczy, z trudem powstrzymywała łzy. Pakując suknię, wspominała taniec z Luisem; kostium plażowy przypomniał cudowne chwile nad morzem. Obrazy ze szczytu góry, ze spotkań z siostrą Luisa i jej rodziną, z fiesty, wszystko to przesuwało się przed jej oczami, mieszało z sobą, powodowało ucisk w sercu i żal, że bezpowrotnie przeminęło.

Spojrzała na swoje bagaże. Niczego nie zostawi w zamku... poza sercem. Należało do Luisa. Być może na zawsze.

Otrząsnęła się ze smutnych myśli i ruszyła do wyjścia. Przy drzwiach czekał na nią Paul.

Wyprostowała się dumnie. Najwyższa pora, pomyślała, żeby różni faceci zrozumieli, iż nie będzie pionkiem w ich rozgrywkach.

- Chodź, Paul - powiedziała, choć wiedziała, że lada chwila znów mu ucieknie. Tym razem postara się, żeby rozstanie było definitywne.

Luis dotarł do altany, gdzie pierwszy raz kochał się z Rachel. Zaciśnął dłonie na poręczy i spojrzał niewidzącym wzrokiem przed siebie. Drugi raz pozwolił, by ktoś zro-

bił z niego durnia. Pragnął zrozumieć, jakie były motywy jej postępowania. Czy zabrakło jej dostatecznych podnieć w Kalifornii i postanowiła rozerwać się w Europie? Zabrało wokół niej mężczyzn zabiegających o jej względy i postanowiła zaaranżować widowisko?

Próbował się uspokoić, przypominając sobie, że to, co przeżyli, to jedynie wakacyjny romans, że sam na to nalegał i nie planował żadnych dalszych kroków.

To skąd ten piekielny ból w piersi? Dlaczego ciągle myślał, gdzie ona jest? Dlaczego cierpiał, wyobrażając ją sobie w hotelu z Paulem?

- Cholera - zaklął pod nosem i ruszył z powrotem do zamku.

Miał do siebie żal, że tak łatwo pozwolił jej odejść. Bonita sama uciekła, kiedy odkrył prawdę. Rachel kazał się wynosić. Ale powinien najpierw jej powiedzieć, co myśli o takich kobietach. Może nawet ostrzec Paula przed małżeństwem z nią.

Zrezygnowanym krokiem wracał do domu. Patrzył ponuro pod nogi. Wiedział, że nieprędko, jeśli w ogóle, pozwoli jakiejś kobiecie zbliżyć się do siebie.

Bez większego problemu zgubiła Paula w miasteczku. Był tak bardzo zadowolony ze zwycięstwa i zadufany w sobie, że nie przyszło mu do głowy, by Rachel ponownie próbowała mu się przeciwstawić. Ona zaś, zostawszy trochę z tyłu, skręciła w znaną sobie uliczkę, potem drugą... i to wystarczyło.

Koleżanka Esperanzy przyjęła ją ciepło i zaproponowała śliczny, wygodny pokój z oknami wychodzącymi na ma-

ły ogród. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła zamek górujący nad miasteczkiem.

Większość dnia spędziła, wpatrując się w dom Luisa i próbując zgadnąć, co on teraz robi. I bardzo cierpiała. Nie chciał z nią porozmawiać, wyrzucił z domu, potraktował jak Bonitę...

A może Luisa nie obchodziło, czy Rachel była taka sama jak jego była żona czy też nie? Może tylko skorzystał z pretekstu, by skończyć wakacyjny romans?

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Była zła i smutna. Postanowiła ponownie, że nie wyjedzie, dopóki nie porozmawiają. Może nic to nie zmieni, ale chciała, żeby Luis inaczej ją zapamiętał.

Następnego ranka pojechała do zamku. Nacisnęła dzwonek u drzwi i nerwowo powtarzała to, co po nocnych przemyśleniach postanowiła powiedzieć Luisowi.

Ku jej przerażeniu, mina Esperanzy mówiła wszystko.

- Nie ma go. Wyjechał wcześniej i powiedział, żeby nie spodziewać się go szybko.

- Och - westchnęła Rachel. - Przyjechałam wyjaśnić zamieszanie z Paulem. Nie wiesz, kiedy go zastanę?

Esperanza pokręciła przecząco głową. W jej oczach malowały się sympatia i zrozumienie.

- Cóż, rozumiem - powiedziała zrezygnowanym tonem Rachel. - Mogę zadzwonić po taksówkę?

- Niedługo będę jechała na zakupy i mogę cię podwieźć do miasta - zaoferowała Esperanza.

- Dziękuję. Żeby nie siedzieć beczynn timer, mogę przepisać fragment tekstu.

- Przygotuję lunch i potem możemy jechać, dobrze?

Rachel uśmiechnęła się smutno, skinęła głową i poszła do gabinetu.

Gdy usiadła przed komputerem i zaczęła pracować, pomyślała, że może zdąży skończyć całą książkę i Luis mógłby jej zapłacić. Nigdy nie rozmawiali o wynagrodzeniu i choć ostatnio wydawała mniej, to jej portfel świecił pustkami.

Ale zaraz, pomyślała. Przecież ojciec już wie, gdzie jestem, więc mogę korzystać z kart kredytowych.

Po lunchu wróciła do pracy. Esperanza szykowawała się do wyjścia, a Rachel zaczytała się w powieści. Miała nadzieję, że odkryje, kto jest mordercą, zanim będzie musiała opuścić zamek na zawsze. Nerwowo czytała tekst, gdy niespodziewanie na biurku wylądował jej paszport.

- Ciężko bez tego opuścić kraj - powiedział Luis.

Uniosła wzrok. Nie sprawiał przyjaznego wrażenia, ale i tak ciepło wlało się do jej serca.

- Zapomniałam, że go masz.

- Przypomniałabyś sobie, próbując odlecieć z Madrytu. Byłem na lotnisku, ale ciebie tam nie było.

- Poleciałeś do Madrytu tylko po to, żeby oddać mi paszport?

- Niezupełnie. Chciałem porozmawiać o twoim powrocie do zamku.

- Ale ja wcale nie wyjeżdżałam.

- Jak to?

- Paul pewnie odleciał.

- Nie wiesz tego na pewno?

- Nie wiem. Uciekłam mu.

- Co? - Luis czuł się coraz bardziej zagubiony.

- Uciekłam. Porzuciłam. Zostawiłam...
- Rozumiem, co to znaczy. Ale dlaczego?

- Mówiłam ci już wczoraj. Nie jestem i nigdy nie byłam z nim zaręczona. On na to napierał, ale nic z tego. Razem z moim ojcem mogą sporo zarobić, jeśli połączą siły. Nasze małżeństwo to niejako pieczęć pod ich średniowiecznym układem...

Położył dłoń na jej ustach.

- Mówisz o facecie, o którym niekoniecznie mam ochotę słuchać.

Zamrugała nerwowo. Smak i zapach jego skóry spowodował szybsze bicie serca.

- Dobrze, ani słowa o nim. To o czym będziemy rozmawiać? Może powiedz mi, dlaczego pojechałeś do Madrytu...

- Żeby zabrać cię z powrotem do zamku. Co ty w ogóle tu robisz?

- Przepisuję twoją książkę, już prawie skończyłam. Muszę wiedzieć, kto jest zabójcą. Jeśli nie chcesz, żebym to robiła, to pozwól mi szybko przeczytać do końca.

- Myślałem, że już wyleciałaś... - powiedział cicho.

- Nie mogłam, bo jeszcze czegoś nie zrozumiałaś.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Że nie zachowywałam się jak Bonita. Że nikogo nie zdradzałam, nie oszukiwałam. I że nigdy bym ciebie nie skrzywdziła. Prawdę mówiąc, byłam zaskoczona, gdy tak bez słowa wyrzuciłeś mnie z domu.

- Coś mnie opętało. Poczuję się oszukany. Jak wtedy przez Bonitę.

- To było oczywiste.

- Tak, ale potem zacząłem wspominać czas, który spędziliśmy razem. Przypomniałem sobie, jak byłaś poruszona prawdą o mojej byłej żonie. Z jakim samozaparciem dążyłaś do poznania prawdy o swojej matce. Przyszło mi do głowy, że ktoś, kto z taką determinacją walczy z kłamstwem, sam nie może kłamać.

- Czyli wiesz, że Paul łągał jak najęty, mówiąc o naszym narzeczeństwie?

- Łgał... ale też wyrażał swoje pragnienia.

- Tak uważasz?

- Świetnie go rozumiem, bo mam podobne.

- Nie rozumiem...

Podszedł do drzwi balkonowych.

- Jako chłopak bardzo się denerwowałem podczas randek. - Odwrócił się w stronę Rachel. - Teraz też jestem cały spięty... więc powiem po prostu: również pragnę, żebyś przyjęła moje oświadczyzny, a później została moją żoną.

Zerwała się z fotela i jednym susem dopadła do Luisa. Zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się mocno w jego ramiona.

- Masz to jak w banku! - krzyknęła. - Tak bardzo się bałam, że nigdy mnie nie wysłuchasz; że nigdy już cię nie zobaczę.

Odsunął ją delikatnie, żeby widzieć jej twarz.

- Wyjdiesz za mnie, Rachel? Zamieszkasz ze mną w Hiszpanii? Będziesz wypełniać moje noce miłością i dni światłem? Tak jak robiłaś to przez cały ten tydzień...

- Tak, tak, tak. - Całowała go bez opamiętania.

- Kocham cię, skarbie. Nigdy więcej mnie nie zostawiaj - wymruczał jej do ucha.

- Ja też cię kocham. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak przez ostatnie dni. I nigdy nie byłam tak zdruzgotana, kiedy kazałeś mi wyjechać. Najpierw myślałam, że po prostu zakończyłeś romans, który zaczął ci zawadzać...

- To prawda, z początku myślałem jedynie o wakacyjnym romansie, ale gdzieś po drodze wszystko się zmieniło. Chcę cię i nigdy nie pozwolę ci odejść - oświadczył uroczyście i pocałował ją czule.

- Jadę teraz do miasta. - W drzwiach pokazała się Esperanza. - Ale nie wydaję mi się, żebyś nadal potrzebowała transportu.

- Droga Esperanzo, pogratuluj mi. Rachel zgodziła się zostać moją żoną - oświadczył dumnie Luis.

Gospośia uśmiechnęła się serdecznie.

- Och, wiedziałam, że tak się stanie. Czekałam tylko, kiedy wreszcie pójdziesz po rozum do głowy. Dzięki Bogu, stało się i bardzo się cieszę. - Wciąż uśmiechnięta, spojrzała na Rachel. - Luis bardzo długo czekał na właściwą kobietę, z którą jego życie nabierze blasku.

- Rachel jest właśnie tą kobietą. Na teraz i na zawsze. - Szarmancko ukłonił się narzeczonej i ucałował jej dłoń.

EPILOG

- Jestem taka zdenerwowana - powiedziała Rachel do Luisa, kiedy zatrzymali się przy krawężniku.

Duży parterowy dom znajdował się na przedmieściach Dallas. Otaczał go świeżo przycięty zielony trawnik.

- Jeśli wolisz to przełożyć...

- Nie. Wszystko już jest zorganizowane. Po prostu denerwuję się. - Chwyliła go za rękę. - Będziesz tam ze mną cały czas, prawda? Bez względu na to, co ona powie, dobrze?

- Kochanie, ona na ciebie czeka. Nie odrzuci cię. Wiesz już przecież, że tylko umowa między nią a twoim ojcem nie pozwalała jej kontaktować się z tobą.

- Ale przecież tak naprawdę w ogóle mnie nie zna. Co będzie, jeśli mnie nie polubi?

- Pokocha cię tak mocno, jak ja ciebie kocham. - Nachylił się i pocałował ją w czoło.

Słowa Luisa działały jak balsam. Pomyślała, że tak naprawdę nie ma większego znaczenia, czy matka ją odrzuci, czy nie. Ma Luisa i to jest w tej chwili najważniejsze.

- W porządku. - Odetchnęła głęboko. - Jestem gotowa.

Trzymając się za ręce, podszli do drzwi. Gdy wyciągnęła rękę do dzwonka, przypomniała sobie, jak niedawno dzwoniła do drzwi zamku. Wydarzenia ostatnich tygodni

przewinęły się jej przed oczami. Spojrzała na swojego męża i obdarzyła go serdecznym uśmiechem.

Zadzwoniła.

Po chwili drzwi się otworzyły.

Od kobiety, która wyglądała jak starsza kopia Rachel, biły miłość i szczęście.

- Moje kochane dziecko, moje najdroższe. Tak bardzo za tobą tęskniłam. - Przytuliła ją mocno. Łzy spłynęły po jej policzkach.

Rachel odwzajemniła uścisk. Cieszyła się, bo wszystko w jej życiu układało się wspaniale. Będzie teraz miała dużo czasu na wyjaśnienia, rozmowy, poznawanie braci i siostr.

Matka Rachel zwolniła uścisk i otarła łzy.

- Chodźcie do środka, proszę. Moja rodzina niecierpliwie was wyczekuje. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Rachel uśmiechnęła się do Luisa.

- Teraz mam już wszystko.

- Tak, najdroższa. - Ujął jej dłoń z przekonaniem, że już nigdy jej nie wypuści.



KATHRYN ROSS
HISZPAŃSKIE ZARĘCZYNY



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziwne. Jak życie może się odmienić w jednej chwili, rozmyślała Carne, wsiadając do samolotu. Dawniej po podróżach służbowych do Paryża żyła jeszcze zakupami na Polach Elizejskich, wspominała drinki z kolegami z paryskiego biura, teraz nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do domu i do bratanicy.

Pilot ogłaszał właśnie, że mają spóźnienie i wylądują w Barcelonie o szesnastej trzydzieści. Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy zdąży odebrać Molly z przedszkola. Zwykle nie powinno to stanowić problemu, bo Molly mogła, odebrać opiekunka, ale w tym tygodniu Sylvia wzięła wolne z powodu jakichś kłopotów rodzinnych i Carne sama odbierała małą. Oznaczało to poważną reorganizację zajęć, ale prawdę powiedziawszy, był to najmiłszy moment dnia, kiedy Molly wybiegała z sali z szerokim uśmiechem i rzucała się w objęcia ciotki.

Carrie pracowała jako specjalistka od reklamy, była w tym naprawdę dobra i miała dni wypełnione pracą, ale od kilku miesięcy, od kiedy Molly z nią zamieszkała, kariera przestała nagle być najważniejsza w jej życiu. Dla Carrie była to fundamentalna zmiana, bo dotąd zawsze na pierwszym miejscu stawiała karierę: w biurze pojawiała się zawsze pierwsza, wychodziła ostatnia. Była ceniona, miała znaczące stanowisko. Teraz nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu. Zamiast fascynujących raportów wołałaby czytać Molly bajki na dobranoc.

Koledzy w biurze zauważyli zmianę, zwierzchnicy również. Niedobrze. Praca była świetnie płatna i nienormowana i wiele osób chętnie wskoczyłoby na miejsce Carrie. Z podróży z Paryża wiozła do Barcelony kilka bardzo intratnych kontraktów - cenny łup krótkiej podróży. Nie obchodziło jej, co ludzie myślą. Była potrzebna Molly i to było najważniejsze.

Kiedy ojciec Molly zginął w tragicznym wypadku trzy miesiące wcześniej, Carrie nie wahała się ani chwili. Molly była córką jej przyrodniego brata i nie miała żadnych krewnych poza ciotką oraz dziadkami w Australii, których prawie nie znała. Carrie bez zastanowienia podpisała potrzebne papiery i tak oto stała się prawną opiekunką małej, a kilka tygodni później wniosła do sądu wnioski o adopcję, pewna że to tylko formalność i że na Boże Narodzenie Molly będzie już jej córką. Tymczasem przed kilkoma dniami dostała list od babci Molly, że starsza pani jest przeciwna takiemu rozwiązaniu i wybiera się w związku z tym do Barcelony, by porozmawiać o sprawie.

Przylatywała następnego dnia wieczorem i Carrie z niepokojem myślała o jej wizycie.

Następnego dnia przypadał piątek. Carrie miała mnóstwo pracy w biurze i ważne spotkanie z producentem wina Santos, dla którego miała przygotować kampanię reklamową. Opracowała dobry projekt, jej szef Jose dał jej zielone światło, ale widziała, że obserwuje ją coraz baczniej. Jutrzejšie spotkanie z ludźmi Santosa miało być testem: jeśli zdobędzie ten kontrakt dla firmy, potwierdzi, że nadał jest dobra.

Pochłonięta myślami Carrie od niechcienia zerknęła na mężczyznę, który właśnie zajął sąsiedni fotel, i już miała wrócić do papierów, które przed chwilą wyjęła z teczki, ale znieruchomiała. Bo facet był absolutnie zabójczy.

Jego obecność działała rozpraszająco, Carrie nie mogła się skupić. Nigdy jeszcze obecność żadnego faceta tak na nią nie podziałała. Nawet lekki cień zarostu zdawał się działać obezwładniająco.

Od czasu do czasu zerkała na niego ukradkiem: piękny, surowy profil, gęste, ciemne włosy, elegancka marynarka, duże, zręczne dłonie. Musiał mieć wzięcie u kobiet, sądząc po uśmiechach rozanielonych stewardes, więc Carrie, na przekór, postanowiła zupełnie nie zwracać na niego uwagi.

W czasie startu, kiedy odchyliła się wygodnie w fotelu, mimowolnie dotknęła jego dłoni, kładąc dłoń na oparciu.

- Przepraszam - bąknęła, a on się lekko uśmiechnął.

Odpowiedziała uprzejmym półuśmiechem, ale dotyk podziałał jak prąd elektryczny. Carrie była osobą, która lubiła panować nad swoimi emocjami i teraz przechodziła prawdziwy czyściec wypełniony nieoczekiwanymi i niechcianymi doznaniem.

Kiedy samolot osiągnął pułap lotu, sięgnęła z powrotem po teczkę i zajęła się papierami.

- Leci pani służbowo do Barcelony? - zagadnął Piękny Nieznajomy.

- Mieszkam tam. Wracam z podróży służbowej. - Wyczuła subtelny hiszpański akcent w jego słowach. Stąd te kruczoczarne włosy i czarne oczy.

- A pan? Mieszka w Barcelonie czy leci tam w interesach?

- Jedno i drugie. - Uśmiechnął się.

Nie zapytała, czym on się zajmuje. W każdym razie sprawiał wrażenie człowieka zamożnego i pewnego swojej pozycji w świecie. Próbowала zająć się dokumentami, ale dziesięć razy w kółko czytała ten sam akapit, myślami krążąc wokół sąsiada.

Podśluchiwała, jak rozmawia po hiszpańsku z jedną ze stewardes. Jego angielski był już wystarczająco seksowny, ale niskie, gardłowe tony ojczystej mowy mogły przyprawić o zawrót głowy.

Carrie była z pochodzenia Angielką, ale była dwujęzyczna i bez problemu nadążała za konwersacją. Stewardesa flirtowała z Pięknym, a on najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. I nic dziwnego, pomyślała Carrie, bo dziewczyna była śliczna.

Raz jeszcze wlepiła wzrok w raport, który trzymała w dłoni, nakazując sobie nie podśluchiwać. Co ją obchodzi, czym facet się zajmuje? Nie jej sprawa. Musi się przygotować do jutrzejszego spotkania w sprawie kampanii dla Santos. Jeśli

teraz przejrzy papiery, wieczorem będzie miała czas, żeby posprzątać mieszkanie na przyjazd babki Molly.

- Ma pani ochotę na drinka? - zagadnął nieoczekiwanie.

Podniosła głowę i zobaczyła, że stewardesa czeka na przyjęcie zamówienia.

- Dziękuję, nie mogę. Muszę się skupić na pracy.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił z uśmiechem.

Cholera, co za niezmierny uśmiech, pomyślała Carrie wbrew sobie.

Samolotem zarzuciło i część papierów ze stolika Carrie sunęła się pod stopy Pięknego. Podniósł je natychmiast.

- Dziękuję. - Znowu mimowolny dotyk dłoni i ten sam dreszcz.

Co się z nią, do diabła, dzieje? W końcu spotykała w życiu setki przystojnych facetów, ale żaden nie działał na nią w ten sposób.

- Pani pracuje dla Santos Wincs? - zapytał, widząc logo na dokumentach.

- Niezupełnie. Pracuję dla agencji reklamowej. Mamy nadzieję zorganizować im dużą kampanię telewizyjną.

- Naprawdę? To ciekawe. Produkują doskonale wina.

- Tak? - Carrie się uśmiechnęła. - Nigdy nie próbowałam żadnego z ich win, chociaż nie powinnam się chyba do tego przyznawać.

- Chyba nie. - Piękny odpowiedział wesołym uśmiechem.

Carrie przybrała znowu rzeczowy ton:

- Tak czy inaczej potrafię zareklamować ich wina. Jestem dobra w swoim fachu. Potrafię sprzedać każdy produkt, zły czy dobry. To mój zawód.

- Wiara w jakość produktu nie ma znaczenia?

- Ależ ma - poprawiła się Carrie pospiesznie. - Jutro dowiem się czegoś więcej o jakości win Santos. Będę zwiedzała jedną z ich winnic, mam się spotkać z producentem.

Piękny nieznajomy zmierzył ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów i Carrie zrobiło się gorąco. Miała wrażenie, że dotykał jej oczami, w których chyba błysnęła iskra żywego zainteresowania.

Odwróciła szybko wzrok.

- Zechce pan wybaczyć, ale muszę wrócić do pracy.

- Oczywiście. - Skinął uprzejmie głową. Stewardesa przyniosła Pięknemu drinka, a w jakiś czas potem zaczęto serwować posiłek i Carrie musiała odłożyć papiery. Dziwne, ale bez nich czuła się zupełnie bezbronna. Chowając głowę w papierach, mogła przynajmniej udawać, że facet nie robi na niej żadnego wrażenia.

- Jak praca? - zagadnął, gdy wyjęła sztućce i wbiła wzrok w danie na tacce.

- Dziękuję - bąknęła.

- Cieszę się. .

Pojawiła się stewardesa z butelką wina.

- Teraz nie może już pani odmówić - powiedział Piękny z uśmiechem. Okazało się, że zamówił białego santosa. - Powiedzmy, że to połączenie przyjemności i pracy.

- Bardzo miło z pana strony, ale...

- Nie kierują mną żadne ukryte pobudki - przerwał jej i nalał wina. - Po prostu chcę wiedzieć, czy będzie pani smakowało. - Co prawda, powiedziała pani, że dla jej kampanii nie ma to najmniejszego znaczenia, niemniej - wzruszył lekko ramionami - jestem bardzo ciekaw, co pani powie. Carrie upiła mały łyk.

- I jak?

Odczekała moment.

- Odświeżające. O owocowym posmaku... niezbyt wytrawne... - Upiła kolejny łyk. - Bardzo dobre - przyznała uczciwie. - Nie jestem znawczynią, ale mam przyjaciela kiperą. W każdym razie teraz mogę zaczynać kampanię bez najmniejszych wyrzutów sumienia... O ile oczywiście Santos

przyjmie nasz projekt i podpisze z nami kontrakt. Sprawa nie jest jeszcze przesądzona.

Piękny nalał też sobie i uniół kieliszek w toaście.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej agencji. Jest duża czy mała?

- Nazywa się Images. To bardzo duża agencja. Mamy biura w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu i Madrycie. Rok temu otworzyliśmy filię w Barcelonie, w której ja pracuję. Stworzenie tej filii było prawdziwym wyzwaniem, ale zostaliśmy zauważeni, zaczynamy otrzymywać ciekawe zamówienia.

- Rozumiem, że została pani przeniesiona z biura londyńskiego do Barcelony?

- Tak. Ja i mój szef Jose. Resztę zespołu dobraliśmy sobie na miejscu. Dla mnie to wspaniała szansa. A Barcelona jest cudownym miastem.

- Tak, Barcelona jest cudowna - przytaknął. - Zawsze z przyjemnością tu wracam.

Ciekawe do kogo, pomyślała Carrie. Jeśli zmysłowość można by mierzyć w skali od 1 do 10, to Piękny znajdował się absolutnie poza skalą.

- Jeśli będzie pan kiedykolwiek potrzebował dobrej reklamy, proszę pamiętać o Images - plotła, co jej ślina na język przyniosła, żeby pokryć zmieszanie. Ona, zwykle taka opanowana, taka chłodna.

- Z pewnością będę pamiętał. - Uśmiechnął się. - Co przygotowaliście dla Santos?

Wahała się chwilę, zanim odpowiedziała na jego pytanie.

- Ja nie jestem z branży - zastrzegł się.

- Czym się pan zajmuje?

- Jestem prawnikiem.

- Naprawdę? - Już miała ochotę zapytać, co wie o prawach adopcyjnych, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Nie chciała rozmawiać o sprawach prywatnych, o pracy, proszę bardzo.

Nie sprawiał wrażenia człowieka, który dni pracy spędza za biurkiem. Był w doskonałej kondycji, miał świetną sylwetkę, jak ktoś, kto jest w ciągłym ruchu albo dużo ćwiczy. Musiał być jakieś pięć, sześć lat starszy od niej i widać było, że bardzo dba o siebie.

- Zajmuję się prawem korporacyjnym. Pracuję głównie dla wielkich kompanii i korporacji, jak sama nazwa wskazuje.

- Rozumiem. - Skinęła głową, rada, że nie wyskoczyła z pytaniem na temat adopcji. Zresztą nie powinna mieć żadnych problemów. Spotka się z babką Molly, przedstawi jej sytuację i będzie mogła zakończyć postępowanie adopcyjne.

- Nie znamy się jeszcze - powiedział. - Maks.

- Carrie Michaels.

- Miło mi. Carrie.

- Powiedz mi zatem coś na temat waszej kampanii dla Santos Wines.

Wydawał się autentycznie zainteresowany, więc Carrie zaczęła opowiadać:

- To firma rodzinna i chcemy to podkreślić w kampanii. - Wyjęła z teczki rysunek, który narysowała Molly i podsunęła Maksowi. Rysunek przedstawiał patykowate figurki tańczące pośród winorośli.

- Bardzo artystyczny pomysł. Sama to narysowałaś?

Carrie się uśmiechnęła.

- To dzieło mojej czteroletniej bratanicy.

W zeszłym tygodniu męczyłam się nad pomysłem do kampanii, nic mi nie przychodziło do głowy. Zobaczyłam ten rysunek i pomyślałam: idealny.

Zmienimy wizerunek Santos Wines na rodzinny, ciepły i bezpretensjonalny.

Z Maksem łatwo się rozmawiało. Zadawał trafne, treściwe pytania. Dyrektor firmy, z którym miała spotkać się następnego dnia, zapewne będzie zadawał podobne.

- Lot minął nie wiadomo kiedy - powiedziała, kiedy zaświeciły się kontrolki przypominające o zapięciu pasów przed lądowaniem. - Mam nadzieję, że nie zanudziłam cię opowieściami o swojej pracy.

- Wręcz przeciwnie. To było fascynujące. Nie była pewna, czy nie powiedział tego przez zwykłą grzeczność. Kogo mogą interesować tajniki reklamowania wina?

Samolot usiadł łagodnie na płycie lotniska i Carrie zrobiło się trochę markotno, że tak niewiele zdołała się dowiedzieć o pięknym Maksie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wyciągnął z niej całkiem sporo informacji, ale na swój temat nie powiedział właściwie nic.

Pasażerowie zaczęli wstawać i dopiero teraz zobaczyła, jaki jest wysoki, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

- Bardzo miło mi się leciało w twoim towarzystwie - powiedział uprzejmie.

- Mnie również - odpowiedziała Carrie i ruszyła do wyjścia.

Obejrzała się jeszcze i zobaczyła, że stewardesa mówi coś do Maksa, położywszy mu dłoń na ramieniu. Pewnie chce dać mu swój numer, pomyślała z przekąsem. Jej były mąż był taki sam, gdzie się pojawił, otaczały go natychmiast zachwycone kobiety.

Ponieważ miała tylko bagaż podręczny, przeszła szybko przez odprawę paszportową i wyszła przed lotnisko. Zwykle czekało tu mnóstwo taksówek, tym razem tylko jedna. Szybko ruszyła w jej stronę i zorientowała się, że ktoś już w niej siedzi. Pasażer odwrócił się i rozpoznała w nim Pięknego Maksa z samolotu. Nie mogła zrozumieć, jakim sposobem tak szybko wydostał się z lotniska.

- Podwieźć cię? - zawołał, otwierając drzwi. - Wyglądasz na osobę, która się spieszy.

Carrie pomyślała o czekającej na nią Molly i skinęła głową.

- Dzięki. - Wsiadła z uśmiechem do samochodu. - Rzeczywiście się spieszę. Muszę odebrać bratanicę z przedszkola.

- Nie ma problemu, jedziemy. Dlaczego właśnie ty odbierasz bratanicę z przedszkola? - zapytał Maks. - Gdzie są jej rodzice.

- Nie żyją. Matka umarła dwa lata temu... a ojciec... mój brat zginął kilka miesięcy temu w wypadku samochodowym.

- Przykro mi. - Pokręcił głową ze współczuciem. - Biedna mała.

- Tak. - Tony był tylko przyrodnim bratem Carrie, ale bardzo jej bliskim. Między innymi ze względu na niego zdecydowała się przenieść do Barcelony, bo tu mieszkał. Ciągłe nie mogła uwierzyć, że już go nie ma. - Ale jakoś sobie radzimy.

- Wierzę - przytaknął. - Sprawiasz wrażenie bardzo zaradnej osoby.

- Dziękuję za podwiezienie. Ile wybiło na taksometrze?

- Daj spokój. I tak jechałem w tę stronę. Carrie chciała się sprzeczać, ale podniosła głowę i zobaczyła Molly stojącą przed wejściem do przedszkola w towarzystwie jakiejś starszej pani.

Babcia, pomyślała z przerażeniem Carrie. Do tego wściekła jak wszyscy diabli.

Co ona tu robi? Miała przylecieć dopiero następnego dnia.

- Coś nie tak? - zapytał Maks.

- To... babcia Molly. Wygląda na mocno zezłoszczoną. Pewnie dlatego, że się spóźniłam.

- Wcale się nie spóźniłaś. Popatrz, inne dzieci dopiero wychodzą.

- Dla Carmel nawet pięć minut jest poważnym uchybieniem, wnosząc z listu, jaki mi ostatnio przysłała. Uważa, że Molly będzie miała lepiej u dziadków. Ja jestem samotna, mam absorbującą pracę, nie potrafię zająć się dzieckiem tak jak oni.

- Jest mnóstwo samotnych matek i jakoś sobie radzą. Jeśli Molly jest z tobą szczęśliwa, nie wiedzę problemu.

- Ja też nie, ale Carmel jest innego zdania. Taksówka zatrzymała się tuż przy dyszącej wściekłością pani. Gdyby nie ta wściekła mina, Carmel McCormack byłaby całkiem miłą osobą. Carrie podziękowała Maksowi i wysiadła.

- Powodzenia - rzucił jeszcze. - I do zobaczenia.

„Do zobaczenia“?, zdziwiła się, patrząc za odjeżdżającą taksówką. Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze mieli się zobaczyć. Dwoje ludzi w drodze... Nawet nie знаła jego nazwiska. Zrobiło się jej smutno. Był taki przystojny i pełen zrozumienia... i tak dobrze się z nim gadało. Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak łatwo nawiązała kontakt z obcym człowiekiem.

Cóż. W tej chwili miała zupełnie inny problem na głowie.

- Carrie, spóźniłaś się. Biedna Molly musiała czekać na ciebie - głos Carmel brzmiał karcąco.

- Tylko pięć minut. Miło cię widzieć, Carmel. Spodziewałam się ciebie dopiero jutro.

- Udało mi się przebukować bilet na wcześniejszy lot. Mój mąż przyleci jutro.

Czyżby babcia chciała ją nakryć na jakiejś niecnocie, przylatując wcześniej? - przemknęło Carrie przez myśl.

- Jak się czuje Bob? - zapytała uprzejmie, mając na względzie fakt, że Bob kilka miesięcy wcześniej przeszedł atak serca.

- Nie najlepiej - tu głos Carmel złagodniał.

- Inaczej przyleciałabym znacznie wcześniej. Przykro mi, że nie mogliśmy być na pogrzebie Foniego. A teraz martwię się, co będzie z małą Molly.

Carrie spojrzała na małą, która tuliła się do niej z całych sił.

- Jakoś sobie radzimy, prawda. Mol? Dziewczynka skinęła głową, oderwała się od ciotki i pobiegła do jakiejś koleżanki, którą właśnie wypatrzyła.

- Tak jak ci już pisałam, nie sądzę, że to dobry pomysł, żebyś adoptowała Molly - oznajmiła Carmel z nie podlegającą dyskusji pewnością w głosie.

- Nie dyskutujemy o tym teraz, Carmel. Powiem ci tylko tyle, że nie rozumiem twoich obiekcji.

- Ależ to oczywiste. Moja wnuczka potrzebuje stabilnego domu, którego ty nie jesteś w stanie jej zapewnić.

- Proszę cię, Carmel, skończ. Jedźmy do mnie. Zrobij herbatę i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Molly powinna wrócić ze mną do Australii, tak będzie najlepiej - ciągnęła Carmel, jakby nie słyszała słów Carrie. - Wiele o tym myślałam. Wiem, że chcesz dla niej dobrze, ale twoje życie jest takie niestabilizowane.

- Niestabilizowane? - Carrie zmarszczyła czoło. - Chyba jednak się mylisz - powiedziała łagodnie.

- A kim był ten mężczyzna w taksówce? - natarła Carmel.

- Ten mężczyzna...?- Carrie nie spodziewała się akurat takiego pytania.

Nie powie przecież, że to obcy człowiek spotkany w samolocie. .

- Znajomy...

- Sama widzisz. To właśnie mnie martwi. Molly nie musi poznawać twoich kolejnych znajomych. Niedawno straciła ojca, potrzebuje oparcia w życiu.

- Będzie miała oparcie - powiedziała Carrie z przekonaniem.

- Maks... nie jest żadnym przelotnym ani przypadkowym znajomym.

- Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że wyjdiesz za mąż?

- Cóż... - Carrie zrozumiała w jednej chwili, że od jej odpowiedzi zawiśnie wos Molly. - Być może. - Nie kłamała. Niewykluczone, że pewnego dnia wyjdzie za mąż.

Carmel najwyraźniej odetchnęła.

- Drogie dziecko, nie wiesz nawet, jak się cieszę. To zmienia zupełnie postać rzeczy.

- Naprawdę?

- Oczywiście! - Carmel uściskała Carrie. - Masz rację, tu nie miejsce na prowadzenie rozmów. Jedźmy do ciebie.

- To dosłownie kilka kroków stąd. Molly ma blisko do przedszkola, a ja do pracy...

- Nieważne - przerwała jej Carmel. - Musisz mi opowiedzieć o tym młodym człowieku. Czym on się zajmuje?

- Jest prawnikiem - odparła Carrie niepewnie. Małe niewinne kłamstewko zaczynało się rozrastać do monstualnych rozmiarów.

- Prawnik! Wspaniale. I taki przystojny. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Musisz koniecznie zaprosić go na kolację do naszego hotelu jutro wieczorem.

- Nie mogę! - Carrie była przerażona. - On... wyjeżdża jutro w interesach.

Carmel się zatrzymała.

- Ale my musimy go poznać, moja droga.

- Oczywiście. - Carrie powoli robiło się niedobrze. - Zorganizujemy jakieś spotkanie.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Carrie miała właśnie wychodzić z biura, kiedy odezwał się telefon. .

- Tu Carmel, kochanie. Rozmawiałaś ze swoim chłopcem? Mój mąż przylatuje dzisiaj wieczorem, jutro sobota, moglibyśmy zjeść razem lunch. Zarezerwowałabym stolik w naszym hotelu.

Maks... Tylko to jedno interesowało Carmel. Dostała prawdziwej obsesji na jego punkcie. Nie przyjmowała wyjaśnień, że Maks jest strasznie zajęty. Co robić, zastanawiała się zdesperowana Carrie. Nie wyczeruje przecież babci Maksa na zawołanie.

- Maks prowadzi właśnie bardzo poważną sprawę... - jęknęła.

- Cóż, jeśli trzeba, przedłużymy nasz pobyt w Barcelonie. Musimy go poznać.

- Carmel, muszę już kończyć. Spieszę się. Zadzwoń do ciebie później.

Co za sytuacja... Nie powinna była kłamać. Co w nią wstąpiło? Ona, zawsze taka prawdomówna, wymyśliła bajeczkę, która obróciła się teraz przeciwko niej.

- Wszystko w porządku? - Do pokoju zajrzał Jose, szef Carrie. - Wyglądasz na zmęczoną. Dzieci to wielki obowiązek - nie mógł się powstrzymać od drobnej złośliwości.

Jose od początku był przeciwny temu, żeby Carrie zajęła się Molly. Kiedy przenieśli się z Londynu do Barcelony, nie tylko organizowali nowe biuro, ale też spotykali się prywatnie. Nic poważnego: wspólne kolacje, wyjścia do kina, do teatru. Z chwilą gdy pojawiła się Molly, Jose poczuł się obrażony czy też zagrożony. Nie rozumiał decyzji Carrie i prywatne stosunki urwały się raptownie.

- Molly to żaden obowiązek - warknęła Carrie. - Jadę właśnie do winnicy Santosów - ucieła dyskusję.

- Może Pablo powinien pojechać zamiast ciebie?

- Dlaczego? To moja kampania. - Jose miał na tyle przyzwoitości, że trochę się zmieszał.

- Wiem. Po prostu Pablo zauważył, że coś się z tobą dzieje, i zaproponował zastępstwo. Do winnicy kawałek drogi...

Wszyscy sępią, żeby przechwycić jej stanowisko, pomyślała ze złością. Jose natomiast daje jej w ten sposób mało subtelnie do zrozumienia, żeby zrewidowała swoją decyzję w sprawie Molly. Nie zamierzała nic rewidować. Poradzi sobie w pracy i będzie wychowywała Molly.

- Mamy ten kontrakt w kieszeni, Jose zapewniła szefa i wymaszerowała z biura.

Rezydencja Santosów świadczyła o zamożności rodziny, ale również o jej klasie: stary, piękny dom, pozbawiony wszelkiej ostentacji, wrosnięty w historię, urzekł Carrie od pierwszego wejrzenia. Zatrzymała samochód na podjeździe przed głównym wejściem, wysiadła i w drzwiach natychmiast pojawił się przysadzisty trzydziesto-kilkuletni mężczyzna.

- Panna Michaels, witam. Jestem Manuel Barrera, administrator winnic Santos.

- Miło mi, panie Barrera. - Rozmawiała z nim kilka razy wcześniej przez telefon i wydał się jej miłym człowiekiem. - Proszę mówić do mnie Carrie.

W drzwiach pojawił się ktoś jeszcze i Carrie przeżyła szok. Jej niby narzeczony - Maks.

- Pozwól, że ci przedstawię szefa firmy, oto Maks Santos.

- My się już znamy - oznajmiła Carrie chłodno.

Nie lubiła, kiedy z niej kpiono. Co gorsza, ten człowiek słuchał spokojnie jej wynurzeń na temat kampanii reklamowej, którą zaprojektowała dla jego firmy. I przedstawił się jako prawnik.

Maks był wyraźnie ubawiony.

- Miło cię widzieć znowu, Carrie.

Szybko się opanowała i odpowiedziała chłodnym uśmiechem. Potrzebowała tego kontraktu. Gdyby coś schrzaśniła, wycofała by się, jej rywale w firmie zacierałoby ręce z zadowolenia.

- Co za niespodzianka. Maks.

- Mam nadzieję, że miła. Manuel pokaże ci winnice, a potem omówimy twój projekt przy lunchu.

Myślała, że tu Maks pożegna się, ale on najwyraźniej zamierzał im towarzyszyć.

- Co słyhać u twojej bratanicy? - zapytał, kiedy wchodzili do ogromnych piwnic.

- Dziękuję, wszystko dobrze.

- Babcia już się nie gniewa na ciebie?

- Nie.

Ciekawe, co by powiedział, gdyby opowiedziała mu o swoim kłamstwie? Wpadłby pewnie w przerażenie.

Administrator zaczął opowiadać o procesie produkcji wina, Carrie usiłowała słuchać w skupieniu, ale była świadoma, że Maks cały czas ją obserwuje.

W co on grał? Dlaczego nie powiedział jej wczoraj, kim jest? Dlaczego po prostu się nie przedstawił? Nic nie wiedziała o tym człowieku.

Po zwiedzeniu piwnic ruszyli do winnicy. Upał wydawał się teraz dotkliwszy i Carrie pożałowała, że nie włożyła jakiejś zwiewnej sukienki zamiast służbowego granatowego kostiumu, sukienki, w której wyglądałaby znacznie atrakcyjniej. Co wcale nie oznaczało, że chciała wydać się atrakcyjna Maksowi.

Ktoś na chwilę odwołał Manuela i została sama z Maksem. Zerknęła na niego niepewnie, nie wiedząc czemu nagle speszona.

- Dlaczego wczoraj w samolocie nie powiedziałeś mi, kim jesteś?

Wzruszył ramionami.

- Mogłabyś próbować robić na mnie wrażenie, a tak, mówiłaś szczerze.

- Z pewnością starałabym się zaprezentować nasz produkt z najlepszej strony. To oczywiste - prychnęła. - Miałaś nade mną przewagę. To nieuczciwe.

- Może. Ale miłe.

- To nie jest zabawa - oznajmiła twardym tonem. - Ten kontrakt jest dla mnie bardzo ważny.

- Wiem. Zauważyłem to już wczoraj.

- Ale nie zechciałaś się przedstawić. I to zamawianie waszego wina w samolocie, pytanie mnie o zdanie... Gdybym powiedziała, że mi nie smakuje, nie rozmawialibyśmy pewnie teraz. Rano ktoś zadzwoniłby do Images i podziękował nam za współpracę.

- Nie zrobiłbym nic podobnego.- W oczach Maksa migotały wesole iskierki. - Zapewniam cię, że zaprosiłbym cię tutaj i omówił z tobą zasady kampanii. Niezależnie od tego, co myślisz o naszych winach.

Carrie odwróciła głowę i zamilkła. Rozpaczliwie szukała w głowie jakiegoś tematu, który skierowałby na powrót rozmowę na tematy ściśle zawodowe, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Była osobą pewną siebie i zwykle nie miewała tego rodzaju kłopotów, a jednak w towarzystwie Maksa czuła się jak ostatnia gapa.

Spojrzała na dorodne kiście: ciemne, ciężkie grona lśniły w słońcu.

- Kiedy zaczynacie winobranie? - zapytała I inteligentnie. - Winogrona sprawiają wrażenie dojrzałych. Ślinka cieknie na ich widok.

- Niebawem zaczniemy winobranie. Chcesz spróbować?

Kiedy skinęła głową, podał jej jedno grono ; prosto do ust. Było w tym goście coś tak intymnego, że krew uderzyła jej do głowy.

- I jak?

- Pyszne. - Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Być może zagrała tu jej wyobraźnia, ale atmosfera zrobiła się nagle bardzo zmysłowa.

Pojawił się Manuel.

- Przepraszam bardzo, ale wynikły jakieś problemy z terminami dostaw. Muszę was, niestety, przeprosić i wrócić do biura.

- I tak już skończyliśmy.

- Muszę z tobą porozmawiać, jak będziesz miał wolną chwilę - powiedział Manuel do Maksa, uklonił się Carrie i odszedł spiesźnie.

- Wybacz, ale czasami robi się tu naprawdę gorąco - usprawiedliwił się Maks. - Chodźmy do domu - powiedział i położył jej dłoń na plecach, kierując w odpowiednią stronę.

Dotknięcie było lekkie, ale Carrie miała wrażenie, że pali ją przez cienki materiał żakietu.

Z jednej strony ta bliskość była miła, z drugiej wydawała się niebezpieczna i Carrie najchętniej uciekłaby jak najdalej od tego dziwnego człowieka. Tym bardziej, że na pewno jest żonaty i ma dzieci.

To, co zrobił wczoraj, dowodziło, że lubi się bawić kosztem innych. Powinna bardzo uważać.

Weszli do willi i Maks wprowadził Carrie do przestronnego, chłodnego salonu otwierającego się na ogród, gdzie widać było basen otoczony leżakami.

Wystrój wewnątrz, do tego wazony z bukietami kwiatów, wszystko to świadczyło o dobrym smaku gospodarzy. Carrie nie mogła się doczekać, kiedy pozna żonę Maksa. Dom był pięknie urządzone, a sam Maks zbyt przystojny, by nie mieć żony.

- Może usiądziemy na tarasie? - zaproponował, otwierając drzwi prowadzące do ogrodu.

- Pięknie tutaj. - Carrie podeszła do balustrady, oparła się i podziwiała przez chwilę widok ogrodu, lasek pomarańczowy, góry na horyzoncie.

- Ja też lubię ten dom. - Maks nie spuszczał z niej oczu.
Czemu on mi się tak cały czas przygląda? - zastanawiała się.
- Mieszkasz tu sam? - zapytała wreszcie, nie mogąc się dłużej powstrzymać.
- Tak.
- Naprawdę? - Była zaskoczona i nie starała się nawet tego ukryć.
- Naprawdę. - Maks uśmiechnął się, rozbawiony jej reakcją.
- Rodzice mieszkają w starej rodzinnej rezydencji dziesięć kilometrów stąd, a ja postanowiłem zamieszkać tutaj. Cała ta okolica należy do mojej rodziny.
- To duży dom, jak dla jednej osoby - zauważyła.
- Może, ale ja lubię przestrzeń.
- Ja też. Chociaż moje mieszkanie w zupełności mi wystarczało. Do teraz - zaczęła opowiadać. - Jest niewielkie, w dobrym punkcie. Kiedy je kupowałam, to było dokładnie to, co chciałam. Teraz, kiedy zamieszkała ze mną Molly, będziemy musiały poszukać czegoś większego. - Uśmiechnęła się. - Nie takiej willi, oczywiście, ale myślę o jakimś domku z niedużym ogrodem, gdzie Molly będzie mogła się bawić. - Zamilkła na chwilę. - O ile oczywiście sąd przyzna mi prawo opieki.
- Molly bardzo dużo dla ciebie znaczy, prawda? - zapytał cicho.
- Tak. - Carrie uniosła głowę. - Molly jest dla mnie wszystkim. Poza nią nie mam żadnej rodziny.
- Rozumiem. Rodzina jest bardzo ważna. Te winnice od pokoleń należą do naszej rodziny. Ja jestem jedynakiem i kiedyś sam będę chciał przekazać te ziemie swoim dzieciom.
- To miłe, takie poczucie ciągłości. Maks wzruszył ramionami.
- Z jednej strony tak, z drugiej to presja.
- Jaka presja?

- Cała nasz rodzina zajmuje się winem. Kuzyni, stryjowie, wujowie. Wszyscy oczekują, że człowiek wywiąże się godziwie z zadania, odniesie sukces.

- Jeśli my ci przeprowadzimy kampanię reklamową, sukces masz gwarantowany - zapewniła go.

Maks się roześmiał.

- Potrafisz prowadzić interesy, to trzeba przyznać.

- Oczywiście. Dlatego właśnie powinienś mnie zatrudnić.

Na moment zapadło milczenie, poczym Carne zapytała:

- Dlaczego powiedziałeś mi wczoraj, że jesteś prawnikiem?

- Bo jestem.

- I prowadzisz winnicę?

- Niezupełnie i nie do końca. Jestem w radzie nadzorczej. Winnicę przejmę, kiedy ojciec zdecyduje się odejść na emeryturę.

- Rozumiem.

- Ojciec jest właśnie w szpitalu. Kilka tygodni temu miał niewielki wylew. Dlatego przez jakiś czas muszę go zastępować.

- Przykro mi. Jak on się czuje?

- Dobrze. Lekarze mówią, że szybko wróci do zdrowia.

- To musi być ulga dla ciebie. Maks pokiwał głową.

- Tak, chociaż w pierwszej chwili był to szok. Wydawało mi się, że mój ojciec jest nie do pokonania... Myślałem, że wiele czasu jeszcze upłynie, zanim przejmę jego imperium. Teraz nie jestem tego taki pewien.

Pokojówka przyniosła drinki. Carrie i Maks osiedli przy stole.

- A teraz powiedz mi coś o sobie - poprosił.

- Opowiedziałam ci wszystko już wczoraj.

I prawdopodobnie zanudziłam na śmierć. Przejdźmy raczej do interesów - zaproponowała trzeźwo. - Co myślisz o moim pomysłe?

- Myślę, że jest dobry. Ojciec na pewno by go zaakceptował.

- Będziesz się z nim konsultował czy sam podejmiesz decyzję?

- Staram się odciążać go, jak to tylko możliwe. Matka też nie chce, żeby w obecnym stanie podejmował jakiegokolwiek decyzje. Co oznacza, że ostatecznie słowo należy do mnie. - Maks się uśmiechnął. - No i wyciągnęłaś to ze mnie. Uprzedzam jednak, nie podpiszę kontraktu, nie omówiwszy wszystkich szczegółów.

- Zniosę to.

- Nawet jeśli będzie to oznaczało bardzo, bardzo długi biznes lunch? - zapytał z uśmiechem.

- Absolutnie - przytaknęła Carrie.- Możesz dysponować moim czasem.

- Miło to słyszeć.

Carrie spojrzała mu w oczy i poczuła jakąś magnetyczną energię. Ciekawe, co by powiedział, gdyby poprosiła, żeby zjawił się jutro na lunchu w hotelu i udawał jej fatyganta. Szybko odrzuciła tę myśl. Nigdy nie należy łączyć interesów z życiem prywatnym. Poza tym Maks Santos byłby co najmniej zdziwiony, gdyby mu powiedziała, co nakłamała babci Carmel. Może nawet wycofałby zlecenie na kampanię i wybrał sobie kogoś poważniejszego do współpracy.

- Przejdźmy zatem do omawiania szczegółów - powiedziała, otwierając teczkę i wyjmując papiery.

Maks obserwował z podziwem, jak Carrie profesjonalnie przystępuje do rozmów. Intrygowała go. Od dawna żadna kobieta go tak nie intrygowała.

- Jeśli akceptujesz wszystkie moje propozycje, może podpiszemy kontrakt od razu dzisiaj?- zaproponowała, kiedy po długich debatach wiedli do lunchu.

- Nagle strasznie zaczęło ci się spieszyć - zauważył.

- Czas to pieniądz. Ty też nie lubisz go chyba marnować.

Uśmiechnął się.

- Masz rację, nie lubię, ale na bardzo długi biznes lunch mam czas.

- Oby nie za długi - zastrzegła się Carrie.

- Jeśli wrócę do Barcelony zbyt późno, babcia Carmel mnie powiesi - powiedziała nienaturalnie lekkim tonem i zabrała się do jedzenia sałaty z pomidorów i mozzarelli, polanej oliwą z oliwek oraz przyprawionej bazylią.

Maks obserwował ją uważnie. Nigdy nie spotkał kobiety, która tak bardzo starałaby się zachować dystans, była tak chłodna i wyniosła. Wyczuwał, że chowa się za swoim profesjonalizmem, a naprawdę jest krucha i delikatna. Nagle przyszło mu do głowy, że ktoś kiedyś musiał ją bardzo skrzywdzić.

- Postaram się nie zatrzymywać cię zbyt długo - obiecał. - Odbierasz dziś Molly z przedszkola?

- Nie. Babcia ją odbiera. Prosiła, żebym się zgodziła. Chce jak najwięcej czasu spędzić " z wnuczką.

- W takim razie spieszysz się na randkę?

- Absolutnie nie. Mam dość skomplikowane życie i bez tego. Po prostu chcę być w domu, kiedy Carmel przyprowadzi Molly. Jest wiele do omówienia.

- Masz życie wypełnione po brzegi - zauważył. - To tak jak ja.

Dało się słyszeć jakieś zamieszanie w holu i po chwili w jadalni pojawił się Manuel z dwójką dzieci.

- Odwołano dzisiaj część lekcji - wyjaśnił.

- Żona nie wróciła z miasta. Odwiozę ich do dziadków.

- Oczywiście - zgodził się Maks. Dzieciaki, nie czekając na zachętę, przypadły do niego, a on wyściskał serdecznie oboje.

- Wujku, wujku, w przyszłym tygodniu mama urządzi nam urodziny w ogrodzie - mówili jedno przez drugie. - Przyjdziesz? Powiedz, że przyjdiesz? Wszyscy przyjdą. Będą kucyki i barbecue i w ogóle... Obiecuj...

- Ej, dzieciaki - zawołał Manuel. - Wujek ma teraz ważne spotkanie i nie będzie słuchał o przyjęciach urodzinowych.

- Przeciwnie, chętnie posłucham - powiedział Maks.

Dzieciaki usadowiły mu się na kolanach, a on wydawał się zachwycony.

- Carrie, pozwól że ci przedstawię, to Bella i Emilio, bliźniaki Manuela. W przyszłą niedzielę kończą pięć lat.

- Cześć, dzieciaki - przywitała się Carrie. - Będziecie mieli wspaniałe urodziny.

To wystarczyło, żeby dzieci wdały się w detaliczne opowieści na temat przyjęcia.

- Dzwonił twój ojciec, Maks - wtrącił w pewnym momencie Manuel. - Pytał o terminy dostaw. Powiedziałem mu, że wszystko jest pod kontrolą, ale nie wiem, czy go przekonałem.

Maks pokiwał głową.

- Wpadnę później do niego do szpitala. Powinien myśleć o sobie, a nie o dostawach.

- To samo mu powiedziałem, ale wiesz, jaki on jest. Nie słucha.

Gospodyni wniosła danie główne.

- Chodźcie, dzieciaki. Zostawmy wujka Maksa i Carrie w spokoju.

Bliźniaki nie miały ochoty rozstawać się z ukochanym wujkiem, ale wreszcie zsunęły się z jego kolan. Na odchodnym Bella zagadnęła jeszcze Carrie:

- Jesteś nową dziewczyną wujka?

Zanim Carrie czy Maks zdążyli zareagować. Manuel zabrał dzieciaki, przepraszając za ich zachowanie.

- Dzieciaki w domu to prawdziwy tajfun - powiedział Maks z uśmiechem, kiedy drzwi się zamknęły.

Tak. Ale jak już ten tajfun przejdzie, to czegoś zaczyna ci brakować. Robi się za spokojnie. Do tej pory wydawało mi się, że lubię swoje samotne życie... A teraz za nic bym nie oddała tego, co daje mi obecność Molly. Maks się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała. Chociaż babcia Carmel jest zdaje tak samo trudną o osobą jak mój ojciec. Też

mi zarzuca, że zbyt wiele podróżuję zamiast siedzieć na miejscu. No i że do tej pory się nie ustabilizowałem, jak on to określa.

- A właściwie dlaczego się nie ustabilizowałeś? - zapytała Carrie. - Lubisz przecież dzieci.

- Nie zaczynaj, błagam - zaśmiał się Maks.

- Wystarczy, że rodzice suszą mi bez przerwy głowę. W każdym razie tyle ci powiem, że byłem bliski małżeństwa kilka lat temu. A co z tobą?

- Wysłałem za żonę, mając dwadzieścia dwa lata. I popełniłem błąd. Trzy lata później byłem to rozwodzie. - Carrie się skrzywiła.

- Nigdy nie myślałaś, żeby spróbować jeszcze raz?

Pokręciła głowę.

- To loteria. Nie chcę ryzykować. Lubię swoje życie. Jest uporządkowane, nieskomplikowane, panuję nad nim, czuję się szczęśliwa... - Zamilkła zdziwiona, że powiedziała tak wiele.

- A więc kobieta w pełni samodzielna.

- Tak przytaknęła. - Tak mogłabym się określić.

- Ja chyba żyję podobnie - powiedział. - Chcę zdecydować o sobie, dlatego założyłem kancelarię prawniczą, zamiast poświęcić się rodzinnym winnicom. Ojciec początkowo krzywo patrzył na moje poczynania, ale chyba w końcu zrozumiał, dlaczego wybrałem taką drogę.

- Co teraz zrobisz? Ojciec nie będzie już mógł zarządzać Santos Wines jak do pory?

- Wszystko wskazuje na to, że jednak przejmę, po nim firmę. Cóż, rodzinne powiązania okazują się bardzo silne.

Ona nigdy ich nie czuła. Jej matka umarła, kiedy Carrie miała siedem lat. Od tego czasu mieszkała z ojcem i macochą, ale nie czuła się dobrze w nowej rodzinie, tyle że zaprzyjaźniła się z Tonym... a teraz miała Molly.

Nie było sensu wracać do wspomnień. Powinna myśleć o przyszłość, o dalszym losie małej. Babci Carmel powie prawdę: nie ma żadnego mężczyzny, ale potrafi sama wychować Molly.

Pojawiła się gospodyni z pytaniem, czy państwo jeszcze czegoś sobie życzą.

Carrie ułożyła nóż i widelec równolegle na talerzu.

- Wszystko było pyszne. Dziękuję. Spojrzała na zegarek i stwierdziła ze zdziwieniem, że spędziła w winnicy ponad trzy godziny.

- Na mnie już pora. Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Zostawiam ci kopię kontraktu. Maks. Przejrzyj go uważnie. Jeśli nie będziesz miał żadnych zastrzeżeń, podpisz i odeślij mi jutro.

Maks nie odpowiedział od razu.

- Mógłbym przywieźć go osobiście. Jutro sobota. Moglibyśmy wybrać się gdzieś na kolację.

- To zupełnie zbędne - odpowiedziała automatycznie.

- Może i zbędne, ale miłe.

Czyżby z nią flirtował? W głowie odezwały się dzwonki alarmowe. Należał do tych facetów, którzy mogli poderwać każdą kobietę, ale Carrie nie lubiła szybkich znajomości, poza tym tu chodziło o interesy.

- Jeśli będziesz chciał zaproponować jakieś zmiany, wpadnij do biura w poniedziałek rano. Jutro wieczorem jestem zajęta.

Maks przyjął jej odmowę z pełnym nonszalancji spokojem.

- Zadzwoń do ciebie w poniedziałek rano się umówimy.

- Świetnie... - Carrie wstała. - Tak będzie lepiej. -

Podsunała mu swoją wizytówkę.

Tutaj masz mój numer biurowy. Pamiętaj, że wszystko jeszcze możemy zmienić, jeśli coś nie będzie ci odpowiadać.

- Podoba mi się taka elastyczność w pracy, uśmiechnął się zabójczo.

Muszę już iść. - Chciała wydostać się stąd jak najszybciej, zanim zgodzi się zjeść kolację i Pięknym Maksem. Bardzo łatwo byłoby powiedzieć „tak”. Nie mieszaj interesów z przyjemnościami. napomniała się w myślach.

- Zatem do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała, wychodząc na zalany słońcem podjazd.

- Dziękuję, że poświęciłeś mi czas. - Wyciągnęła dłoń na pożegnanie, ale w uścisku Maksu nie było nic oficjalnego, raczej pewien rodzaj intymnego porozumienia przekazany gestem. Szybko cofnęła rękę.

- Bywaj - rzuciła, siadając za kierownicą. Maks się uśmiechnął.

- Do zobaczenia.

Stal jeszcze chwilę na podjeździe, zastanawiając się, z kim umówiła się na sobotnią kolację. Miał nadzieję, że to spotkanie czysto służbowe i że żaden facet nie stanie mu na drodze, kiedy będzie zabiegał o względy Carrie Michaels.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Molly dorwała się do szminki Carrie i wymalowała nią całą buzię. - Co ty wyprawiasz? - zapytała Carrie, wychodząc z łazienki. Molly zachichotała i dla odmiany wyciągnęła z kosmetyczki róż do policzków. Nałożyła grubą warstwę kosmetyku i wyglądała teraz jak

- Rozumiem, że chcesz ładnie wyglądać w czasie lunchu z dziadkami, ale makijaż to już chyba przesada. - Carrie odebrała małą pędzelek do nakładania różu i zaniósła ją do łazienki, usunąć z buzi ślady artystycznej działalności młodej damy.

Molly wierciła się i chichotała. Niebawem jak smarkata potrafi człowiekowi poprawić humor, myślała Carrie. Denerwowała się przed spotkaniem z dziakami McCormackami. Zamierzała powiedzieć prawdę: nie ma żadnego narzeczonego, ale pomimo to jest zdecydowana zatrzymać Molly, wczoraj już zamierzała rozmówić się z Carmel, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Może w obecności dziadka pójdzie jej łatwiej.

Sprawa wydawała się zupełnie absurdalna. Przecież jest w stanie wychować Molly sama i dać małej wszystko, co jest jej potrzebne.

W co się ubierzesz na lunch z dziadkami? - zapytała, przynosząc Molly do sypialni. - Może włożysz tę różową sukienkę? - Kupiła ją w Paryżu, kilka miesięcy przed śmiercią Toniego. Dzwoniła wtedy do niego, pytała o rozmiar....

- Kup trochę większą - powiedział natychmiast. - Ona szybko rośnie. Strach jak szybko. Zanim się obejrzymy, będę prowadził ją do ołtarza.

Carrie szybko otarła łzy. Musi być dzisiaj opanowana i twarda, nie czas na smutne wspomnienia. Wyszuszyła małe włosy, wyszczotkowała i ubrała ją w różową sukienkę, w której Molly wyglądała jak mała księżniczka.

- Mogę wziąć ze sobą Mojo?

- Oczywiście. - Mojo był ukochaną przytulanką Molly, szmacianym psem, z którym się nie rozstawała.

- Tatuś będzie w hotelu? - zapytała raptem mała.

Carrie serce się ścisnęło. Próbowwała wytłumaczyć malej, że ojciec umarł, i Molly zdawała się rozumieć, że odszedł, ale od czasu do czasu pytała o niego.

Jak wytłumaczyć czteroletniemu dziecku, że nigdy już nie zobaczy ojca? Carrie wzięła Molly na ręce i przytuliła mocno.

- Nie, kochanie. Pamiętasz, co ci mówiłam o tatusiu?

Molly odsunęła się i pokiwała poważnie głową.

- Tata jest w niebie.

- Ale ciągle bardzo cię kocha, tak samo jak babcia i dziadek. Czekają na nas w hotelu i bardzo chcą cię zobaczyć. Dziadek przyleciał specjalnie z Australii, takim wielkim samolotem. Opowie ci o podróży. Cieszysz się?

Molly wyzwoliła się z objęć ciotki.

- Będę mogła zjeść lody?

- Będiesz mogła zjeść, na co tylko będziesz miała ochotę, kochanie - obiecała jej Carrie. - Zegar w holu wybił dwunastą i Carrie musiała się pospieszyć z wyborem własnej garderoby na spotkanie. Miała trzydzieści minut, żeby się obrać i przygotować przekonujące argumenty dla Carmel.

Wybrała jasnobezowe spodnie, lekką jedwabią tunikę, spięła jasne włosy do tyłu i nałożyła odrobinę makijażu na twarz.

W Grand Hotelu, jednym z najbardziej luksusowych hoteli Barcelony, pojawiła się punktualnie. Ujęła Molly za łapkę i przez obrotowe drzwi wkroczyły do chłodnego wnętrza.

Carrie była tu już kilka razy wcześniej na biznes lunchach, ale nigdy nie czuła się tak zdenerwowana jak dzisiaj.

Szła właśnie do recepcji, żeby zadzwonić do Carmel. kiedy zobaczyła zmierzającą w jej kierunku znajomą postać.

Maks Santos.

Tego tylko brakowało.

Poczuła, że robi się jej słabo.

- Witaj. Carrie - uśmiechnął się promiennie.
 - A to niespodzianka.
 - Rzeczywiście - bąknęła słabym głosem.
 - Co ty tutaj robisz?
 - Miałem spotkanie z moim księgowym.
 - Maks spojrzął na bratanicę Carrie. - Cześć, Molly. Miło cię poznać.

Molly uśmiechnęła się szeroko. Najwyraźniej spodobał się jej ten miły pan.

- Ja będę jadła dzisiaj lody - oznajmiła mu z satysfakcją.
 - To powiem ci, że mają tu bardzo dobre lody - poinformował ją Maks. - Polecam ci sorbet malinowy... jest pyszny.
 - To jest Mojo - przedstawiła swojego szmacianego przyjaciela. - On też lubi lody.
 - Miło mi cię poznać, Mojo. - Maks uściśną z powagą psią łapę. - Jestem Maks.

Carrie obserwowała scenę z uśmiechem, na moment zapomniała o zdenerwowaniu.

Rozumiem, że jesteście umówione z dziadkami Molly? - zagadnął Maks.

- Tak. Zatrzymali się tutaj i zaprosili nas tutaj na lunch.

Maks skinął głową.

- Cieszę się, że cię spotkałem. Jest kilka i, które chciałbym z tobą omówić.

- Omówimy je w poniedziałek. Maks. Teraz spieszę. - Kątem oka zobaczyła nadchodzących dziadków Molly.

- Może zjemy razem kolację jutro? - nalegał. W poniedziałek będą bardzo zajęty.

- W takim razie we wtorek u mnie w biurze. Nie chciała, by dziadkowie odnieśli wrażenie, nie dość, że Carrie ma nienormowany czas pracy to jeszcze musi spotykać się z klientami po godzinach.

- To bardzo ważna sprawa. - Maks robił się natrętny. - Chcę, żeby ta kampania ruszyła możliwie jak najszybciej.

- Zadzwoń do mnie wobec tego jutro, coś ustalimy. Masz numer mojej komórki na wizytówce.

- Carrie chciała się go pozbyć jak najszybciej, Carmel już ich dostrzegła z daleka.

- Do widzenia. Maks. - Wyminęła go uśmiechem, zanim babcia mogła się zorientować, z kim Carrie rozmawiała.

- Popatrz, Molly - powiedziała, biorąc małą rękę - tu są babcia i dziadek.

Molly ku jej zaskoczeniu skrzywiła się, cofnęła o krok i zawołała:

- Ja chcę do domu! Do domu!

- Przecież cieszyłaś się, że zjesz lody. Zobaczysz, jak będzie fajnie.

Molly wyrwała się i rzuciła biegiem w stronę drzwi wyjściowych. Akurat w tym samym momencie z sali restauracyjnej wychodził kelner z tacą zastawioną kieliszkami. Molly wpadła na niego, kilka kieliszków rozbiło się z trzaskiem o posadzkę.

Carrie dobiegła do małej, przyklękła przy niej.

- Nic ci się nie stało? Nie skaleczyłaś się. - Tuląc bratanicę, zaczęła jednocześnie przeproszać kelnera.

- Nic się nie stało. Zaraz przyślę kogoś, żeby sprzątnął szkło.

- Już wszystko dobrze, Molly - uspokajała Carrie wystraszoną małą.

- Ja chcę do domu - zaszlochała Molly.

- Wszystko dobrze. Nic się nie stało. Nie skaleczyłaś się, nawet nie zadrapałaś.

- Do domu - powtarzała Molly.

- Jak mogłaś ją puścić, na litość boską - odezwała się Carmel, czerwona z oburzenia, podchodząc do Carrie. Obok niej stanął jej mąż z ponurą miną.

- Uspokój się, Molly - nakazała babka surowo.

- Nic się nie stało. - Carrie usiłowała załagodzić sytuację. - Molly po prostu trochę się wystraszyła, to wszystko. Prawda,

kochanie? Nie płacz już. Zobacz, tu jest babcia, widziałyśmy się wczoraj, pamiętasz? A to twój dziadek, który specjalnie dla ciebie przyleciał aż z Australii. Chcieliby cię lepiej poznać, porozmawiać z tobą.

Ja nie chcę... Chcę do domu - powtarzała Molly, chowając głowę na ramieniu Carrie.

- Nastawiłaś ją przeciwko nam? - zapytała Carmel ostro. - Bob, powiedz coś.

- Dość tego, młoda damo - przemówił Bob władcym tonem i wyciągnął rękę do dziewczynki.

Molly nawet na niego nie spojrzała. Objęła Carrie za szyję i trzęsła się histerycznie.

Ku zaskoczeniu wszystkich do akcji nieoczekiwanie wkroczył Maks. Przykucnął obok Carrie.

- Wiele hałasu o nic - powiedział pogodnie i pogładził Molly po włosach. - Zobacz, o kim zpomniałaś, Molly.

Maks trzymał w dłoni psa Molly.

- Popatrz, to Mojo. Upadł na podłogę i stłukł sobie łapę. - Podsunął małej przytulankę niemal pod nos.

Maks wydał cichy dźwięk, jak szczekanie, i wtulił psa w ramiona Molly.

- Biedny Mojo, powinnaś go pocałować - powiedział.

Molly puściła Carrie i zajęła się psem.

- Widzisz, od razu lepiej, prawda? - zapytał Maks.

Molly pokiwała głową i uśmiechnęła się niepewnie.

- Dziękuję - szepnęła Carrie, podnosząc spojrzenie na Maksa.

Maks uśmiechnął się szeroko, beztroskim uśmiechem, który miał oznaczać, że wszystko jest w najlepszym porządku, po czym wstał i zwrócił się do dziadków McCormacków:

- Zachowanie Molly jest absolutnie zrozumiałe - powiedział spokojnym, ale zdecydowanym głosem. - Czuje się dzisiaj trochę niepewnie, to wszystko. Trzeba jej tylko okazać odrobinę zaufania.

Carmel opanowała się pierwsza.

- Absolutnie się zgadzam - przytaknęła. - Po prostu wszyscy się wystraszyliśmy, czy nie zrobiła sobie krzywdy. Chcemy dla niej jak najlepiej, prawda. Bob?

Bob przytaknął z namaszczeniem.

- Oczywiście. To dla nas wszystkich trudna sytuacja. Chcemy spełnić nasz obowiązek wobec wnuczki. - Tu wyciągnął dłoń. Jak się domyślam pan Maks Santos, narzeczony Carrie? Carmel opowiadała mi o panu. Jest pan prawnikiem, prawda?

Carrie miała ochotę zapaść się pod ziemię. Podniosła Molly i wstała.

- Tak, jestem prawnikiem. - W głosie Maksa zabrzmiała nuta zaskoczenia, czemu nie należało się dziwić, ale z gracją uściśniętą dłoń starszego pana.

Carrie rozpaczliwie szukała jakiegoś sposobu, żeby eksportować precz Maksa, zanim będzie za późno, ale oto do rozmowy wtrąciła się też babcia Carmel:

Tak się cieszę, że mógł pan jednak przyjść. Carrie mówiła nam, że prowadzi pan właśnie szalenie ważną sprawę i że jest mało prawdopodobne, byśmy mieli szansę się spotkać. Maks spojrzał rozbawiony na Carrie, a ta zrobiła się czerwona jak piwonია. Carmel energicznie uściśnęła dłoń Maksa.

- Widziałam pana przedwczoraj przed przedszkolem. Podwiózł pan Carrie i zaraz odjechał do sądu.

- Tak, bardzo się spieszyłem - przytaknął, odrywając oczu od twarzy Carrie.

- Tym bardziej się cieszymy, że mógł pan przyjść dzisiaj. Uporał się pan wcześniej z nawałem zajęć?

- Prawdę mówiąc. Maks nie może z nami zostać, Carmel. Musi zaraz wracać do pracy - wtrąciła Carrie. - Podrzucił nas tylko do hotelu, to wszystko. Maks, mówiłeś przecież, że musisz wracać do kancelarii... - W oczach Carrie było coś na kształt błagania.

- Przeciwnie. Okazuje się, że mogę zostać i chętnie zjem z państwem lunch.

Carrie osłupiała. Co się tu dzieje?

- Ale sprzedam. Molly musi niebawem wrócić do domu. Tam czuje się naprawdę pewnie. W otoczeniu swoich zabawek i książek. W świecie, który stworzyła jej ciotka.

- Chodźmy zatem do sali restauracyjnej - powiedziała Carmel i w towarzystwie męża ruszyła przodem.

- Co ty robisz? - syknęła Carrie do Maks.

- Ratuje cię z oparów - wyjaśnił spokojnie. - Nieźle nakłamałaś dziadkom, czy też raczej Carmel koniecznie chciała wiedzieć, kto to był ten w taksówce.

Nie mogłam jej powiedzieć, że to obcy facet, którego poznałam właśnie w samolocie, no to zrobiłam z ciebie swojego faceta. Chciałam ją przekonać, że mam ustabilizowane życie. Wiem, nie powinnam była kłamać. Sytuacja wymknęła mi się z rąk i tak oto w ciągu kilku minut stałaś się moim fikcyjnym narzeczonym.

Maks się uśmiechnął.

- Wielki krok na dziewczynę, która zdecydowała się żyć sama i sama decydować o sobie.

- Nie kpj sobie ze mnie. - Carrie sprawdziła. Gdzie są Carmel i Bob: prowadzili właśnie jakieś negocjacje z kelnerem.

- Zamierzałam powiedzieć im dzisiaj prawdę. Nie musisz zostawać na lunchu. Wyjaśnię wszystko, mam nadzieję, że Carmel zrozumie i zaakceptuje mój punkt widzenia.

- Albo nie.

Carrie zbladła na te słowa i mocniej objęła Molly.

- Albo nie - przytaknęła drżącym głosem. Maks milczał przez moment.

- Mogę ci pomóc w tej maskaradzie tak długo, jak długo zostaną tu dziadkowie Molly. Pod warunkiem, że ty mi też pomożesz.

- W jaki sposób?

Zanim Maks zdążył odpowiedzieć, podeszła do nich Carmel.

- O czym tak dyskutujecie? Chodźcie już.

Mamy stół przy oknie, na pięć osób.

- Za chwilę, Carmel - powiedziała Carrie.

- A więc zgadzasz się? - szepnął Maks, umowa stoi?

Carrie wahała się chwilę, w końcu powiedziała:

- Tak, zgadzam się.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Molly całkiem już rozpogodzona usadowiła się między Maksem i Carrie.

- Carrie mówiła, że masz winnicę. Maks - zagadnęła Carmel, przechodząc na ty z narzeczoną siostry zięcia.

- Tak. To winnice Santos. - Maks podsunął Molly paterę z ciastkami. - Rodzinna firma.

- To uroczę. Tam właśnie zamierzacie zamieszkać po ślubie?

Carrie omal nie zakrztusiła się herbatą, ale Maks przyjął pytanie spokojnie.

- Tak przypuszczam - powiedział, uśmiechając się do Carrie.

- Jak myślisz, kochanie? Lubisz przecież winnicę, prawda?

- Tak, bardzo - odparła Carrie pospiesznie.

- Dom jest wygodny, obszerny. - Starą się mówić lekko, ale czuła się fatalnie.

Maks był jej klientem. Okłamała Carmel i Boba. Mogła zapewnić Molly dobre życie, żyjąc samotnie, mężczyzna nie był jej do niczego potrzebny. A teraz jeszcze się okazało, że

Maks będzie żądał od niej jakiejś przysługi w zamian.

- Dlaczego nie nosisz pierścionka zaręczynowego, Carrie? - zainteresowała się Carmel.

Carrie wpatrywała się tępo w swoją lewą dłoń.

- Bo... bo.... ja...

- Trzymaliśmy do tej pory zaręczyny w tajemnicy - pospieszył jej w sukurs Maks. - Chcieliśmy wszystko spokojnie zaplanować, ochłonać i dopiero wtedy ogłosić nasze zamiary.

Carmel się nachmurzyła.

- Ochłonać?

- Ostatnie miesiące to był traumatyczny czas dla Carrie i Molly - wyjaśnił Maks spokojnie.

- Carrie nie jest w nastroju do świętowania.

- Rozumiem.

- Ale teraz jesteśmy już gotowi ogłosić nasze zaręczyny, prawda, kochanie? - Maks się uśmiechnął.

- Tak, oczywiście. - Carrie miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać paniki. Nigdy w życiu nie czuła się równie głupio.

- Może od razu ustalicie datę ślubu? - wtrąciła Carmel, wpatrując się z pełnym wyczekiwania napięciem w Maksa.

- Nie spieszmy się – przystopowała ją Carrie.

- Wszystko w swoim czasie. Przede wszystkim musimy myśleć o Molly.

Carmel zastanawiała się chwilę.

- Tak, ale datę ślubu powinniście ustalić. Im wcześniej się zdecydujecie, tym lepiej dla całej waszej trójki. Podoba mi się to, że zamieszkacie w winnicy. Prawda, Bob?

Bob pokiwał głową. Wyglądał na zmęczonego i Carrie zrobiło się go żal. Ciągle musiał jeszcze odczuwać różnicę czasu po locie z Australii.

- Sara... matka Molly, była naszym jedynym dzieckiem - wyjaśnił, zwracając się do Maksa. - Bardzo nam jej brakuje. Teraz została nam tylko Molly i chcemy dla niej jak najlepiej. Wychowywanie dziecka to wielka odpowiedzialność. Ja nie czuję się najlepiej. Kiedy Carmel powiedziała mi, że powinniśmy zabrać ją do siebie, nie byłem pewien, czy damy sobie radę.

- Oczywiście, że damy sobie radę! - zawołała Carmel.- Jesteśmy jej najbliższą rodziną. Bez urazy, Carrie, ale Toni był tylko twoim bratem przyrodnim. Jeśli pozostałaby z tobą, musielibyśmy mieć pewność, że jest ważniejsza od twojej pracy i od twoich związków uczuciowych. To, że poznaliśmy dzisiaj Maksa, rozwiało niektóre nasze obawy.

- Przysięgam, że Molly będzie zawsze na pierwszym miejscu - zapewniła Carrie.

Bob skinął głową i spojrzał na Maksa.

- W takim razie wszystko chyba sobie wyjaśniliśmy. Zostaniemy tu jakiś czas. Chciałbym poznać lepiej Molly,

spędzić z nią trochę czasu. Może któregoś dnia odwiedzimy twoją winnicę.

- Oczywiście, zapraszam - powiedział Maks.

Kelner sprzątnął puste naczynia i przyniósł lody dla Molly i przez chwilę dorośli obserwowali w milczeniu, jak mała zajada ze smakiem.

- Smakują ci, kochanie? - zapytała Carrie i Molly z entuzjazmem pokiwała głową, a Carrie, nie wiedząc czemu, łzy napłynęły do oczu.

Maks, widząc, że dzieje się z nią coś niedobrego, zaczął opowiadać szeroko o winnicy, o zbliżającym się winobraniu, o produkcji wina. Carrie uspokoiła się, a Carmel i Bob słuchali z zainteresowaniem opowieści Maksa. Mówił o różnych zabawnych wydarzeniach, opowiadał o swojej rodzinie. Z twarzy Carmel też stopniowo ustąpiło napięcie. Bob nabrał apetytu i nałożył sobie kawałek ciasta na talerzyk. Nawet Molly ożywiła się, kiedy Maks włączył ją do rozmowy, przytaczając jakieś zwariowane historyjki.

Kiedy Molly skończyła jeść lody, Carrie musiała zaprowadzić ją do łazienki, umyć jej zapaćkaną buzię i łapki.

- Tak się cieszę, że Carrie cię spotkała - powiedziała Carmel, kiedy dziewczyny odeszły.

- Z tego, co opowiadał Toni, jej pierwszy mąż to był jakiś straszny drań. Toni bardzo się o nią martwił. Dopiero po przyjeździe do Hiszpanii doszła jakoś do siebie, zaczęła się nawet umawiać na randki. Chociaż nigdy nie wspomniał, że spotyka się z kimś na poważnie. Jak rozmawiałam z Tonim przez telefon, krótko przed jego śmiercią, mówił o jakimś facecie z pracy.

- Coś musiałaś pomylić, Carmel - napomniał ją mąż. - Z Tonim rozmawiałaś głównie o Molly.

- Tak, tak. - Carmel się zaczerwieniła. - Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo się cieszę, że jesteście razem. Po tym strasznym mężu Carrie zasługuje na trochę szczęścia.

Maks próbował uspokoić Carmel, kiedy tłumaczyła się, że może źle rozumiała Toniego.

- Dobrze rozumiałaś - uspokoił ją. - Poznaliśmy się podczas pracy. Carrie przygotowuje kampanię reklamową dla mojej winnicy.

- Rozumiem. - Carmel odetchnęła uśmiechnięta. - Carrie jest bardzo ładna, prawda?

- Tak, bardzo - zgodził się Maks i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Carrie wracała właśnie do stolika z umytą Molly. Poruszała się z wdziękiem i spokojną pewnością siebie, zwracając na siebie uwagę wszystkich mężczyzn w sali, czego zdawała się całkowicie nieświadoma.

- Właśnie mówiliśmy o tym, jak poznałaś Maksa - oznajmiła Carmel, kiedy Carrie wróciła do stolika.

- Naprawdę? - Carrie uśmiechnęła się i niepewnie spojrzała na Maksa, ciekawa, jaką też wymyślił historię pod jej nieobecność.

- Mówiłem właśnie Carmel, że poznaliśmy się, kiedy zaczęłaś przygotowywać kampanię Santos Winos.

- Tak... - Carrie pokiwała głową. Carmel się uśmiechnęła.

- Ja też poznałam Boba w pracy. W grudniu minie czterdziesta rocznica naszego ślubu.

- Moje gratulacje - powiedział Maks. Carmel skłoniła głowę.

- To była miłość od pierwszego wejrzenia. Wiedzieliśmy od razu, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Z wami też tak było?

Carrie nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Niezupełnie - mruknęła. - Zaczęliśmy współpracować i... - Utknęła, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- To było przeznaczenie - pospieszył jej Maks na ratunek. - Kiedy spojrzeliśmy na siebie, wiedzieliśmy, że łączy nas coś szczególnego.

Carrie nie mogła się nadziwić, że granie komedii przychodzi mu z taką łatwością. Przez jeden krótki, szalony moment przemknęło jej przez głowę, jak by to też było, gdyby ta maskarada okazała się prawdą. Zrobiło się jej dziwnie ciepło i szybko odwróciła wzrok.

To tylko gra. Maks był przekonujący, bo miał wiele wdzięku i potrafił czarować ludzi - jeden jego uśmiech sprawiał, że kobieta czuła się niezwykle, wyjątkowa. W tym był podobny do jej męża, ale nie chciała o tym myśleć: zbyt wiele miała do stracenia i zawodowo, i prywatnie.

Powinna jak najszybciej zakończyć to spotkanie.

Chwycała Molly za rękę, bo mała sadowiła się już na krześle obok Maksa.

- Na nas już pora - oznajmiła. - Molly musi mieć swoją poobiednią drzemkę, a ty Bob też powinieneś odpocząć po podróży.

Bob skinął głową i wszyscy się podnieśli.

- To było miłe spotkanie, Maks. Mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy - powiedziała Carmel. - Zadzwoń do ciebie później, Carrie, umówimy się jakoś.

Carrie kiwnęła głową.

- Kiedy tylko zechcesz.

Z prawdziwą ulgą wyszła z hotelu. Czuła się zupełnie wyczerpana. Chciała jak najprędzej wrócić do domu, napić się czegoś zimnego, ochłoniąć.

Maks ujął ją pod ramię.

- Za rogiem stoi mój samochód. - Zanim zdążyła zareagować, prowadził ją w kierunku auta.

Molly rozbrykała się i Carrie musiała jej pilnować, przytrzymując co chwila, żeby mała nie wpadła pod przejeżdżające samochody. W końcu próbowała wziąć małą na ręce, ale Maks ją ubiegł.

- Ja ją wezmę, pozwól. Jest za ciężka.

Molly bez protestów wyciągnęła ręce do Maksa, uśmiechnęła się tylko do Carrie, jakby to była najpyszniejsza w świecie zabawa.

Maks otworzył jednym naciśnięciem pilota centralny zamek swojego czarnego bmw, usadowił Molly na tylnym siedzeniu i zabezpieczył ją pasem.

Włączył klimatyzację i spojrzał z troską na bladą twarz Carrie.

- Upał ci dokuczył?
 - Raczej sytuacja niż upał - mruknęła.
 - Czułam się okropnie, okłamując ich.
 - Jeśli to może być dla ciebie jakaś pociecha, bardzo ich uspokoiłaś.

- I dlatego czuję się tym bardziej podle.
 - Carrie oparła głowę o zagłówek i na moment zamknęła oczy. - To było obrzydliwe. Powinnam była powiedzieć im prawdę.

- Moim zdaniem postąpiłaś słusznie. Zdjęłaś z nich ogromny ciężar odpowiedzialności.

Kochają małą, ale Bob nie jest w najlepszej kondycji. Nawet Carmel wydawała się zadowolona, że uwolnisz ją od obowiązku.

- A jednak czuję się paskudnie. - Carrie spojrzała na Maksa.
 - A tobie należy się Oscar. Zagrałeś wspaniale. Bardzo ci dziękuję.

- Zawarliśmy umowę, Carrie. Jesteś mi winna przysługę i wyrównamy rachunki.

Maks najspokojniej w świecie uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

- Jaka to miałyby być przysługa?
 - Podobna, tyle że odegrana na rzecz mojej rodziny. Ja udaję twojego narzeczonego, ty moją narzeczoną. Czysty układ, wszyscy będą zadowoleni.

Brzmiał zupełnie jak Jose, kiedy podpisywał kolejny kontrakt. Tylko że tu nie chodziło o interesy, lecz o ludzkie uczucia.

- Nie rozumiem. Po co ci narzeczona?

- Mój ojciec dowiedział się, że Manuel odchodzi: dostał świetną propozycję, zakłada własny biznes, nie możemy go zatrzymywać. Nie mogło się to zdarzyć w gorszym momencie. Ojciec chce wracać do firmy. Odgraża się, że zacznie pracować, jak tylko wypuszczą go ze szpitala. - Maks zatrzymał się na światłach i zaczął bębnić palcami w kierownicę. - Tłumaczyłem mu, że nie ma się czym martwić, ale on jest uparty. Mówi, że ja nie mam daru do prowadzenia winnicy, że nie kocham ziemi, że byłoby zupełnie inaczej, gdybym znalazł sobie miłą dziewczynę, ustatkował się, założył rodzinę. - Spojrzał na Carrie poważnie. - Lekarze twierdzą, że ojciec nie powinien wracać do pracy. Mama się zamartwia. Wszyscy się martwimy. W którą stronę mam jechać? - zapytał, gdy światła się zmieniły.

- Skręć w lewo na następnym skrzyżowaniu. Uważasz, że jeśli przedstawiś mnie jako swoją narzeczoną, twój ojciec poczuje się lepiej?

- Uwierzy, że poważnie myślę o przejęciu firmy. I rzeczywiście tak jest. Mając ciebie u boku, łatwiej mi będzie go przekonać. Staruszek się uspokoi.

- Ale to dalej maskarada. - Carrie pokręciła głową. - Jak twój ojciec zareaguje, kiedy mu powiesz, że zaręczyny zerwane?

- Zmartwi się, podobnie jak Bob i Carmel, ale jakoś pogodzą się z sytuacją. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie się rozstają. I żyją dalej.

Maks był realistą. Rozważył wszystkie za i przeciw i uznał, że cel uświęca środki.

- W każdym razie im dłużej będziemy udawali, tym lepiej. Musimy grać na czas. To banał, ale czas jest po naszej stronie. Ojciec nabierze sił. Carmel i Bob dojdą do siebie po śmierci Toniego.

Carrie nie odzywała się przez moment. To, co powiedział Maks, miało sens. Carmel i Bob autentycznie odetchnęły, poznawszy Maksa, napięcie odeszło, wszystko wydawało się takie normalne.

- Kiedy cię słucham, jestem gotowa przyznać ci rację. Mówisz bardzo przekonująco.

- Powinno zadziałać, o ile oczywiście nie masz żadnego faceta, który skomplikowałby sytuację.

Carrie pociemniały oczy.

- To moja sprawa. Nikt nie będzie kontrolował, co robię, ani Carmel, ani ty...

- Carrie, jeśli plan ma się udać, musimy wiedzieć, na czym stoimy. Chyba że się rozmyśliłaś i chcesz powiedzieć Carmel i Bobowi prawdę.

Na tę propozycję nie była gotowa. Obejrzała się: Molly spała spokojnie, tuląc Mojo. Przypomniała sobie, jaka była przerażona w hotelu. Trzęsa się, płakała. Carrie była jedyną bliską jej osobą i miała jej potrzebowała.

- Nie zmienię zdania - powiedziała zdecydowanie. - Owszem, spotykałam się z facetem z pracy, z moim szefem, Jose, ale on nie mógł pogodzić się z faktem, że w moim życiu pojawiła się Molly. Sytuacja się zmieniła.

- Przestaliście się spotykać, inaczej mówiąc - uściślił Maks. Skinęła głową.

Carrie niechętnie mówiła o sobie, z najwyższym oporem dopuszczała go do swojego życia. Jakby odgradzała się wyraźną linią, napisać: „To moja przestrzeń”. Uniosła głowę.

- Dlaczego zależy ci, żebym odgrywała twoją narzeczoną? Mogłeś wybrać kogokolwiek innego, a wybrałeś akurat mnie...

- Mógłby nawet na serio się oświadczyć, zamiast grać komedię.

- Byłem kiedyś zaręczony. Planowaliśmy już ślub... - Wzruszył ramionami. - Nie wyszło.

W jego oczach pojawił się smutek. „Związki się rozpadają, a my musimy żyć dalej” - coś takiego powiedział chyba wcześniej.

Czy w jego przeszłości zdarzyło się coś, czego żałował?

Zanim zdążyła zapytać, powiedział tym swoim rzeczowym tonem:

- Potraktujmy ten układ jak interes. Maks, podobnie jak Carrie, nie chciał się angażować.

- Tak będzie chyba rzeczywiście lepiej - przytaknęła powoli.
- Nikomu nie stanie się krzywda.

- Właśnie. To doskonały układ. Ja pomogę tobie, ty pomożesz mnie. Żadnych zobowiązań.

- W porządku, Maks, przyjmuję zasady - stwierdziła chłodno.
- Możesz być zupełnie spokojny. Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż.

- A więc jesteśmy zgodni. - Spojrzał jej w oczy. - Musimy jednak grać nasze role w sposób przekonujący.

- Co masz na myśli?

- Że ludzie będą oczekiwać oznak uczuć, będą chcieli, żebyśmy zachowywali się jak zakochani.

Carrie ogarnęło przerażenie.

- Wystarczy, że będziemy się do siebie odnosić serdecznie, mówić miłe rzeczy, jak dzisiaj. To chyba powinno przekonać naszych bliskich....

- Maks ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Obawiam się, że ludzie będą oczekiwać jednak więcej - powiedział zdławionym głosem.

Przysunął się i Carrie wiedziała, że chce ją pocałować. Zamierzała się cofnąć, ale nie mogła. Trwała przykuta do miejsca jakąś pierwotną siłą, z którą nie miała siły walczyć.

Czuła zapach jego wody kolońskiej, czysty, ciepły i bardzo prowokujący. Przesunął palcami po jej policzku, a potem dotknął wargami ust.

Jakby przeszedł ją prąd elektryczny. Pocałunek z początku był delikatny, niemal żartobliwy, ale potem w Maksie obudziła się namiętność. Pragnęła go. Pragnęła, by ten pocałunek trwał, nigdy się nie skończył. Odpowiedziała spontanicznie, przywierając do Maksa całym ciałem. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła tak niesamowitego, ekscytującego pocałunku.

Jakieś poruszenie na tylnym siedzeniu sprawiło, że oderwali się od siebie. Molly spała nadal spokojnie, zmieniła tylko pozycję i oparła główkę o szybę.

- Wszystko w porządku - Maks odezwał się pierwszy.

- Tak... Carrie była zupełnie wytrącona z równowagi. Co się stało?

Uśmiechnął się łagodnie.

- Wygląda na to, że odgrywanie kochanków nie sprawia nam specjalnych trudności - powiedział z lekką kpina w głosie.

- Pójdę już, Maks. Muszę położyć Molly spać. - Wysiadła z samochodu, Maks za nią.

- Zaniósę ją na górę. Może dzięki temu się nie obudzi.

Carrie skinęła głową. Teraz, kiedy Molly spała, będzie miała trochę czasu, żeby zastanowić się nad własnym życiem.

Maks wziął Molly, która nadal smacznie spała, a Carrie wyjęła klucze z torebki i ruszyła pierwsza w stronę mieszkania. Otworzyła drzwi i zaprowadziła Maksa do pokoju małej.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy ułożył Molly na łóżku.

- Drobiazg. Kochana mała. Przypomina mi moją siostrzenicę, Belle.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę. - Carrie przymknęła rolety, tak że w pokoju panował półmrok.

- Tak, Victorię. Poznałaś jej dzieci, Belle i Emilia.

- Myślałam, że to dzieci twojego administratora. Rozumiem, Manuel jest twoim szwagrem i administratorem.

- Właściwie byłym administratorem. I szwagrem, tak. Musimy się wiele o sobie dowiedzieć, teraz, kiedy jesteśmy zaręczeni. Mamy mnóstwo do nadrobienia.

Maks mówił cicho, nie chcąc budzić Molly, ale ton jego głosu sprawiał, że Carrie przechodziły ciarki. Półmrok w pokoju przydawał intymności. Pomyślała o pocałunku w samochodzie. Skąd nagle ta namiętność? Nie potrafiła powiedzieć, ale czuła ją nadal w całym ciele.

I co z tego, pomyślała zirytowana. To tylko pocałunek, przypieczętowanie ich układu. Namiętność to tylko wytwór jej wyobraźni.

- Zjemy jutro razem kolację? - zagadnął. Zapytał ją o to samo, kiedy rano wpadła na niego w recepcji hotelu. Odmówiła wówczas. Nie chciała, by dziadkowie odnieśli wrażenie, że za mało czasu spędza z Molly. Po drugie, chciała zachować dystans wobec Maksa, potraktować całą rzecz wyłącznie jako interes. Oba te powody zdawały się teraz nieważne.

- Musimy chyba jeszcze porozmawiać o kampanii - powiedziała ostrożnie, rzeczowo.

- Mówiłeś rano, że masz jeszcze parę pytań co do kontraktu.

- Owszem - przytaknął kwaśno, jakby powrót do sprawy kampanii nieco go zirytował.

- Mogę przyjechać po ciebie jutro wieczorem? Powiedzmy o wpół do ósmej?

- Muszę zapytać Carmel i Boba, czy mogą zostać z Molly...

- Pewnie się zgodzą. Pójdziemy gdzieś blisko i szybko wrócimy, żeby nie sprawiać im kłopotu.

- Zapytam ich. - Perspektywa kolacji z Maksem budziła z niej sprzeczne uczucia. Chciała go lepiej poznać, fascynował ją. Tak jak dzieci fascynuje niekiedy ogień. - Będziemy mogli porozmawiać o interesach - dodała. - Przyniosę kopię kontraktu, przejrzymy go jeszcze raz na wszelki wypadek.

- Carmel i Bob na pewno się ucieszą, jak zobaczą, że na kolację z narzeczonym bierzesz teczkę w papierami - mruknął Maks. - Chociaż raz daj sobie spokój z pracą. - Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. - Jutrzejsza kolacja to ma być

randka. O pracy będziesz mogła rozmawiać tylko przez pierwsze dwadzieścia minut.

- Wydawało mi się, że ci bardzo zależy na tym kontrakcie... - Carrie mówiła do siebie. Maks zdążył wyjść z pokoju.

Wyszła za nim na korytarz.

- Maks...

- Przyjadę po ciebie wpół do ósmej - oznajmił. - Do zobaczenia. - Dotknął delikatnie jej policzka na pożegnanie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Carrie oparła się o nie.

Od czasu rozvodu powtarzała sobie z dumą, że w pełni panuje nad swoim życiem. Było uładzone, uporządkowane. Praca, życie towarzyskie... A teraz nagle zaczęło zmierzać w najmniej przewidzianym kierunku. Czuła się tak, jakby ktoś wytrącił jej wodze z ręki i nie wiedziała, dokąd zawiodą ją wypadki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W co kobieta powinna się ubrać na udawaną randkę z udawanym narzeczonym? Carrie po raz setny przeglądała zawartość swojej szafy. Wyjęła długą białą suknię, zbyt wydekoltowana. Znowu ta w kwiaty zbyt zwiewna na wieczór. Zdecydowała się w końcu na czarną suknię. Ta będzie odpowiednia. Elegancka, atrakcyjna, i na randkę, i na rozmowę o interesach. Tak, czarna to zdecydowanie najlepszy wybór.

Usiadła przed toaletką i zaczęła suszyć włosy. Z bawialni dochodziły odgłosy telewizora. Carmel i Bob już przyszli, żeby zaopiekować się Molly.

To dobrzy ludzie, pomyślała. Molly czuła się przy nich nadal trochę niepewnie, ale była u siebie w domu i to dodawało jej pewności. Zjadła bez grymaszenia swoją kolację i Carmel położyła ją do łóżka. Co prawda zasnęła prawie natychmiast, ale Carrie była zadowolona, że Maks wybrał pobliską restaurację, gdyby się okazało, że Molly może się obudzić.

Carrie nałożyła na usta lekką cyklamienową szminkę i włożyła suknię. Efekt okazał się nie najgorszy. Krój sukni ładnie podkreślał szczupłą figurę, a kolor kontrastował z jasnymi włosami. Wzięła małą czarną torebkę i przeszła do bawialni.

- Ślicznie wyglądasz - pochwaliła Carmel.

- Dziękuję. - Carrie uśmiechnęła się i zerknęła na Boba, który smacznie spał w fotelu.

- Ciągle jeszcze daje mu się we znaki zmiana czasu, a jak wiesz ze zdrowiem u niego nie najlepiej.

- Łóżko w pokoju gościnnym jest przygotowane, gdyby chciał się położyć. - Carrie przysiadła na kanapce. - Ty też może się położyć. Obydwoje powinniście dbać o siebie. Śmierć Toniego odbiła się na nas wszystkich.

- Masz rację, a na dodatek martwimy się o Molly. - Carmel przyciszyła telewizor. - Myślę, że położymy się wcześniej. Tak się cieszę, że spotkałaś takiego miłego człowieka, Carrie. Oboje

uważamy, że jest fantastyczny. Nie wyobrażasz sobie, jaka to ulga wiedzieć, że Molly będzie miała spokojny, stabilny dom. Szczerze mówiąc, martwiliśmy się, czy powinna mieszkać z nami. Oczywiście dalibyśmy sobie radę - dodała dziarsko - ale starzejemy się, a ona ma dopiero cztery lata.

- Wiem, że chcecie dla niej jak najlepiej - zapewniła Carrie.

Odezwał się dzwonek do drzwi.

- To Maks. - Carrie zerknęła na zegarek. Pojawił się dokładnie o czasie. - Masz numer mojej komórki. Gdyby coś się działo, dzwoń natychmiast.

- Na pewno. Życzę ci uroczego, romantycznego wieczoru z twoim przystojniakiem.

Carrie poszła otworzyć. Nie tęskniła szczególnie za romantycznym wieczorem. Wczorajszy pocałunek nic nie znaczył, raczej irytował, bo przypominał się jej w najmniej właściwych momentach.

Pierwsza rzecz - powinna się upewnić, że układ z Maksem nie zepsuje ich stosunków zawodowych. Jose spodziewa się, że w przyszłym tygodniu będzie finalizowała kontrakt z Santos Wines.

Praca była dla niej niezwykle ważna, tym ważniejsza, że miała teraz na utrzymaniu Molly.

Ułożywszy sobie plan działania, otworzyła drzwi. Maks wybrał na ten wieczór granatowy garnitur, do tego jasnoniebieską koszulę. Ubrany z niewyszukaną elegancją, prezentował się znakomicie, a spojrzał na Carrie tak, że serce jej stanęło. Znowu przypominał się jej wczorajszy pocałunek i chciała być najbliżej niego.

- Cześć, Maks - przywitała go niezwykle chłodno.

Uśmiechnął się na powitanie.

- Wyglądasz ślicznie, Carrie.

Nawet sposób, w jaki wymawiał jej imię, przyprowadził ją o dreszczyk. Wściekła na siebie, odwróciła wzrok.

- Dzięki. Wejdz na moment. Chcę zajrzeć do Molly, zanim wyjdziemy.

- Jak ona dzisiaj?

- Dobrze. Carmel i Bob pojawili się trochę wcześniej, zaczyna się do nich przyzwyczajać. - Carrie ruszyła w stronę sypialni Molly.

Mała spała spokojnie, mocno ściskając swojego psa, lekko uśmiechnięta.

Patrzyła na Molly i powtarzała sobie, że warto skłamać, by zatrzymać dziecko. Wszystko w końcu jakoś się ułoży.

Kiedy wróciła do Maksa i poczuła jego dłoń na ramieniu, ogarnęła ją znowu panika, że sprawy wymknęły się spod kontroli i teraz Maks decyduje o sytuacji.

Noc była ciepła, w powietrzu czuło się lekką wilgoć. Maks zaparkował tuż przed wejściem do domu. Otworzył drzwi od strony pasażera i sam usiadł za kierownicą.

Przez moment panowała cisza. Zapalił silnik i wyjechał na ulicę.

- Ojciec wyszedł już ze szpitala? - zagadnęła Carrie.

- Nie. Jutro mają go wypisać.

- To dobrze. Twoja matka musi się cieszyć...

- Tak.

- Wspominałeś coś o mnie?

- Nie.

Spojrzała na niego pytająco. Czyżby zmienił zamiary? Nie widziała wyraźnie jego twarzy, oświetlanej od czasu do czasu latarniami i reflektorami przejeżdżających samochodów. Nie potrafiła odgadnąć, co myśli.

- Zamierzasz im powiedzieć? - zapytała ostrożnie. - Rozmyśliłeś się? - Dziwne uczucie. Carrie z całej duszy nienawidziła kłamstw, ale jednak na myśl, że Maks może się wycofać, ogarnęło ją zimne przerażenie.

Maks nic odpowiedział od razu: zmienił bieg i wjechał na parking. Wyłączył silnik i dopiero wtedy się odezwał:

- Powinniśmy się pokazać przynajmniej kilka razy razem, wtedy będę mógł powiedzieć o tobie - oznajmił. - Dlatego wybrałem właśnie tę restaurację. Po pierwsze, znajduje się blisko twojego domu, po drugie, bywają tu moi znajomi, przyjaciele, rodzina. Rzecz będzie wyglądała bardziej przekonująco, kiedy ktoś doniesie rodzicom, że widział mnie w towarzystwie damy. Wtedy oni zapytają o ciebie. A ja im opowiem. Na pewno będą zachwyceni. Wyjdzie przekonująco i naturalnie.

- Rozumiem. Byłbyś świetnym oszustem - powiedziała w zamyśleniu.

- Ważne, żeby to dobrze rozegrać. Kilka randek w odpowiednim miejscu powinno nas uwiarygodnić. Mój ojciec jest bardzo przenikliwy, zna mnie dobrze, nie da się łatwo nabrać.

Wysiadając, Carrie zastanawiała się, co miało oznaczać owo „zna mnie dobrze”, nie brzmiało to zbyt zachęcająco. Oznaczało liczne przygody? Woląa myśleć o Maksie, jakiego poprzedniego dnia widziała w hotelu, delikatnym i czułym, kiedy uspokajał Molly, albo kiedy bawił się z dziećmi swojej siostry.

Gdyby miała być wobec siebie szczerą, chciała, żeby ten pocałunek coś oznaczał, ale nie była aż tak naiwna. Maks wyraźnie dał do zrozumienia, że to tylko układ. Rodzaj testu, że mogą przekonująco odgrywać kochanków. Powinna o tym pamiętać i nie pozwalać sobie na fantazjowanie, nie mylić faktów z rojeniami.

Było już po ósmej, ale Barcelona żyła pełnią życia. Ludzie odpoczywali w czasie najgorszego popołudniowego upału, a potem wylęgali na ulice, bawić się, robić zakupy, cieszyć wieczorem. Carrie kochała to tętniące energią miasto, jego zgiełk, jego piękną architekturę, galerie, sklepy, parki. Dobrze i wygodnie się tu żyło.

Barcelona słynęła z doskonałej kuchni, a Maks wybrał jedną z najlepszych restauracji wmieście.

- Jak ci się udało zdobyć rezerwację? - zagadnęła, kiedy wchodzili do środka. - Przecież tu się czeka na stolik tygodniami.

- Jestem bywalcem. I znam właściciela.

- Krewniak?- zapytała Carrie z uśmiechem.

- Kuzyn. - Maks odpowiedział uśmiechem. - Ojciec Alberta pracuje w winnicy.

W restauracji panował miły półmrok: świece, przygaszone światła, atmosfera odprężenia, na tyle modna, że człowiek miał ochotę się tu pokazywać.

Recepcjonistka, młoda brunetka, przywitała Maksa serdecznie. Wyszła zza swojej lady, ucałowała w oba policzki i zapytała o zdrowie ojca, po czym uważnie wysłuchała odpowiedzi. Przez chwilę jeszcze rozmawiali o starszym panu, po czym Maks, przechodząc na angielski, przedstawił Carrie.

- Carrie, to żona mojego kuzyna, Estella.

Estella obrzuciła Carrie uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Oceniała ją, to oczywiste, ale zachowała się nienagannie:

- Witaj. Carrie. Miło cię gościć. Mam dobrą pamięć do twarzy i wydaje mi się, że już u nas bywałaś.

- Owszem, byłam tu kilka razy. Macie doskonałą kuchnię.

- Dzięki. Mój mąż, Ambrosio, jest szefem kuchni i właścicielem. Ma rzeczywiście talent. Pokażę wam wasz stolik.

Estella ujęła Maksa pod ramię, a potem coś mu szepnęła, fakt, który Carrie próbowała zignorować. Dziewczyna była żoną kuzyna, przekazała zapewne Maksowi jakąś rodzinną dykteryjkę. Nieważne. Podała obojgu karty i zawahała się, jakby oczekiwała, że Maks zaprosił, by usiadła na chwilę, ale on powiedział uprzejmie, ale dość twardo:

- Dziękuję, Estello.

Estella uśmiechnęła się promiennie, zbyt promiennie, i odeszła.

- O co chodziło? - zapytała Carrie.

- Estella jest wścibska. Kocha plotki, wyciągnęłaby z ciebie wszystko i natychmiast przekazała całej rodzinie.

W oczach Carrie zabłyśły wesołe iskierki.

- Rozumiem, dlatego postanowiłeś się umówić ze mną tutaj. I jak myślisz, przesłałam pierwszy test?

- Absolutnie. - Pytanie Carrie zabrzmiało lekko, odpowiedź Makska natomiast śmiertelnie poważnie.

- Co będziesz piła?

- Santos, oczywiście.

- Ejże, dzisiaj nie rozmawiamy o interesach - przypomniał jej. - Proponuję spróbować, co ma do zaoferowania konkurencja.

- W takim razie ty wybieraj.

Maks zaczął przeglądać listę win, Carrie tymczasem menu, ale zamiast wybrać coś do jedzenia, co chwila zerkala na twarz Makska oświetloną blaskiem świec. Jak by to było, naprawdę umówić się z nim na randkę, czuć jego zainteresowanie? Spojrzała na jego usta. Jeszcze żaden mężczyzna jednym jedynym pocałunkiem nie obudził w niej takich emocji, takiego pożądania. Pochwycił jej wzrok.

- Wybrałaś już?

Nie powiedziała, że popadła w zadumę nad jego osobą, po prostu skinęła głową.

Maks przywołał kelnera i Carrie wymieniła pierwsze z brzegu danie, które zwróciło jej uwagę.

Maks bez najmniejszych trudności przechodził z hiszpańskiego na angielski i znowu z angielskiego na hiszpański.

- Mówisz świetnie po angielsku. Nigdy nie masz problemu ze znalezieniem właściwego słowa, czego ja nie powiem o sobie, kiedy mówię po hiszpańsku.

- Mówisz po hiszpańsku doskonale, a twój akcent jest bardzo zmysłowy.

Zwykle potraktowałaby taką uwagę śmiechem, ale teraz się zaczerwieniła.

- Hiszpański to język, w którym pracuję, muszę sobie radzić.
- Zgrabnie zmieniła temat. - A ty, gdzie tak dobrze nauczyłeś się mówić po angielsku?

- Moja matka jest Angielką. Przyjechała na wakacje do Hiszpanii i tak poznała ojca. Miała tego wieczoru wracać do Anglii, ale lot został odwołany i przyjaciele zabrali ją na przyjęcie.

Powiada, że to było przeznaczenie. Że musieli się spotkać. A ojciec twierdzi, że jak ją zobaczył, od razu wiedział, że musi się z nią ożenić. Piękna historia, pomyślała Carrie.

- Miłość od pierwszego wejrzenia. Jak Carmel i Bob. Często się nad tym zastanawiałam. Wiem, czym może być fascynacja od pierwszego wejrzenia, ale skąd wiadomo, że ta osoba jest dla ciebie przeznaczona... naprawdę przeznaczona... kiedy widzisz ją po raz pierwszy, nie znasz jej wcale? - Wzruszyła ramionami.
- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Musiałabyś zapytać moją matkę. Ona po prostu wiedziała. To się czuje. - Maks położył dłoń na piersi. - Mówi, że czujesz to tutaj. Jak cios, który cię dosięga. I już koniec z tobą.

- Twoja mama musi być troszkę romantyczką.

- Troszkę - przyznał Maks z uśmiechem. - Nawet teraz, po tylu latach, opowiada tę historię z uczuciem i przejęciem. Przeżyli wiele trudnych chwil, ale zawsze byli razem. Może jednak ma rację, że człowiek powinien ufać swojej intuicji.

- Może.- Carrie wzruszyła ramionami. - Sama byłam trochę romantyczką... - Zawiesiła głowę; niepotrzebnie to powiedziała.

- Już nie jesteś?

Zastanawiała się przez moment nad tym pytaniem. Kiedyś powiedziała by „tak”, zdecydowanie, jestem romantyczką. Ale to było przed ślubem z Martinem, zanim odkryła, co wszyscy wokół dawno wiedzieli. Owszem, widziała, jak Ignęły do niego

kobiety. Widziała, jak flirtował, ale w swojej naiwności nie zdawała sobie sprawy, jak jej mąż daleko się posuwa.

- Dzisiaj jestem realistką - stwierdziła spokojnie.

Na szczęście pojawił się kelner, proponując Maksowi wino do oceny.

- I jak je oceniasz? - zapytała zadowolona, że mogą przejść na neutralny temat - W porównaniu z winami Santos?

- Dobre, ale nic zachwycającego. - Uśmiechnął się jak chłopiec.

Uniosła kieliszek, udając, że wącha aromat.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała bardzo serio. Upiła mały łyk. - Bukiet nie najlepszy. Młody rocznik. Leciutki zapach jagód.

Maks się zaśmiał.

- Zrobimy z ciebie prawdziwego kiperą. Rodzice się ucieszą.

Opowiedz mi o swojej rodzinie. Ile masz sióstr i braci?

- Tylko jedną siostrę, Victorię. Miałem starszego brata, Ramona, który powinien przejąć winnicę, ale umarł dziesięć lat temu. I tym sposobem ja przejmę Santos Wines. - W pozornie spokojnym głosie Maksa zabrzmiał smutek.

- Współczuję ci.

- Byłem wtedy w Sewilli. Miałem pierwszą pracę, w amerykańskiej firmie. Zaproponowałem ojcu, że wrócę, pomogę mu w Santos, ale on nie chciał, twierdził, że da sobie radę. Był Manuel, byli inni krewni, więc specjalnie nie naciskałem.

- A teraz trochę tego żałujesz - domyśliła się Carrie.

- Tak. Może powinienem przekonać rodziców, że jednak kocham tę ziemię. Dla ojca to bardzo ważne. - Wzruszył ramionami z jakimś smutnym wyrazem oczu.

- A kochasz tę ziemię? Czy tylko udajesz, że względu na ojca?

- Zależy mi na winnicy. Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia tam wrócę, ale nie spodziewałem się, że odziedziczę majątek. A to oznacza ogromne zmiany w moim życiu. Nie będę

udawał, że rezygnacja z kariery prawniczej nic dla mnie nie znaczy.

Podano jedzenie. Carrie zamówiła sałatkę z wędzonej piersi kaczki. Była zapewne doskonała, ale biedna Carrie równie dobrze mogłaby jeść papier, tyle obchodził ją smak wyśmienicie przyrządzonego ptaszyska; cała jej uwaga była skupiona na Maksie.

Pojawiły się następne dania, ale Carrie naprawdę nie wiedziała, co jadła.

Maks był zajmującym towarzyszem. Opowiedziała mu, jak straciła matkę w wieku lat siedmiu i jak zamieszkała wówczas z ojcem, którego prawie nie знаła.

- Nie mogłam się zaadaptować. Ojciec nie był przesadnie czuły, Donna była nie lepsza. Obydwoje dużo pili i albo próbowali zapracować na kaca, albo się go pozbyć. - Pokręciła głową. - Jedyńm ratunkiem był mój przyrodni brat. Wspieraliśmy się.

- Musi ci go bardzo brakować, prawda? - zapytał Maks cicho.

Carrie pokiwała głową.

- Był moim przyrodnim bratem i najlepszym przyjacielem.

Maks uściskał jej dłoń.

- Przynajmniej masz Molly.

- Tak... Dzięki tobie. Carmel uważa, że jesteś wspaniałą.

- To nasz hiszpański wdzięk - uśmiechnął się Maks. - Nigdy nie zawodzi.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Maks trzyma ją za rękę. Cofnęła szybko dłoń, choć wrażenie nie było niemiłe.

- Powinniśmy chyba porozmawiać o kontrakcie, nie sądzisz? Mówiłeś, że masz pytania oraz pewne wątpliwości. Zatem do dzieła, mój panie.

- Rzeczywiście coś takiego wyartykułowałem, ale dzisiaj jeszcze raz przeczytałem kontrakt i nie znajduję w nim żadnych uchybień. Wszystko jest w porządku.

- Naprawdę? - Carrie nieco się nachmurzyła.

- Podpiszę go i przyniosę ci jutro do biura. Jak sądzisz, kiedy możemy zacząć zdjęcia? Chciałbym jak najszybciej.

- Nawet w tym tygodniu. Kiedy tylko podpiszesz kontrakt.

Pojawił się kelner, sprzątnął talerze i zapytał, czy państwo życzą sobie kawę.

Carrie zerknęła na zegarek. Mogłaby przegadać z Maksem całą noc, ale powinna chyba być już w domu.

- Muszę wracać, sprawdzić, co z Molly. Kelner odszedł.

- Molly z pewnością ma się świetnie, inaczej Carmel dzwoniłaby do ciebie.

- Tak. Ale robi się późno, a ty musisz przecież wrócić do winnicy.

Maks pokręcił głową.

- Mam niewielkie mieszkanie w mieście. Prześlę się tu dzisiaj.

- Rozumiem.

- Jedź tam ze mną, jeśli masz ochotę. Zrobię ci kawę. To niedaleko stąd.

Carrie podskoczyło ciśnienie. Wizyta w mieszkaniu Maksa oznaczała Niebezpieczeństwo przez duże N. Ale zaproszenie brzmiało nęcąco.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pojawił się Ambrosio - kucharz i właściciel restauracji.

- Cześć, Ambrosio - przywitał go Maks i wymienili kilka serdecznych słów, świadczących o ich zażyłości.

Pojawiła się też Estella.

- Smakowało ci? - zapytała Carrie.

Coś w tej kobiecie nie podobało się Carrie. Jakaś czujność, nie bardzo wiadomo co, bo Estella zachowywała się miło, serdecznie...

- Maks jest kochany, prawda...? Wszyscy go uwielbiamy. - Estella nachyliła się konfidencko do Carrie. - Całkiem nieźle się dogadujecie.

- Owszem. - Carrie uśmiechnęła się, wspominając, jak Maks uprzedzał ją o plotkarstwie Estelli.

- Uważaj, bo umie łącać serca. Uważałabym na twoim miejscu i grała chłodno - poradziła troskliwie.

- Dzięki. Dam sobie radę.

- Przepraszam cię - powiedziała Estella. - Nie chciałam się wtrącać. Ale on chyba jeszcze nie doszedł do siebie po Natashy. Taki już jest. Strasznie romansuje. Rodzice się martwią. A Natasha wróciła właśnie do miasta - oznajmiła Estella ściszym głosem. - Była u nas na kolacji w zeszłym tygodniu.

- Tak? - Kim, do diabła, jest Natasha? Carrie spojrzała na Maksa: miała nadzieję, że wróci do stolika, ale zagadał się z Ambrosiem.

- A jeśli chodzi o winnicę - syczała Estella, to jego ta ziemia nic nie obchodzi, więc nie licz...

- Chyba się mylisz. - Carrie miała dość tej rozmowy. Jeśli miała grać rolę narzeczonej Maksa, musiała powstrzymać Estellę.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że znakomicie porozumiewamy się z Maksem i że jest absolutnie gotów przejąć winnicę.

- Chcesz powiedzieć, że Maks myśli o tobie... poważnie? - W niedowierzaniu Estelli było coś bezczelnego.

Na szczęście Ambrosio przerwał rozmowę.

- Miło cię było poznać, Carrie, ale muszę wracać do kuchni. - Carrie wykorzystała moment, żeby wstać.

Jak taki miły facet może mieć taką okropną żonę? - zastanawiała się.

„To uwodziciel"... „Uważaj"...

- Kim jest Natasha? - zapytała, kiedy doszli do samochodu.

- Rozumiem, że Estella zreferowała ci moje życie erotyczne? - zapytał sucho.

Carrie pokiwała głową.

- A ja musiałam jej powiedzieć, że poważnie o sobie myślimy. Nie miałam wyboru, twierdziła, że nigdy nie przejmiesz winnicy. Jeśli ludzie mają nam wierzyć, musiałam coś powiedzieć.

Maks pokiwał głową.

- Dobrze zrobiłaś.

- Może... ale chyba mi nie uwierzyła.

- Nie martw się Estella, to trudny człowiek.

- Nie martwię - powiedziała Carrie. I się nie martwiła. Była zła. Ponieważ nie wiedziała, kim jest Natasha. A Maks chciał znać jej byłych facetów, dla niego to była część umowy.

- Kawa u mnie? - zapytał Maks lekko, kiedy wsiedli do samochodu.

- Nie, muszę wracać do domu - powiedziała spokojnie, bez wykrętów.

Może wcześniej miałyby ochotę jechać do niego, ale teraz otrzeźwiała. Przecież to tylko układ.

Maks po prostu skinął głową i włączył silnik.

Kim, do diabła, była Natasha? Narzeczoną?

I te szeptki Estelli: „Nigdy nie przeboleł Natashy”. A potem: „Znowu jest w Barcelonie”.

Może miała rację i tych dwoje ciągle coś jeszcze łączy.

Maks zatrzymał auto przed jej domem.

- Dziękuję za miły wieczór. - Chciała jak najprędzej od niego uciec.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Jutro widzimy się w biurze?

Ku jej zaskoczeniu odprowadził ją do drzwi. I najwyraźniej chciał odprowadzić do mieszkania.

- Nie ma potrzeby.

- Powiesz mi, co ci naopowiadała Estella?

- Mnóstwo bzdur.

- Jak zwykle. Cała ona.

- A ty powinienes był mi powiedzieć, kim jest Natasha i co dla ciebie znaczy. Nie miałam pojęcia, o kim mówi Estella.

- Rozumiem.

Zirytowała ją ta ambiwalentna odpowiedź.

- Jesteś zazdrosna, Carrie?

- Skąd! Co mnie to obchodzi? Umawiaj się, z kim chcesz. Twoje damy nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Może ci się wydawać, że jesteś Bóg wie kim, ale ja nie jestem twoją wielbicieleką.

- Nie?

- Nie.

- Nie wyglądasz na tak odporną, jak ci się wydaje. - I ją pocałował. - A Natasha - powiedział powoli, odsuwając się od Carrie. - To moja była narzeczona. Poślubiła kogoś innego, więc raczej nie będzie nam przeszkadzać.

Wyszedł, a Carrie nadał piekły usta od pocałunku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Poniedziałkowe spotkania zawsze były udane. Zespół zbierał się przy wielkim stole w sali konferencyjnej i zaczynała się burza mózgów, w czasie której ustalano kampanie reklamowe kolejnych produktów.

Carrie potrafiła myśleć wyjątkowo szybko i sprawnie, gdy działała pod presją, na zebrania przychodziła zawsze przygotowana, wiedziała, jak zdobywać klientów, kontrakty, zamówienia, ale tego ranka zwykła inwencja ją opuściła. Słuchała, jak inni przerzucają się pomysłami i myślała, że ta wojna słów jest żalosna. Mela koncepcja reklam proszku do prania nie była może tak śmieszna jak koncepcja Gustava, ale czy to rzeczywiście ważne? Może konsumenci mieli już dość tak zwanych śmiesznych reklam.

Słuchała, jak Jose roznosi w pył pomysł Mela i miała ochotę zapaść się pod ziemię. Mei wyraźnie się zirytował, ale Jose zdawał się tego nie dostrzegać. Rozwodził się o polityce obowiązującej w Images z gorliwością duchownego grzmiącego przeciwko siedmiu grzechom głównym.

Niepotrzebnie tak się zapala, pomyślała Carrie ze złością. Ją bardziej zajmował fakt, że dzisiaj rano niania Molly wróciła do pracy i od razu poinformowała, że za dwa tygodnie odchodzi.

- Musze - oznajmiła stanowczo, kiedy Carrie próbowała ją jeszcze prosić, by została do końca miesiąca. - Mój chłopak wraca do Granady, obiecałam, że pojedę razem z nim. - Oczywiście promieniowały szczęściem, a jeszcze niedawno chodziła zapuchnięta od płaczu.

Carrie miała nadzieję, że Sylvii jakoś ułoży się związek z chłopakiem, którego osobiście uważała za kompletnie nieodpowiedzialnego wartogłowa.

Tak czy inaczej, to problem Sylvii: dla niej rzecz sprowadzała się do faktu, że za dwa tygodnie zostanie bez niani.

Prawdziwa szkoda, bo Molly lubiła Sylvie i zdążyła się do niej przyzwyczaić. A tu jeszcze jedna zmiana w życiu małej osóbkki, której Molly naprawdę nie potrzebowała.

- Jak kampania Santos Wines? - zagadnął Jose swoim tubalnym głosem, wrywając ją z zamyślenia.

- Mam wszystko pod kontrolą - powiedziała spokojnie. - Dzisiaj podpiszemy kontrakt.

- Zdawało mi się, że miał podpisać w piątek. Tak chyba mówiłaś...

- Dzisiaj będę miała dokumenty na biurku - zapewniła Carrie. - Jeszcze w tym tygodniu ekipa zacznie kręcić spot w winnicy. Maks chce, żebyśmy ruszali jak najszybciej.

Jose miał sceptyczną minę. A Carrie cichą nadzieję, że Maks jeszcze tego samego dnia podpisze kontrakt.

Znowu wróciło wspomnienie wczorajszego pocałunku. Nie sądziła, że tak intensywnie zareaguje i że pieszczota wywoła taką falę namiętności. Maks po prostu chciał jej czegoś dowieść, sprowokowała go. Ale jak mu się wytłumaczy, jak spojrzy mu dzisiaj w oczy?

- Na tym zakończylibyśmy dzisiejsze zebranie - ogłosił Jose i wszyscy zaczęli zbierać notatki, zdjęcia, szkice, by wrócić do swoich zajęć.

- Zaczekaj chwilę, Carrie — zatrzymał ją Jose, kiedy i ona chciała wyjść.

- Tak? - zapytała, patrząc niecierpliwie, jak Jose powoli zamyka plastikową teczkę. Miała jeszcze tego dnia mnóstwo pracy, ale on się nie spieszył. Odczekał, aż wyjdzie ostatnia osoba, a potem zapytał: - Jak sprawa adopcji Molly?

- Posuwa się do przodu.

W oczach Josego pojawiło się chyba na moment rozczarowanie.

- Babka nie zabiera małej?

- Molly jest ze mną szczęśliwa, jej babcia to widzi.

Jose pokręcił głową.

- Popelniasz wielki błąd, Carrie. Jesteś świetna w swoim fachu, dlaczego bierzesz sobie na głowę cudze dziecko? Marnujesz coś bardzo cennego.

- Nic nie marnuję - stwierdziła Carrie spokojnie. - Mogę wykonywać swoją pracę i wychowywać Molly. Kocham ją. Miliony samotnych matek jakoś sobie radzą i posiadanie dziecka nie przeszkadza im w robieniu kariery...

- Marnujesz nasz związek - oznajmił Jose i Carrie na moment zbaraniała. - Tęsknię za tobą - mruknął. - Tęsknię za naszymi wypadami na drinka wieczorem, za naszymi kolacjami. Było nam razem dobrze.

- Nasz związek się skończył, jeśli można nazwać go związkiem. Od początku był pomyłką. Dobrze się nam razem pracuje. I niech tak pozostanie.

Jose położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie masz racji. Stanowilibyśmy bardzo zgraną parę.

Dziwne, ale dotyk Josego nie budził w niej absolutnie żadnych emocji, nie wywoływał przyspieszonego bicia serca. Znowu pomyślała o Maksie. Wystarczyło, by na nią spojrzeć, a z nią już działały się najdziwniejsze rzeczy.

- Carrie, proszę, przemyśl to jeszcze - mruknął Jose i nachylił się, jakby chciał ją pocałować. Cofnęła się przerażona, w tej samej chwili drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i na progu stanął Maks.

Chyba zauważył, jak Carrie odskoczyła od Josego, bo zmierzył ją uważnym spojrzeniem, ale nie potrafiła odgadnąć, co sobie pomyślał. W każdym razie jego mina nie zdradzała żadnych emocji.

- Twoja sekretarka powiedziała, że cię tu znajdę - oznajmił spokojnym głosem.

- Spodziewałam się, że przyjdiesz dopiero po południu. - Carrie nie umiała wyjaśnić, dlaczego poczuła się nieswojo, niemniej tak właśnie było. No dobrze, Jose stał może

rzeczywiście zbyt blisko, żeby to miało wyglądać na rozmowę służbową, ale co Maksa mogło to obchodzić?

- Jose, to Maks Santos z Santos Wines. Maks, przedstawiam ci mojego szefa, Jose - dokonała szybko prezentacji, próbując odzyskać panowanie nad sytuacją.

Jose uściskał wylewnie dłoń gościa.

- Miło mi pana poznać. Jesteśmy bardzo zainteresowani projektem dla Santos Wines. Naprawdę bardzo. Mam nadzieję, że nasza kampania okaże się sukcesem.

- Oby tak było - odpowiedział Maks spokojnie.

- Ma pan do dyspozycji jedną z najzdolniejszych osób w naszym zespole, Carrie ma wielki talent. Tu, w Images wszyscy wierzymy w jej umiejętności.

Niechby się zamknął, pomyślała Carrie ze złością. To, co mówił, w jaki sposób ją zachwalał, brzmiało jak tekst tandetnej reklamy.

- Zdążyłem się przekonać jak niezwykła jest Carrie - stwierdził Maks i dodał: - Prawda, querida? - Użył tego hiszpańskiego słówka, oznaczającego „najdroższa”, bez mrugnienia okiem.

Carrie zrobiła się czerwona. Jose osłupiał na moment, a Maks poczynał sobie z pełną wdzięku swobodą.

- Rozumiem, że nie powiedziałaś jeszcze Josemu o nas? - zapytał Maks i Carrie spąsowiała jak piwonია. - Słusznie. Interesy to interesy, a więc wracajmy do naszych spraw. Przyniosłem kontrakt - pokazał przezroczystą koszulkę z dokumentem - ale musimy jeszcze omówić kilka rzeczy. Porozmawiamy przy lunchu.

Carrie była wściekła, że Maks zdradził się przed Joscm z ich prywatnym układem. To było absolutnie niepotrzebne, ale Maks najwyraźniej świetnie się bawił. Chciała mu przypomnieć, że w czasie wczorajszej kolacji twierdził, że nie ma najmniejszych zastrzeżeń do kontraktu, i że nie muszą już nic omawiać, ale nie chciała wszczynać sprzeczek w obecności szefa.

- Chodźmy do mojego gabinetu, porozmawiamy - powiedziała z rozkosznym uśmiechem. - Wybacz nam, Jose, z łaski swojej.

- Ma się rozumieć, oczywiście. - Jose cofnął się o krok. Ciągle miał lekko zbaraniałą minę,

Maks natomiast był tak rozluźniony, że aż irytujący.

- Co ty wyprawiasz? - napadła na niego, kiedy już znaleźli się w gabinecie. - Czemu powiedziałeś mu, że coś nas łączy?

- A nie łączy? - zainteresował się Maks. - Chyba że zmieniłaś zdanie... - dodał twardym tonem - a wtedy będę musiał zastanowić się nad kilkoma sprawami.

- To znaczy? - Carrie się nachmurzyła. - Posłuchaj, Maks. Nasza umowa to wyłącznie nasza sprawa. Nie miałeś prawa mówić Josemu, że się spotykamy. To nie ma nic wspólnego z pracą i kampanią.

- Przeciwnie, miałem prawo. Zawarliśmy układ i ten układ oboje nas zobowiązuje.

- Nie w agencji... nie w czasie służbowym...

- Czyli w godzinach służbowych. Carmel i Bob mogą usłyszeć, że to maskarada? - Spojrzał na nią zimno i zobaczył, jak krew odpływa jej z twarzy. - Nie możesz rozgrywać tego, jak ty chcesz, według własnych zasad, Carrie. Albo łączy nas układ, albo nie.

Carrie poczuła się jak w potrzasku.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego musiałeś go poinformować.

- Barcelona to wielkie miasto, ale wszyscy się znają. Na przykład twoja sekretarka jest daleką krewną mojego szwagra.

- Coś podobnego. - Carrie zmarszczyła czoło. - Nie wiedziałam. To ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście. Wiesz, że ludzie plotkują. Czy ona ma świadomość, że jeszcze niedawno spotykałaś się z Joscm?

- Nie przypuszczam. Byliśmy bardzo dyskretni. - Teraz do niej dotarło, że Maksowi duma nie pozwala mieć niewiernej narzeczonej, nawet jeśli to jest fałszywa narzeczoną. - Nie

pomyślałam. - Przeczesala nieuważnym gestem długie włosy. - Uznałam, że im mniej osób wie o naszym układzie, tym lepiej. Tym łatwiej będzie nam później się wycofać.

- O wycofywaniu się mamy jeszcze czas pomyśleć. Mówiłaś, co prawda, że to sprawa skończona, ale spotykasz się nadal z Josem? - Maks wpił w nią spojrzenie czarnych oczu.

- Nie. Mówiłam ci. Znajomość się skończyła, kiedy w moim życiu pojawiła się Molly.

Maks wierzył jej, ale wiedział też, że tam, w sali konferencyjnej, musiał przerwać jakąś intymną scenę. To doprowadzało go do furii.

Zerknął na zegarek.

- Musimy ustalić kilka podstawowych zasad. Zjesz lunch ze mną?

- Nie bardzo mogę, mam mnóstwo pracy...

- Zdązysz - powiedział niemal rozkazująco.

- Dobrze, ale tylko pół godziny...

- Zgoda. Pójdziemy do jakiejś knajpy w pobliżu.

Carrie spojrzała na przezroczystą koszulkę, którą Maks cały czas trzymał w dłoni.

- Podpisałeś już kontrakt? Zirytowało go to pytanie.

- Jeszcze nie. - Profesjonalistka.

- Przecież obiecałeś, że podpiszesz!

- Porozmawiamy o tym przy lunchu. - Uśmiechnął się krzywo. - Staraj się dostrzegać jasne strony życia. Nie będziesz miała wyrzutów sumienia. Idziesz w końcu na służbowy lunch ze mną.

- Ależ ty jesteś twardy, Santos.

- Tylko przewidujący.

Maks z przyjemnością przyglądał się, jak Carrie przekłada jakieś papiery na biurku i zbiera się do wyjścia i nagle przypomniał sobie wczorajszy pocałunek, reakcję Carrie. Namiętność z obu stron działała jak narkotyk. Z trudem uwolnił

Carrie ze swoich objęć, ale powiedział sobie, że nie należy się spieszyć.

Teraz nie był pewien, czy taka powściągliwość to najlepsza taktyka.

- Chciałbym, żebyś przyjechała do winnicy w najbliższy weekend - oznajmił nieoczekiwanie, kiedy szli w stronę wind.

Zaskoczyło ją to zaproszenie.

- Z jakiej okazji?

Drzwi się rozsunęły i weszli do kabiny.

- W niedzielę po południu rodzina organizuje przyjęcie urodzinowe dla bliźniaków. Powinnaś się pojawić. To nada naszej znajomości wiarygodność.

- Myślałam, że chcesz odczekać. Sam mówiłeś, że powinni najpierw zacząć wypytywać się o mnie.

- Już wypytują. Estella musiała wczoraj wieczorem zadzwonić do mojej matki - rzucił beztrząsko. - To znaczy, że możemy przejść do następnego etapu.

Carrie wpadła w lekki popłoch. Maks natomiast najwyraźniej niczym się nie przejmował. Po prostu realizowali drugi etap ich umowy - i to wszystko. Zerknęła spod oka na jego spokojne oblicze. Przypomniała sobie wczorajszy pocałunek i pożądanie, które w niej rozpałiło. I które nie mijało. Teraz w ciasnej kabinie windy bliskość Maksa była tym bardziej wyczuwalna i Carrie poczuła, że powinna uciekać od Maksa Santosa jak najdalej. Dla niego była tylko współniczką razem utkanej intrygi.

- Co dokładnie masz na myśli, mówiąc o drugim etapie? - zapytała.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Poznasz moją rodzinę i spędzisz weekend w winnicy.

- Weekend? Chcesz, żebyśmy spędziła z tobą cały weekend?

- Są jakieś przeszkody?

Drzwi windy się rozsunęły i Carrie uderzyła fala gorącego powietrza. Bez tego oblewał ją żar. Przeszkody! - sarknęła w duchu. Będzie musiała spędzić cały weekend w obecności

Maksa, udając absolutną wobec niego obojętność. Weekend zapowiadał się koszmarnie.

- Nie mogę zostawić Molly na tak długo. - Tu przynajmniej mówiła prawdę.

- Molly przyjedzie z tobą. Nie wyobrażam sobie, żebyś miała ją zostawić. W niedzielę weźmie udział w przyjęciu, na pewno się jej spodoba. Bella i Emilio są tylko troszkę od niej starsi, będzie mnóstwo innych dzieci.

Wyszli na ulicę, czego Carrie chyba nie do końca była świadoma. Zastanawiała się, jak wykręcić się od zaproszenia. Nic mądrego nie przychodziło jej do głowy, sparaliżowany mózg nie był w stanie znaleźć żadnej wymówki.

- Gdzie będziemy spać? - zadała pierwsze pytanie, które przyszło jej na myśl.

Maks się uśmiechnął.

- W moim domu jest pięć sypialni, Carrie. Mnóstwo miejsca do spania.

Kiedy doszli do ruchliwego skrzyżowania, ujął ją pod ramię.

- Zaproś Carmel i Boba, jeśli masz ochotę. Chcieli obejrzeć winnicę.

Carrie nie wiedziała, czy to ułatwi czy utrudni sytuację, więc nie odpowiedziała od razu.

- Zaraz usiądziemy i omówimy kilka podstawowych zasad.

- Dobrze.

Na przykład to, że nie powinien jej dotykać. Nawet niewinnie i delikatnie, jak chociażby teraz, ponieważ jej ciało zbyt gwałtownie reagowało na każdy kontakt. No ale tego nie może mu przecież powiedzieć. Chyba że sam już się domyślił po wczorajszym pocałunku. Straszna myśl. Maks Santos bez tej wiedzy był wystarczająco zadufany w sobie.

Usiedli w małym, tradycyjnie urządzonym barze tapas. Nad lśniącym orzechowym blatem wisiała wielka szynka parmeńska. Pora lunchu dopiero się zaczynała i poza nimi oraz jeszcze jakąś

dwójką ludzi zajętych sobą i popijających wino w barku nie było jeszcze nikogo.

Maks zaproponował stolik wprost pod podwieszonym pod sufitem wiatrakiem.

- Co chcesz?

- Ja... tylko kawę.

- Jedzenie wygląda bardzo smacznie - zachęcił, spoglądając na zimne dania stojące na barze. - Weź coś.

- Maks, nic nie chcę. W ogóle nie powinno mnie tu być. Robota na mnie czeka.

- Nic dziwnego, że jesteś taka szczuplutka - mruknął i kiedy podszedł kelner, złożył zamówienie.

Uważa, że jest za chuda? Ciekawe, jak wyglądały jego prawdziwe dziewczyny. Na przykład Natasha? Ciekawe, dlaczego się rozstali. Może Maks ją zdradził, a ona to odkryła? Może nawet żałował, że tak się stało? Stąd czasami ten smutek w oczach. Estella mówiła przecież, że nie przeboleał Natashy. A zresztą, to nie jej sprawa.

- A więc co z tymi zasadami podstawowymi? - przypomniała. - Masz rację, musimy ustalić, jak działać. Po pierwsze, jak długo będziemy grać naszą komedię. - Carrie poczuła się lepiej, przechodząc do spraw praktycznych.

- Nie jestem pewna, kiedy Carmel i Bob chcą wracać do domu. Nie kupili na razie biletów powrotnych. Miałam zapytać ich rano, ale wynikł pewien problem i zapomniałam.

- Jaki problem?

- Niania wypowiedziała pracę. Zostanie z nami jeszcze tylko dwa tygodnie. Dam sobie radę. Zadzwonię do agencji i poproszę, żeby przysłali mi kilka dziewczyn. Martwię się tylko o Molly. Akurat teraz nie trzeba jej żadnych zmian.

Maks pokiwał głową.

- Tak. Potrzebna jej stabilizacja, znajome twarze, pewność.

- Tak. - Carrie na moment zapomniała o zasadach podstawowych. - Pomyślałam rano, że może powinnam wziąć

urlop, przynajmniej do czasu aż znajdę nową nianię, z którą Molly się oswoi.

- Jose da ci urlop?

- Nie wiem. Prawie wszystko wykorzystałam, kiedy zmarł mój brat.

Barman przyniósł kawy i Carrie się ocknęła.

- Nie będę cię męczyć swoimi problemami. Dam sobie jakoś radę. A my musimy ustalić, jak długo będziemy grali tę naszą komedię.

Maks wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy powinniśmy już teraz ustalać limity czasowe. Ważniejsze, żebyśmy trzymali wspólny front. Proponuję, żebyśmy na niedzielnym przyjęciu ogłosili nasze zaręczyny.

Carrie na te słowa serce zaczęło bić jak po przebiegnięciu maratonu.

- Nie za wcześnie? Maks się uśmiechnął.

- Wręcz przeciwnie. Carmel i Bob wiedzą przecież od pierwszego dnia, że zamierzasz wyjść za mnie za mąż.

- To co innego, zostałam przyciśnięta do muru i nie miałam wyjścia, ale oficjalne zaręczyny?

- A po co czekać? - przekonywał Maks. - Cała rodzina zjawi się w niedzielę. Trudno o lepszą okazję.

Carrie poczuła się, jakby stąpała po ruchomych piaskach.

- Muszę ci powiedzieć. Maks, że nie bardzo mi się to podoba. Oni mnie przejrzą. Nawet nie wiem, czy jestem w twoim typie.

- Nawet jeśli nie, co to komu przeszkadza? Dostrzegła wesołe iskierki w jego oczach i bardzo ją to zirytowało. Była pewna, że zwykle umawiał się z pięknymi kobietami. Był tak zadufany w sobie, że ręce opadały.

Ty też nie jesteś w moim typie - wypaliła nieoczekiwanie.

- A kto jest w twoim typie? - Jedna brew podjechała kpiąco w górę. - Jose?

- Jose jest bardzo przystojny - zapewniła, czując się w obowiązku bronić swojego szefa.

- Szkoda tylko, że nie lubi dzieci - dodał Maks z przekąsem.

Carrie poczerwieniała. Nie powinna była poruszać tematu Josego. Maks miał rację. Fatalnie wybierała mężczyzn. Martinem też nie było co się chwalić.

- Przepraszam, nie powinienem był tego mówić - zmitygował się.

Carrie odwróciła wzrok.

- Podpiszesz kontrakt? - zapytała, kierując rozmowę na sprawy zawodowe.

- Nie wiem. Chcesz się wycofać z naszej umowy?

Carrie zmrużyła oczy.

- A ty chcesz mnie szantażować? Pobladła, kiedy nie odpowiedział od razu.

- Chcesz, tak? - W głosie zabrzmiało nieskrywane oburzenie.

- To, to miałeś na myśli, mówiąc mi w biurze, że mogę się wycofać, ale ty musisz przemyśleć kilka rzeczy.

- Szantaż to za ostre słowo. Nie możesz się dziwić, że chcę zabezpieczyć swoje interesy. Ja wypełniłem swoją część układu, tymczasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ty próbujesz się wycofywać.

- Wcale nie próbuję się wycofywać. Po prostu myślę, że źle postępujemy.

- A więc jednak próbujesz - powtórzył. - Albo jesteś ze mną, albo odwołujemy wszystko. Wóz albo przewóz. Tu nie ma kompromisów.

Carrie spojrzała na kontrakt, potem na Maksa.

- Blefujesz. Ta kampania reklamowa jest niezbędna dla winnicy...

- Oszczędź mi takich argumentów. Są inne agencje.

Posłała mu wściekle, lodowate spojrzenie.

- Naprawdę jesteś tak wyrachowany? Maks wzruszył ramionami.

- Decyduj, wchodzisz albo nie - poradził. - Szkoda czasu.

Carrie zacisnęła zęby.

- Powiedziałałam, że tak.
- Przepraszam, nie dosłyszałem.
- Powiedziałałam, że wchodzę. - Słyszał doskonale, bawił się z nią tylko. Maks Santos potrafił doprowadzić człowieka do furii.
- Teraz podpiszesz?
 - Podpiszę w środę, jak wybierzemy się razem na kolację.
 - Chcę, żebyś podpisał teraz.
 - Cierpliwości, querida. - Przyglądał się jej z chłodnym zainteresowaniem badacza. - Pójdziemy na kolację i będziemy patrzeć sobie w oczy. Zapewnisz mnie, że nie wycofasz się z umowy, a ja wtedy podpiszę kontrakt.
 - Jesteś niemożliwy.
 - A ty jesteś jeszcze piękniejsza, kiedy tak się złościysz.
 - Mam tego dość, wracam do pracy. - Carrie wstała od stolika.
 - Do zobaczenia w środę. Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej, jak ostatnio, Carrie? - Chwycił ją jeszcze za rękę.
 - Środa. Siódma trzydzieści - wycedziła i wyszła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jak się w to wpackowała? W sobotę rano wiozła Carmel, Boba i Molly do winnicy.

Nie zamierzała zapraszać dziadków, uznała, że to tylko pogorszy sytuację; to Maks wystąpił z zaproszeniem. Zadzwoił sam do hotelu i zaprosił starszusków, a Carmel oddzwoniła do Carrie, zachwycona perspektywą weekendowej wycieczki.

- Nie powinieneś był tego robić - zrugła go, kiedy spotkali się w środę wieczorem na kolacji. - Ja ich nie zapraszałam. Uznałam, że to tylko zwiększy napięcie. Teraz będziemy musieli udawać cały czas, nie tylko na przyjęciu urodzinowym.

Maks po swojemu wzruszył ramionami i niczym się nie przejął.

- Jak się poznaliśmy, to była jedna z pierwszych rzeczy, o które zapytali: czy będą mogli przyjechać do winnicy, a ja powiedziałem, że tak. Ja dotrzymuję słowa. Wypełniłem swoją część układu.

Carrie zacisnęła dłonie na kierownicy, kiedy przypominała sobie tamte słowa. Miał czelność mówić o dotrzymywaniu słowa, kiedy właściwie szantażem ją zmusił do grania intrygi.

W każdym razie w środę podpisał kontrakt, przynajmniej tyle. Ale nigdy nie powinien zapraszać Carmel i Boba do swojego domu. Przedstawiać ich swoim rodzicom. Sieć kłamstw robiła się coraz bardziej gęsta. Przy nich Carrie musiała odgrywać swoją komedię perfekcyjnie.

Zerknęła w lusterko wsteczne: Carmel śpiewała jakąś dziecięcą piosenkę, a Molly się zaśmiewała, zachwycona.

Wszyscy zdawali się zadowoleni, nawet Bob siedzący koło Carrie na miejscu pasażera uśmiechał się pogodnie.

- Jak tu pięknie, Carrie - powiedział, chwytając jej spojrzenie.

- Tak, pięknie. - Czuła się paskudnie, że oszukuje dwoje miłych starszych. Bogu ducha winnych ludzi. Rodzice Maksa też byli na pewno mili...

Jak do tego doszło? - zadawała sobie po raz setny to samo pytanie. Coś, co zaczęło się właściwie przypadkowym kłamstwem, przerodziło się w tornado, które porwało ją ze sobą.

Zatrzymała samochód przed domem Maksa. Nie mogła uwierzyć, że była tu po raz pierwszy zaledwie trochę ponad tydzień temu, tyle się przez ten czas wydarzyło.

W progu willi pojawił się Maks. Nie widzieli się od czasu środowej kolacji i serce jej drgnęło, kiedy ich oczy się spotkały.

Co wcale nie oznaczało, że cieszy ją widok Maksa. Jak można się cieszyć ze spotkania z chłodnym, kalkulującym draniem? Kiedy rozstawali się pod domem Carrie w środę wieczorem, Maks koniecznie chciał ją odprowadzić na górę. Potem nachylił się, szepnął cicho dobranoc, a ona poczuła kompletny chaos w głowie i zamknęła z wrażenia oczy. Maks pocałował ją jeszcze w oba policzki i odjechał. Bardzo była z tego powodu rozczarowana. Tak źle i tak niedobrze, ale weekendowy wyjazd do winnicy z pewnością nie był dobrym pomysłem - był pomysłem fatalnym.

Maks włożył dżinsy i biały T-shirt: pierwszy raz widziała go w takim swobodnym, domowym stroju. Wyglądał świetnie, aż zbyt dobrze, niemal chłopięco.

- Hej, querida - przywitał ją poufale.

Wiedziała, że to demonstracja na rzecz Carmel i Boba, ale to nie ochłodziło ani trochę jej reakcji. Tym bardziej, że oto położył jej dłoń na ramieniu, pochylił się i pocałował w policzek, a potem przywitał się z dziadkami McCormack.

- Cieszę się, że przyjechaliście. - Ucałował Carmel, Bobowi uściśnął dłoń.

- Chodźcie do środka i czujcie się jak u siebie. - Przykucnął obok Molly. - Cześć, młoda damo - powiedział z uśmiechem. - Jak się miewa dzisiaj Mojo?

Molly wyciągnęła psa przed siebie.

- Bardzo się ucieszył, że jedzie na wieś? Pokiwała poważnie głową.

- Mówi, że na podwieczorek chciałby lody.

- Powiem w kuchni, żeby dla was obojga przygotowali lody
- oznajmił Maks z powagą, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Może nawet podwójne porcje. Chcesz zobaczyć, gdzie będziesz spała?

Molly pokiwała głową.

- Ale tam będzie duże łóżko? Ja już nie śpię w dziecięcym łóżeczku.

- Będziesz spała jak królowna - obiecał Maks. - Zaraz się przekonasz.

Maks świetnie sobie radzi z Molly, pomyślała Carrie, wyjmując bagaże z samochodu. Podszedł właśnie do niej, żeby pomóc.

- Dam sobie radę - powiedziała, zarzucając własną torbę na ramię.

- Zawsze niezależna - mruknął i jednak odebrał od niej torby Carmel i Boba. - Chodźmy. Rozgoście się, a potem wypijemy drinka - powiedział.

Molly nie odstępowała Maksa. Była nim zafascynowana. Widać jego urok działał na wszystkie kobiety, niezależnie od wieku.

Najpierw pokazał dziadkom ich sypialnię: utrzymaną w białoniebieskiej tonacji i urządzonej antykami.

- Śliczna - zachwyciła się Carmel.

- Jeśli tylko czegoś będziecie potrzebować, mówcie, nie krepując się. Zostawiam was. Rozgoście się i schodźcie na dół.

Molly pociągnęła go za rękaw.

- Ja też tu będę, z dziadkami?

- Nie, ty śpisz na końcu korytarza. - Maks uśmiechnął się i ujął jej rączkę. - Chodź, zobaczysz.

Pokój Molly urządzony był na biało, tylko łóżko przykryto pstrokatą, wesolą kapą ozdobioną postaciami z kreskówki. Na stoliku obok łóżka czekały książki i zabawki.

Molly podbiegła i zaczęła oglądać przygotowane dla niej skarby.

- Siostra dała mi kilka rzeczy należących do bliźniaków, żeby Molly poczuła się jak w domu - wyjaśnił Maks, kiedy Carrie posłała mu pytające spojrzenie.

- Zadałeś sobie mnóstwo fatygi jak na tak krótką wizytę. Dziękuję. - Była naprawdę wzruszona jego zapobiegliwością.

- Żadna fatyga. - Maks otworzył drzwi, za którymi Carrie spodziewała się zobaczyć łazienkę, ale znalazła pokój. - To moja sypialnia. Pomyślałem, że możesz tu spać, bo pokoje się łączą i będziesz blisko Molly.

Carrie weszła do środka. Sypialnia Maks...

- A ty gdzie będziesz spał? - zapytała z lekkim przerażeniem.

Maks wyczuł niepewność w jej głosie i uśmiechnął się pod nosem.

- Boisz się, że będę próbował posunąć naszą komedię za daleko?

- Skądże - zachnęła się. - Jest mi tylko przykro, że oddajesz mi własną sypialnię, to wszystko.

- Absolutnie nie powinno być ci przykro. Zawsze mogę zostać - zakpił. - Bardzo chętnie to zrobię. Nawet powinienem, jeśli chcemy zachowywać pozory.

Carrie poczuła, że oblewa ją żar. Maks wyszczerzył zęby.

- Wyglądasz bardzo sexy, kiedy jesteś skonsternowana. Oczy robią ci się niemal granatowe, policzki płoną.

- Nie jestem skonsternowana - wycodziła ze złością.

Co się z nią, do diabła, dzieje? Nigdy się tak nie zachowywała - jak głupia pensjonarka. Dlaczego ten facet tak na nią działa, że niemal przy każdym jego geście, każdym słowie traci głowę.

- Potrafię się zorientować, kiedy ktoś żartuje, nawet jeśli są to żarty w nie najlepszym stylu.

- Ja nie żartuję. Wszyscy będą oczekiwali, że zamieszkasz w moim pokoju, ze mną. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Jesteśmy nowocześni. I jutro mamy ogłosić nasze zaręczyny.

- Nie sędzę, żeby Carmel i Bob byli aż tak nowocześni - prychnęła Carrie.

- A ja sędzę - odparł Maks. - Musimy przynajmniej udawać, że spędziliśmy noc razem, inaczej będzie to wyglądało dziwnie.

- Maks, ja...

- Nie martw się. Po prostu postaram się, żeby zobaczyli, jak wychodzę rano z naszej wspólnej sypialni. To wystarczy.

- Uważam, że to zupełnie niepotrzebne - oświadczyła Carrie, starając się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej naturalnie.

- Nie chcemy przecież, żeby Carmel i Bob zaczęli coś podejrzewać, prawda? - Maks wzruszył ramionami. - Należy dbać o detale, moja droga. W końcu jestem facetem z temperamentem, mam piękną narzeczoną...

Carrie starała się nie myśleć, jak by to było dzielić z nim ogromne drewniane łoże z baldachimem, leżeć w jego ramionach.

Ledwie zobaczyła ten obraz przed oczami, ciśnienie jej skoczyło. Żeby jakoś się opanować, udała, że podziwia pokój i chwilowo nie zauważa obecności Maksa.

Maks usiadł na brzegu łóżka.

- Będziemy musieli ustalić kilka szczegółów dotyczących jutrzejszego dnia - powiedział. - Kiedy już będziesz gotowa.

- Jakich szczegółów? - zapytała ostrożnie. Wolałaby, żeby Maks nie siadał na łóżku...

Wolałaby nie czuć pokusy, żeby usiąść obok niego.

Może powinna się z nim po prostu przespać i przestać o nim myśleć?

Była tak wstrząśnięta własnym pomysłem, że nie słyszała właściwie, co on mówi. Coś o prostowaniu spraw...

Przespanie się z Maksem Santosem byłoby poważnym błędem. Owszem, był zabójczo przystojny, ale łączył ją z nim wyłącznie układ. Umowa. To wszystko. Zdołała się przekonać, jaki potrafił być bezwzględny, kiedy liczył się interes. Gdyby wprowadziła w życie swoje rojenia, mogłoby się to skończyć katastrofalnie. A ona musiała myśleć o Molly.

Podeszła do okna wychodzącego na mały lasek pomarańczowy. Dalej ciągnęła się winnica, na horyzoncie majaczyły fioletowe góry.

- Będą pytać, jak się poznaliśmy. Musimy opowiedzieć tę samą wersję, którą opowiedzieliśmy Carmel i Bobowi, oraz trzymać się blisko prawdy.

- Prawda wydaje mi się teraz odległa o tysiące lat świetlnych - stwierdziła Carrie markotnie.

Maks podniósł się z łóżka i stanął za nią. Położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ku sobie.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział cicho, łagodnie, a Carrie, jak zwykle, ogarnęła fala pożądania.

- Mam nadzieję - powiedziała, cofając się.

Przez chwilę w pokoju panowała napięta atmosfera, którą szczęśliwie rozładowała Molly, wbiegając z głośnym wołaniem:

- Ciociu, mogłabym ją zatrzymać?! - Pokazała lalkę, którą trzymała w jednej dłoni.

W drugiej, oczywiście, ścisnęła Mojo. Pytała z tak ogromną powagą, jakby adopcja tej szczególnej lalki była najważniejszą rzeczą na świecie.

- Masz setki lalek w domu. Nie potrzebujesz więcej - powiedziała Carrie.

- Ale ona mi się podoba... - Molly zaczęła drzeć niebezpiecznie broda.

Była najwyraźniej zmęczona i należało szybko położyć ją spać. Zwykle spała po lunchu, ale tego dnia miała więcej niż zwykle wrażeń i potrzebowała odpoczynku, w przeciwnym razie

za kilka minut mogła przeobrazić się w marudną, kapryszą pannicę. Carrie zdążyła ją już poznać i wiedziała, co robić.

- Porozmawiamy o tym po sjeście - oznajmiła stanowczym tonem, wzięła Molly na rękę i pocałowała. - Co ty na to?

- A mogę wziąć tę lalkę ze sobą do łóżka?

- Oczywiście.

Carrie wyprowadziła Molly i Maks słuchał ich dialogu przez otwarte drzwi.

Molly uparła się, by spać w sandałach i sukience i Carrie starała się jej wytłumaczyć, że królowny nie sypiają jednak w sandałach.

- Przecież to śmieszny pomysł...

Maks uśmiechnął się: Carrie była taka łagodna i cierpliwa wobec malej.

Stanął w drzwiach łączących obie sypialnie.

- Jeśli chcesz, możesz włączyć klimatyzację. Carrie - uprzytomnił jej. - Albo po prostu włączyć wiatrak pod sufitem.

- Włączę wiatrak. Nie lubię klimatyzacji, za bardzo mi się kojarzy z angielskimi chłodami.

Maks się zaśmiał.

Molly leżała już w łóżku, podciągnąwszy kołdrę pod głowę. Zerknęła chytrze na niego.

- Poczytasz mi?

- Ja ci poczytam - powiedziała Carrie. - Wujek Maks jest zajęty.

- Aż tak zajęty nie jestem - sprostował Maks. - Mogę ci poczytać, Molly.

Molly pisnęła ucieszona.

- „O Sowie i Kotku” - zażądała.

- Mamy tę książkę? - zmartwił się Maks, patrząc na Carrie.

- Owszem, zabrałam ją ze sobą. - Była naprawdę poruszona tym, jak Maks odnosi się do malej. - Ale nie musisz czytać Molly, ja mogę...

- Jestem bardzo ciekaw historii sowy i kotka - zaręczył Maks z wesołym błyskiem w oku.

Carrie wyciągnęła książkę z torby. Wolałaby, żeby Maks nie był taki serdeczny i troskliwy wobec Molly, bo to jeszcze bardziej przyciągało ją do niego.

Zaczął czytać, ładnie modulując głos, podkreślając dykcją niektóre frazy. Molly słuchała z najżywszym zainteresowaniem, chociaż znała swoją ukochaną książkę na pamięć, ponieważ codziennie, bez wyjątku, kazała ją sobie czytać.

Carrie obserwowała jego piękną twarz, wesołe oczy, mocno zarysowaną, znamionującą siłę brodę i nagle pomyślała, nieoczekiwanie dla samej siebie, że bez trudu mogłaby się beznadziejnie zakochać w tym człowieku.

Bzdura, prychnęła w duchu. Ledwie go znała. Facet był zadufany w sobie, momentami nieznośny, uparty... Choćby sprawa podpisania kontraktu...

A jednak, a jednak... Pomimo wszystko. Jakiś głos szeptał jej, że chyba już się zakochała.

Nagle uświadomiła sobie, że Maks skończył czytać. Spojrzała na niego, a on uśmiechnął się jakimś takim ciepłym uśmiechem.

- Jeszcze raz - zażądała Molly.

Carrie nie bez trudu przeniosła wzrok na małą.

- Pora spać - oświadczyła.

- Jeszcze tylko jeden raz, proszę - upierała się Molly i Maks zaczął czytać jeszcze raz.

Carrie starała się teraz nie patrzeć już na niego. Próbowwała sobie powiedzieć, że ponosi ją fantazja, że to tylko rojenia. Owszem, Maks się jej podobał, pociągał ją, ale nic więcej. Pomyśl, że mogła się w nim zakochać, był czystą iluzją. Wszystko przez to, że grali swoją komedię, udawali parę, to musiało jakoś ją zasugerować, oddziaływać na psychikę. Do tego ten jego serdeczny stosunek do Molly. Carrie w pewnym momencie poniosła fantazja. Tyle. Kropka.

Molly zaczęły opadać powieki. Jeszcze walczyła ze snem, jeszcze próbowała słuchać, ale już odpływała. Maks nie dotarł nawet do połowy książeczki, kiedy mała już spała.

Maks spojrział na śpiące dziecko i się uśmiechnął.

- Musiała być bardzo zmęczona.

- Była taka przejęta, że jedzie na wieś. Nie mogła się doczekać. Jak dla niej to mnóstwo nowych wrażeń. A wczoraj położyła się znacznie później, niż powinna.

- Jak długo sypia w dzień?

- Zwykle wystarcza jej godzina. Maks odłożył książkę.

- Dobrze się czujesz, Carrie?

- Dobrze. Dlaczego pytasz?

Posiała mu podejrzliwe spojrzenie. Padłaby chyba trupem ze wstydu i zgryzoty, gdyby się domyślił, o czym myślała. Ona umarłaby ze wstydu, a on pewnie pokładałby się ze śmiechu. Jak dla Carrie był zdecydowanie za bardzo pewny siebie. A ona miała swoją dumę.

- Przez moment byłaś bardzo błada.

- Wszystko w porządku - zapewniła trochę nieswoim głosem. - Może zejdziemy już na dół?

Na podeście schodów, w pełnym świetle dnia, poczuła się znacznie lepiej.

- Dziękuję, że jej czytałeś - powiedziała już dziarskim tonem. - Masz dla niej bardzo dużo cierpliwości.

- Lubię dzieci. Sam chyba chciałbym mieć córkę...

Carrie spojrzała na niego zdumiona. Cóż za głębia uczuć. Co nie zmieniało faktu, że łączył ją z tym posiadającym głębokie uczucia facetem układ. Umowa. Biznes. Musisz być bardzo ostrożna, powiedziała sobie. Nie bierz maskarady za rzeczywistość, bo to byłaby skrajna głupota.

Carrie i Maks właśnie schodzili, gdy na podeście piętra pojawili Carmel i Bob.

- Gdzie Molly? - zapytała Carmel. - Śpi?

- Ma swoją południową drzemkę - przytaknął Maks, zanim Carrie zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. - Chodźmy na taras, napijemy się czegoś - dodał.

Usiedli na patio przy basenie.

- Będę mogła potem popływać? - zagadnęła Carrie, kiedy Carmel i Bob podeszli do basenu, zachwyceni refleksami południowego słońca na turkusowej wodzie.

- Oczywiście, nie musisz pytać. Przecież jesteś tu już właściwie u siebie, skoro jutro ogłaszamy nasze zaręczyny - odparł Maks.

Do stołu wrócili Carmel i Bob. zaczęto rozmawiać o głuptwach i Carrie odetchnęła, znowu nabrała pewności, że da sobie radę. potrafi zapanować nad sytuacją.

- To cudownie, że Molly będzie dorastała w takim otoczeniu - powiedziała Carmel w jakimś momencie. - Toni byłby na pewno szczęśliwy, Carrie. Nie mógłby chyba wymarzyć sobie niczego lepszego. - I tu Carrie na powrót zmartwiała, odprężenie diabli wzięli, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. - Toni opowiadał, jakie mieliście trudne dzieciństwo - ciągnęła Carmel, najwyraźniej nieświadoma stanu uczuć Carrie. - Zawsze powtarzał, że chciałby, żeby Molly mogła się wychowywać w innych warunkach.

Carrie ścisnęło w gardle. Wykrztusiła tylko z najwyższym trudem:

- Tak.

- Zamierzasz nadal pracować po ślubie?- zapytała Carrael. - Stąd trudno by ci było dojeżdżać codziennie do Barcelony.

- Carrie zamierza wziąć urlop - przyszedł jej na ratunek Maks. - A potem zobaczymy. Może znajdzie coś bliżej domu. Pół godziny jazdy stąd mamy spore miasto z dobrze rozwijającym się biznesem. Mogłaby założyć własną agencję reklamową, zatrudnić niewielki, prężny zespół. Nie byłaby wtedy związana godzinami.

Carrie słuchała słów Maksa w niejakim oszołomieniu. Zawsze po cichu marzyła o swojej agencji. Przecież ten człowiek mówi o fikcyjnej przyszłości, ocknęła się i wróciła na ziemię. Maks musi być wytrawnym kłamcą, jeśli z taką łatwością wymyślił na poczekaniu historyjkę o wspólnym życiu i karierze żony.

- Chcecie chyba mieć własne dzieci? - kontynuowała Carmel.

Molly pomyślała, że dłużej tego nie zniesie.

- Myślmy o tym - uśmiechnął się Maks.

- Ale najpierw niech Molly trochę podrośnie, niech okrzepnie emocjonalnie. Wtedy coś postanowimy.

Maks zachowywał się tak autentycznie, tak prawdziwie i prawdopodobnie, że Carrie w pewnym momencie znowu straciła poczucie rzeczywistości i już nie wiedziała, co może być prawdą, a co jest tylko fikcją.

Wstała pospiesznie od stołu.

- Przepraszam, ale muszę zajrzeć do Molly. Na górę prawie wbiegła, powtarzając sobie, że Maks to wytrawny, cyniczny kłamca.

Molly jeszcze spała, ale kiedy ciotka stanęła obok niej, otworzyła oczy.

- Jak się spało, kochanie?

Pod wieczór Maks zabrał gości do winnicy.

- Ziemia tutaj jest doskonała, mamy też dobry system nawadniania, a to wszystko oznacza, że nasze winorośle puszczają głębokie korzenie. Są mocne i zdrowe.

- To zupełnie jak z rodziną - zauważyła Carmel z uśmiechem. - Głębokie korzenie są najważniejsze.

- Tak jest - przytaknął Maks, też się uśmiechnął i spojrzał na Carrie.

„Głębokie korzenie...” - powtórzyła kilka razy w myślach.

- Kiedy myślicie wracać do Australii? - zapytał Maks w jakimś momencie, zwracając się do dziadków McCormack.

Carmel wzruszyła ramionami.

- Za kilka tygodni. Jeszcze nie wiemy. Jeśli ustalicie bliską datę ślubu, zostaniemy. Do niczego nam się nie spieszy.

Carrie ścierpła skórą.

- My też nie chcemy się spieszyć, Carmel. Mówiłam już wam.

Carmel się uśmiechnęła.

- Wiem, co mówiłaś, ale widać na pierwszy rzut oka, jacy jesteście w sobie zakochani. Po co czekać?

Carrie potknęła się z wrażenia. Maks podtrzymał ją, a potem otoczył ramieniem i dalej szli już przytuleni do siebie.

- Carmel ma rację - powiedział Maks. - Powinniśmy chyba ustalić datę. Co myślisz, querida'?

- Myślę, że nie jesteśmy jeszcze gotowi - mruknęła Carrie, wściekła, że Maks ciągnie temat.

- Widzicie, co ja mam z tą dziewczyną? - zwrócił się Maks do dziadków, na co Bob i Carmel odpowiedzieli zgodnym śmiechem.

Carrie nie było do śmiechu.

- To nieprawda. Maks - natarła z furią. - Jesteś tak zajęty winnicą, że też nie chciałeś wyznaczać daty. A teraz robisz ze mnie tę, która zwleka, bo ważniejsza jest dla niej kariera - głos jej drżał ze złości.

Zaległa dziwna cisza.

Co ona wyprawia? Złość minęła tak szybko, jak przyszła.

- Chciałam tylko, żebyście wiedzieli - powiedziała już spokojniej - że oboje mamy różne zobowiązania zawodowe, dlatego postanowiliśmy poczekać. A teraz przepraszam was, muszę położyć Molly spać.

- Zaczekaj - powstrzymał ją Maks nieoczekiwanie. - Masz rację. Zależy mi na winnicy.

- Teraz to nie ma większego znaczenia.

- Owszem, ma. - Maks przygarnął ją do siebie i spojrzał prosto w oczy. - W nadchodzącym tygodniu ustalimy datę ślubu.

- Wiesz, o czym mówisz? - zapytała Carrie, szeroko otwierając oczy.

- Owszem, wiem. O niczym innym nie myślałem od dnia, kiedy cię poznałem.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Carrie energicznymi ruchami pokonywała długość basenu, nawracając rytmicznie.

Nie mogła uwierzyć w tak niezwykły obrót spraw. O co chodziło Maksowi? Skąd ta nagła zmiana? Nie chciał wyjść na złego chłopca? Teraz muszą ustalać datę fikcyjnego ślubu.

Carrie była tak wściekła, że teraz próbowała rozładować złość pływaniem.

Kiedy wyszła z basenu, Maks siedział na patio z jej szlafrokiem i przyglądał się jej uważnie.

- Świetne zagranie - powiedział krótko. - Moje gratulacje. Awantura kochanków. To dodało ogromnej wiarygodności naszemu związkowi.

- Ciszej, do diabła. - Carmel kąpała na górze Molly, a Bob oglądał telewizję. - To nie było żadne zagranie, w przeciwieństwie do twojej żalösnej decyzji, żeby ustalić datę ślubu.

- Jeśli nie zagranie, to co takiego? - zainteresował się Maks.

- Próba przywrócenia równowagi - wyjaśniła Carrie. - Usiłowałeś zagrać przed dziadkami pana Wspaniałego. Jak potem niby miałabym się wycofać ze związku z takim wspaniałym facetem? Powiedzieć Bobowi i Carmel, że zerwałam z tobą? Nie wiem, o czym myślałeś, i przestań się idiotycznie uśmiechać. Teraz będziemy musieli ustalać datę fikcyjnego ślubu.

- Ustalimy - rzucił Maks lekko. - Nie widzę żadnego problemu.

- Ja widzę. Jako dżentelmen powinieneś być wziąć winę za zwłokę na siebie. Jesteś nałogowym kłamcą, Santos - tchnęła ze złością. - Zupełnie jak mój mąż.

- Ejże, przypomnę ci, zanim zaczniesz prawić morały, że to ty wymyśliłaś pierwsze kłamstwo. Ja tylko próbowałem ratować ci skórę.

- Zgoda, skłamałam, ale nigdy nie pomyślałam, że posuniemy się tak daleko. Chciałam wyznać Carmel prawdę, kiedy ty pojawiłeś się w hotelu.

- I oczywiście nic nie powiedziałaś.

- Chciałam powiedzieć - oznajmiła Carrie z mocą. - Ale ty brniesz coraz głębiej w ten absurd. Udało ci się nawet przekonać Carmel i Boba, że jesteśmy w sobie zakochani i że istnieje między nami fizyczny pociąg, którego nie potrafisz ukryć. Otóż nic z tych rzeczy. - Miała nadzieję, że kiedy wypowie te słowa na głos, staną się one rzeczywistością.

- Tak uważasz? - Maks jakby się zadumał, po czym przesunął zmysłowym, pełnym aprobaty wzrokiem po ciele Carrie, a miała na sobie jedynie bikini.

Czuła się naga pod spojrzeniem Maksa i bezbronna, ale nigdy w życiu nie była tak podniecona.

- Daj spokój, Carrie. Istnieje między nami chemia, wiesz o tym równie dobrze jak ja, i w tej jednej kwestii akurat nie uda się nikogo okłamać.

Zanim Carrie zorientowała się w intencjach Maksa, już ją całował. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się do niego i oddała pocałunek, drżąc z pożądania. Dotknięcie dłoni Maksa wydawało się czystą torturą.

- Może jest chemia między nami - powiedziała wreszcie zdławionym głosem, odsuwając się od niego. - Ale to wszystko. Po prostu seks. Jeśli pójdziemy do łóżka, to się samo wypali, umrze śmiercią naturalną.

- Chcesz sprawdzić? - podchwycił. - Chcesz się kochać i zobaczyć, co z tego wyniknie?

Carrie miała ochotę powiedzieć „tak”, a była to ochota tak przemożna, że aż bolesna, ale drzwi na patio otworzyły się i stanęła w nich Carmel.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam, papużki nierozłączki, ale Molly chce, żebyś utuliła ją do snu - powiedziała z uśmiechem.

- Oczywiście. - Chwyciła szlafrok kąpielowy i weszła pospiesznie do domu, szczęśliwa, że nie odpowiedziała na pytanie Maksu.

Już po zaśnięciu Molly siedziała przy łóżku małej - wtedy pytanie wróciło. Podniosła się ciężko i przeszła do sypialni Maksu, by wziąć prysznic i przebrać się do kolacji. Włożyła wybraną specjalnie na ten wieczór złotą suknię, prostą, z głębokim, sznurowanym wycięciem na plecach. Włosy upięła do góry i, nie sprawdzając nawet w lustrze, jak wygląda, zeszła na dół. Nieważne, jak wygląda, jej wygląd nie ma żadnego znaczenia. To tylko domowa kolacja u Maksu. Nie pierwsza z Makssem.

Cała czwórka wypiła po drinku w salonie, po czym przeszli do jadalni. Kiedy siadali do stołu, za oknem błysnęło, raz, drugi.

- Wygląda na to, że burza idzie w naszą stronę - zauważył Bob.

- Tak. Mamy tu czasem bardzo spektakularne burze - powiedział Maks, a zajmwszy miejsce naprzeciwko Carrie przy wielkim, oświetlonym świecami stole dodał już pod jej adresem: - Pięknie wyglądasz, querida.

- Dziękuję - odpowiedziała. To tylko słowa, pomyślała i znowu przypomniała sobie jego pytanie.

Szybko ujęła swój kieliszek i upiła solidny łyk dobrze schłodzonego wina. Niebezpieczne są takie namiętne uczucia. Szczególnie wobec zawodowego kłamcy, jak Maks.

Dla niego uprawianie miłości było prawdopodobnie tylko grą. Owszem, poszedłby z nią do łóżka, a potem odszedł, kiedy jemu by było wygodnie.

Nie była naiwną dziewczyną, tylko dojrzałą kobietą, która miała za sobą bolesne doświadczenia.

Zajęła się zaserwowanym na przystawkę koktajlem z krewetek tygrysiach na kruchej zielonej sałacie oraz próbowała przysłuchiwać się rozmowie przy stole.

Maks wyjaśniał Bobowi tajniki rynku win:

- Konkurencja jest bardzo ostra. Żeby wino zdobyło nagrodę, musi mieć przede wszystkim dobrą sprzedaż. Marketing jest szalenie ważny. I dlatego też ważna jest kampania reklamowa, którą przygotowuje dla mnie Carrie. Ma kilka świetnych pomysłów - tu się uśmiechnął do niej.

- Omal nie wycofałeś się z kontraktu z Images - przypomniała mu chłodno. - Mało brakowało, a poszedłbyś do innej agencji.

Maks znowu się uśmiechnął.

- Nigdzie bym nie poszedł, Carne - oznajmił miękko.

- Chcesz powiedzieć, że blefowałeś?

- Oczywiście.

Carrie patrzyła mu przez moment w twarz, zastanawiając się, czy mówi prawdę czy też znowu gra dla dziadków McCormacków.

- Kiedy mężczyzna zabiega o piękną kobietę, musi mieć jakiegoś asa w rękawie - oznajmił z niewymuszoną swobodą. - Prawda, Bob?

- Oczywiście - przytaknął Bob ze śmiechem.

Rozmowa przez dłuższą chwilę toczyła się jeszcze wokół kampanii reklamowej dla Santos Wines. Carrie przysłuchiwała się, ale nie zabierała głosu, choć to ona była tu jedyną specjalistką. Nagle poczuła, że Carmel i Bob przeszkadzają, że powinni pójść na górę, a ona miałaby Maksa wreszcie dla siebie. I nieważne, że ich przygoda szybko się wypali. Przynajmniej zachowa piękne wspomnienie. Życie jest krótkie, a oni obydwójce wolni, nikomu nie uczyniliby krzywdy.

Znowu moje myśli zmierzają w niebezpiecznym kierunku, zbeształa się i upiła łyk wina.

Podano danie główne i rozmowa z handlu winami i kampanii reklamowej dla Santos przeniosła się na życie w Australii.

- Musicie kiedyś całą trójką przyjechać do nas na rodzinne święta - powiedziała Carmel.

- Carrie, Maks i Molly.

- Z największą rozkoszą - odparł Maks.

- Prawda, querida?

Rodzinne święta. Słowa brzmiały ciepło. Ale oni nigdy nie będą rodziną.

Burza zbliżała się wyraźnie, grzmoty słyhać było całkiem niedaleko i Carrie niepewnie rzuciła wzrokiem na otwarte drzwi na taras.

- Nie lubisz burzy? - domyślił się Maks.

- Nie boję się, ale powiem szczerze, gdybym teraz była w domu, wyłączałabym wszystkie korki.

Maks się uśmiechnął.

- Zrobię to samo - zapewnił. - Jeśli burza przyjdzie naprawdę blisko, w domu zapadną ciemności.

Carrie odpowiedziała uśmiechem i pomyślała, jak by to było teraz iść z nim na górę. Carmel i Bob już planowali wizytę rodzinną u siebie w Australii, ale Carrie ich nie słyszała.

- Carrie... - dotarł do niej wreszcie głos płynący gdzieś z bardzo daleka.

Ocknęła się. Talerze już uprzątnięto. Gospodyni wniosła właśnie kawę.

- Carrie - powtórzyła Carmel. - Mówiłam właśnie, że jeśli się nie obrazicie, to dziękujemy za kawę i pójdziemy już oboje na górę. Położymy się wcześniej. Jesteśmy zmęczeni, Bob ciągle jeszcze nie przywykł do zmiany czasu.

- Oczywiście, że się nie obrazimy. - Carrie zrobiło się głupio, że nic nie słyszała. - Sama chciałabym położyć się wcześniej.

Wcale się nie dziwię - powiedziała Carmel ze śmiechem. - Nie pesz się, znam życie, nie mam przesądów. - Machnęła dłonią. - Poza tym będziecie wkrótce małżeństwem. Bawcie się dobrze, gołąbeczki. A my zmykamy, bo dziesiąta to dla nas głęboka noc. Dziękujemy za miły dzień. Maks.

- To ja wam dziękuję - odpowiedział Maks serdecznym tonem. - Mówiłem ci, że Carmel jest kobietą nowoczesną -

zwrócił się ze śmiechem do Carrie, kiedy dziadkowie McCormackowie zniknęli.

- Po prostu starała się być miłą, bo zauważyła, że się spieszyłam - sprostowała Carrie.

- Myślę, że wieczór się udał. - Maks uniósł kieliszek.

- Tak. To mili ludzie. - Carrie zamiast wina upiła łyk kawy, licząc, że kofeina ją ocuci, ale nie przestawała fantazjować, jak wspaniale byłoby znaleźć się w ramionach Makska.

Na taras spadły pierwsze krople deszczu, błysnęło, gdzieś tuż obok domu przetoczył się grom. Maks sięgnął za siebie i wyciągnął z kontaktu stojącą na pomocniku lampę. Pokój pograżył się w mroku, oświetlany jedynie migotliwym światłem świec.

- Tak lepiej? - zapytał.

Carrie wcale nie była pewna. Mrok wydawał się zbyt intymny.

- Znacznie lepiej - powiedziała z uśmiechem.

- Jeśli chcesz, zabierzemy świece i przejdziemy na kawę do salonu - zaproponował Maks.

- Nie. - Głos Carrie brzmiał zdecydowanie. - Wieczór był naprawdę bardzo miły. ale robi się późno. Chciałabym się już położyć.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciała wychodzić, uciekać od intymnej atmosfery. W czasie kolacji coś się wydarzyło, coś, co sprawiało, że gotowa była kontynuować wieczór w nieskończoność.

- Carrie?

Spojrzała pytająco na Makska.

- Zdajesz sobie sprawę, że doprowadzasz mnie do szaleństwa od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem? - Głos Makska brzmiał lekko ochryple.

- Nie powinniśmy mieszać faktów i fantazji, to byłby wielki błąd - powiedziała Carrie szybko, jakby słowa miały odczarować magiczną chwilę.

Maks ujął jej dłoń i ścisnął lekko.

- Chcę się kochać z tobą i wiem, że ty chcesz tego samego.

- Może chcę - przytaknęła zdławionym głosem i Maks uśmiechnął się z satysfakcją - ale to nic nie znaczy - dodała już znacznie chłodniej i wstała od stołu. Maks też się podniósł. - Dziękuję ci za naprawdę uroczy wieczór - zakończyła już całkiem oficjalnym, kurtuazyjnym tonem.

Maks obszedł powoli stół i położył jej dłoń na ramieniu, powstrzymując przed rejteradą. A potem obrócił ją ku sobie i pocałował, namiętnie, głęboko.

Carrie nigdy dotąd nie przeżywała niczego podobnego, nie знаła odczuć i emocji aż tak dojmujących, dzikich, gwałtownych.

Pragnęła tego faceta. Nie, więcej niż pragnęła, ona go potrzebowała, szalała za nim w tej chwili. Jej ciało domagało się znacznie więcej niż jeden, pełen pasji pocałunek.

- Myślę, że powinniśmy się przenieść na piętro - podsunął Maks.

Carrie była dokładnie tego samego zdania, ale duma nie pozwalała jej zgodzić się natychmiast.

- Chcesz poddać próbie moją teorię? - zapytała. - Kiedy już zaspokoimy pożądanie, będziemy mogli zapomnieć o tej całej chemii, która jakoby istnieje między nami.

- Przekonamy się - odpowiedział po hiszpańsku. - Nic nie przesądź, niczego nie zakładaj. Nie spieszmy się. - Wziął ją za rękę i poprowadził na górę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po miłosnej nocy Carrie usnęła w ramionach Maksa przepełniona uczuciem najczystszej, najdoskonalszej ekstazy. Spała tak głęboko i tak spokojnie, że kiedy się obudziła, nie wiedziała, gdzie jest.

Poranne słońce oświetlało pokój, wokół panowała absolutna, doskonała cisza. W swoim domu budziła się zupełnie inaczej...

Odwróciła głowę, zobaczyła puste miejsce obok siebie i wszystko sobie przypomniała: wróciła na ziemię.

Co ona najlepszego zrobiła? Usiadła gwałtownie na łóżku, rozejrzała się, ale była w sypialni sama. Maks zniknął. Została tylko rzucona byle jak suknią na podłodze i aż nazbyt wyraziste wspomnienia ostatniej nocy.

Carrie nie należała do kobiet, które idą z mężczyzną do łóżka bez specjalnych zahamowań, dla czystej przyjemności. Nie wiedziała, co się z nią stało wczorajszego wieczoru, skąd obudziło się w niej to niekontrolowane, wręcz lekkomyślne pożądanie?

Opadła na poduszki i ukryła twarz w dłoniach, usiłując uwolnić się od dręczących wspomnień.

Dotyk dłoni Maksa... smak jego ust... jego pieśczoć... jej dążenie do całkowitego zaspokojenia... Oblewał ją żar. jednocześnie pragnęła, żeby Maks był teraz z nią, tutaj, blisko.

Łona, naiwna, wierzyła, że jedna noc położy kres pożądaniu, wypali je, pomyślała ze złością. Wręcz przeciwnie: pragnęła Maksa jeszcze bardziej niż przedtem. Gdzie on się podział? Prawdopodobnie wymknął się, kiedy tylko usnęła, syty seksualnych doznań. Wszak chodziło tylko o seks, więc dłaczego miałby zostawać do rana, budzić się razem z nią?

Podniosła się z łóżka, zła, że Maks ją obchodzi, że ma dla niej znaczenie. Ostatnia noc to chwilowa aberracja i tak powinna ją potraktować. Zajrzała do Molly: mała jeszcze spała, przeszła więc do łazienki i weszła pod prysznic, starając się nie myśleć o

Maksie, o jego ciele, jego pieszczotach. To tylko seks. Ludzie mają prawo spędzić ze sobą noc dla czystej przyjemności, bez żadnych zobowiązań oraz wyrzutów sumienia. Rozchodzą się rano i o wszystkim zapominają. Maks też zapomni, ł ona zapomni. Kłopot w tym, że nigdy nie potrafiła traktować seksu tak bez troski i nigdy nie praktykowała przygód na jedną noc.

A ostatniej nocy oddała się rozkoszy bez żadnych zahamowań i zastrzeżeń.

Dlaczego?

Przypomniała sobie, jak leżeli spleceni ze sobą. Wtulona w Maksą czuła samo ciepło, serdeczność. To wspomnienie podziałało na nią jak szok elektryczny.

Czyżby tylko sobie to wyobraziła? W końcu Maks od początku mówił jasno, że ich związek ma być związkiem fikcyjnym, że on nie chce się angażować. Żadnych zobowiązań, tak sobie powiedzieli, zawierając swój układ.

A więc to, co zdarzyło się wczorajszej nocy, musiało być czystym seksem. Carrie zacisnęła powieki. Zamiast prowadzić próżne analizy, powinna przygotować się psychicznie do czekającego ją dnia, w końcu pozna dzisiaj rodziców Maksą, będzie musiała odgrywać jego narzeczoną, kobietę po uszy zakochaną.

Nigdy nie potrafiła kłamać. Jeden rzut oka i wszyscy domyślą się, że... że jest po uszy. nieprzytomnie, szaleńczo zakochana w Maksie i że jest to miłość silniejsza niż wszystko.

Carrie znieruchomiała, zdjęta nagłą paniką. Potem zakręciła wodę i powtórzyła powoli:

- Kocham go... Ja go naprawdę kocham.

Cóż z tego? Dla Maksą nie miało to żadnego znaczenia. Ich zaręczyny też nie miały dla niego najmniejszego znaczenia. Kiedy państwo Santos odetchną, uszczęśliwieni, jej rola się skończy. Pewnie nigdy więcej nie zobaczy Maksą.

Ta świadomość sprawiała ból.

- Carrie? - z sypialni dobiegł głos Maksą.

Jak ma teraz spojrzeć mu w twarz, zachowując dumę oraz godność? Nie zdradzając swoich uczuć?

- Carrie? - Maks stał pod drzwiami łazienki.

- Już wychodzę. - Drżącymi dłońmi owinięła się w ręcznik. - Brałam prysznic.

- Przyniosłem ci kawę.

- Dziękuję. Postaw ją na stoliku. - Carrie oparła się o drzwi i zamknęła oczy. - Przy odrobinie szczęścia mogłeś wpaść na korytarzu na Carmel, to nadałoby jeszcze większej wiarygodności naszemu narzeczeństwu.

- Być może - odparł Maks z niezmaconym, pogodnym spokojem. - Powiesz mi dzień dobry, zanim wyjdę?

Carrie się zawahała. Musi spojrzeć mu w twarz, ale nie teraz. Bała się, że Maks odgadnie, co ona czuje, a to byłoby zbyt upokarzające. Na szczęście w sypialni rozległ się głos Molly:

- Ciociu, gdzie jesteś?

Carrie odetchnęła. Zrzuciła ręcznik i założyła szlafrok. Spotkanie z Maksem w obecności Molly było nieporównanie łatwiejsze. Mogła udawać, że jest całkowicie pochłonięta małą. Maksa traktując obojętnie.

Wzięła głęboki oddech i położyła dłoń na klamce.

- Kiedy będzie to przyjęcie? - zagadywała podniecona Molly do Maksa. - Szybko czy nieszybko?

- Nie zjadłś nawet jeszcze śniadania - powiedziała Carrie, wchodząc do sypialni.

- Kiedy tam pojedziemy, wujku? - Molly zdawała się nie słyszeć Carrie. - Kiedy?

- Po południu. Jak się obudzisz z drzemki - wyjaśnił Maks spokojnie.

- Dopiero? - W głosie Molly zabrzmiał zawód. - Tak długo mam czekać?

- Wcale nie tak długo. Zobaczysz, jak czas szybko minie - tłumaczył Maks.

Wyglądał, oczywiście, zabójczo i Carrie przypomniała sobie, jak wspaniale było czuć jego ciało obok siebie w łóżku.

- Dzień dobry. - Posłał jej leniwy uśmiech.

- Dzień dobry. - Spojrzała na Molly. - Pora brać prysznic, moja panno. Nie zwracaj już głowy wujkowi Maksowi.

- W takim razie znikam. - Maks podniósł się i pogłaskał Molly po włosach. - Słuchaj cioci.

- Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach i zwrócił do Carrie: - Powiedziałem rodzicom, że przyjedziemy trochę wcześniej, bo mamy im coś do powiedzenia.

- Ty będziesz musiał mówić, Maks - powiedziała Carrie, walcząc z przerażeniem. - Ja nie wiedziałabym, co powiedzieć.

- Wszystko będzie dobrze. - Uśmiechnął się. - Będzie lepiej niż dobrze, zobaczysz. Wszyscy z miejsca będą tobą zachwyceni.

Carrie odwróciła się ku Molly. Nie chciała, żeby wszyscy ją kochali. Wystarczyłoby, żeby kochał ją Maks.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Carrie siedziała z Molly sama na tarasie w porannym słońcu. Maks zabrał Carmel i Boba do pobliskiego miasteczka, bo chcieli posmakować atmosfery katalońskiej prowincji. Miał ich zostawić i zaraz wracać, bo dziadkowie zdecydowali się dojechać na popołudniowe przyjęcie taksówką.

Carrie umierała z niepokoju: miała wrażenie, że na przyjęciu wszyscy od pierwszej chwili przejrzą intrygę, odkryją kłamstwo - prawda wyjdzie na jaw.

Nie mogąc dłużej usiedzieć z niepokoju, zaproponowała Molly spacer po lasku pomarańczowym. W pewnym momencie mała poprosiła o owoc i Carrie próbowała dosięgnąć którejś pomarańczy, ale nie było to wcale takie łatwe. W końcu przygięła jakąś gałąź, gdy usłyszała za plecami ostry głos Makska:

- Znęcanie się nad drzewami jest u nas surowo karane.

Carrie odwróciła się gwałtownie i zobaczyła wesole błyski w jego oczach.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała z uśmiechem. - Nie sądziłam, że wrócisz tak szybko.

- Do miasteczka jest naprawdę niedaleko. - Maks podszedł i spojrzał oskarżycielsko na Molly. - To ty chciałaś niszczyć moje drzewka?

- Nie - zaparła się Molly. - To ciocia powiedziała, że zerwie mi pomarańczę.

Carrie parsknęła śmiechem.

- Dziękuję ci bardzo. Molly.

Maks przygiął gałąź, zerwał owoc i podał Molly.

- Mam zerwać jeszcze jedną? Carrie pokręciła głową.

- Jedna wystarczy. - Tu zwróciła się do Molly: - Daj tę pomarańczę, to ci ją obiorę.

- Ja sama obiorę - powiedziała Molly i pobiegła przodem w stronę domu.

- Zosia Samosia - stwierdziła Carrie z uśmiechem.

- Właśnie - przytaknął Maks. - Ciekaw jestem, po kim ona to ma. - W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że Carrie znowu mocniej zabiło serce. - Molly! - zawołał i ruszył za nią. - Dawaj zaraz tę pomarańczę, ja ci ją obiorę.

Molly zaczęła uciekać, on udawał, że nie może jej dogonić, a Carrie się śmiała. Podeszła do murku otaczającego lasek cytrusowy, przysiadła i obserwowała przez chwilę błazenadę wśród drzew.

- Później cię złapię, Molly - powiedział w końcu Maks i przysiadł obok Carrie.

Carrie zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Gdyby to wszystko działa się naprawdę, byłiby bardzo szczęśliwi w trójkę... Znowu dają się ponieść marzeniom, zgromiła samą siebie.

- Myślisz, że twoi rodzice domyślają się, co im chcemy powiedzieć? - zapytała.

- Nie sądzę - odpowiedział po chwili milczenia. - Mój ojciec o wszystko by mnie podejrzewał, tylko nie o to, że się zaręcę.

- Wyjął z kieszeni džinsów małe pudełeczko i otworzył.

- Chciałbym, żebyś go dzisiaj założyła.

W pudełeczku tkwił wspaniały pierścionek zaręczynowy z dużym brylantem, który zajarzył się tysięcznymi refleksami słońca.

Carrie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Podoba ci się? - zapytał Maks cicho.

- Jest piękny.

Maks wyjął pierścionek z pudełka.

- Uczynisz mi ten zaszczyt i go założysz?

- Ujął jej dłoń i wsunął pierścionek na palec.

- Masz ci los, za duży. Będziesz musiała zanieść go do jubilera, żeby zmniejszył obrączkę. Na dzisiejsze popołudnie może być.

- Po co zmniejszać, skoro trzeba go będzie zwrócić do sklepu?

Nie rozumiała logiki, jaką w tej chwili kierował się Maks. W każdym razie usiłowała panować nad sobą i sprawiać wrażenie absolutnie spokojnej, nawet chłodnej, gdy w środku wszystko w niej krzyczało. Chciała, żeby to się działo naprawdę. Pragnęła Maksa tak bardzo, że to bolało.

- Nie zamierzam go zwracać. Chcę, żebyś go nosiła.

- Naprawdę?

Maks zauważył, że zbladła, oczy jej pociemniały.

- Nie przejmuj się. Chodzi przecież o uprawdopodobnienie - przypomniał jej nieco zgryźliwie. - Pierścionek do niczego cię nie zobowiązuje.

- Rozumiem.

- Świetnie. W takim razie wyjaśniliśmy sobie sytuację.

Zapadło milczenie. Carrie przyglądała się Molly, siedzącej na trawie między drzewami, a Maks obserwował Carrie: czuła na sobie jego spojrzenie. Co myślał? Chciała, żeby chociaż na chwilę zostawił ją teraz samą. Żeby mogła się pozbierać. Powiedzieć sobie, że jej marzenia są nierealistyczne, że Maks zaręcza się z nią na niby.

- A więc trzymamy się dzisiaj tak blisko prawdy, jak to możliwe? - zagadnęła rzeczowo.

- Tak jest

- Poznaliśmy się w samolocie, wracając z podróży służbowych.

Rodzice Maksa mieszkali o kilkanaście minut jazdy samochodem od jego domu.

Molly nie przestawała trajkotać na tylnym siedzeniu. Kto będzie na przyjęciu? Jakie prezenty kryją się w pięknie opakowanych paczkach? Co podadzą do jedzenia? Była tak podniecona, że nie mogła usiedzieć spokojnie.

Dom rodziców Maksa był obrośnięty bugen-willą, podobnie jak rezydencja Maksa, ale tu się kończyły wszystkie

podobieństwa, bo oto Carrie miała przed sobą prawdziwą wiejską siedzibę, z całą jej prostotą - wygodną, obszerną, ale absolutnie bezpretensjonalną. Takie domy budowali miejscowi katalońscy cieśle, lokalni rzemieślnicy, a nie architekci - i na tym polegało ich piękno.

- A więc mamy trzymać się tak blisko prawdy, jak to możliwe - powtórzyła nerwowo, jakby ćwiczyła swoją rolę przed występem na scenie.

- Odpręż się, wszystko będzie dobrze - w głosie Maksza zabrzmiało rozbawienie, a Carrie zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Co cię tak bawi? - natarła na niego.

- Ty. Założę się, że kiedy prowadzisz negocjacje biznesowe, nie denerwujesz się tak.

Carrie natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Traktował całą sprawę jak biznes. Ona o tym ciągle zapominała, on natomiast był chłodny i opanowany, jak w interesach.

Zrobiła rzecz niewybaczalną, dała się ponieść rojeniom. Zależało jej na Maksie. I przejmowała się tym, co robili. Miała skrupuły.

- W interesach nie kłamię - odparła przytomnie. - To chyba oczywista różnica.

- Pracujesz w agencji reklamowej. Carrie - przypomniał jej. - Wiesz, jak modyfikować, naginać i ubarwiać prawdę. Sama mi powiedziałaś, jak się tylko poznaliśmy, że nie musisz wierzyć, żeby coś sprzedać.

- Mówiłam o produktach.

- Więc pomyśl o sobie jako o swoim kolejnym zadaniu do wykonania i się sprzedaj.

- Uśmiechnął się. - To nawet nie będzie trudne. Masz doskonały wizerunek, jeśli tak można to nazwać. I potrzebne uwierzytelnienia. - Ujął jej dłoń z brylantem. - Musisz się tylko uśmiechać, a wszyscy cię pokochają.

Wszyscy z wyjątkiem jego jednego. A jej zależało tylko na jego miłości. Nawet teraz, kiedy mówił o ich relacji zimno, jak o dilu w biznesie, był jej nadal drogi. Pragnęła, żeby ją przytulił.

Pod dom podjechał jakiś samochód i obydwójce się odwrócili.

- To moja siostra, Victoria. - Maks spojrział na Carrie. - W samą porę, by usłyszeć radosną nowinę.

Carrie najchętniej natychmiast wróciłaby do domu, wycofała się ze wszystkiego. Niestety, nie mogła się już wycofać.

- Hola, Maks! - zawołała wesoło Victoria. Pomogła wysiąść bliźniakom z landrovera i ruszyła w stronę brata.

Była atrakcyjną trzydziestolatką, drobną, szczupłą, a powiewna biała sukienka czyniła ją jeszcze bardziej kobiecą.

- Wcześniej przyjechałeś. - Uśmiechnęła się do Makska i ucałowała go serdecznie w oba policzki. - Mam nadzieję, że pomożesz Manuelowi przy barbecue.

- Oczywiście - zaśmiał się Maks. - Co to by było za rodzinne przyjęcie, gdybym nie spalił kilku steków. - Przygarnął Carrie do siebie.

- Carrie, poznaj moją siostrę Vickie.

- Tak się cieszę, że mogę cię poznać. Wiele o tobie słyszałam. - I Vickie ucałowała Carrie. - Estella jest niezawodnym i niewyczerpanym źródłem informacji - dodała ze śmiechem.

- To Molly. - Carrie dokonała prezentacji.

- Przywitaj się, Molly, z siostrą wujka Makska. Molly zerknęła nieśmiało na obcą panią, obok której stała dwójka dzieci.

- A to Emilio i Bella - powiedział Maks i zwrócił się do bliźniaków: - Mamy dla was prezenty w samochodzie - czym wywołał u obojga całą serię okrzyków podniecenia.

- Molly, pokaż Belli i Emiliowi, gdzie leżą prezenty.

Cała trójka rzuciła się do samochodu Makska, jakby znali się od lat.

W tym samym momencie Victoria dostrzegła pierścionek zaręczynowy na palcu Carrie.

- Czy to...? Czy wy...? - wyraźnie słów jej zabrakło.

- Tak - przytaknął z uśmiechem Maks jej domysłem. - Mamy dla was radosną wiadomość.

- I jeszcze tu stoicie? Tak spokojnie? Chodźmy natychmiast do środka. Gratulacje! - Ponownie ucałowała Carrie. - To cudownie! Wszyscy będą zachwyceni.

I Vickie pospiesznie ruszyła przodem, przez całą amfiladę pomieszczeń, aż wyprowadziła Maksa i Carrie na taras z tyłu domu, skąd rozpościerał się widok na dolinę i płynącą w dole rzekę.

- Mamo! - zawołała do starszej pani około sześćdziesiątki. - Cudowna wiadomość. Maks się zaręczył! To Carrie, twoja przyszła synowa!

Tu nastąpił wybuch nieopisanego entuzjazmu, na taras przybiegł Manuel, który właśnie rozpałał grill, były kolejne całusy i uściski, wiele słów radości, a zaraz potem rozległy się głośne okrzyki mamy Santos:

- Gdzie twój ojciec, Maks?! Powinien być tutaj. Wiedziałam, że coś się święci. Ostatnio jakoś inaczej się zachowywałeś. Byłeś taki szczęśliwy.

Pojawiła się butelka szampana, a zaraz potem zjawił się na tarasie ojciec Maksa, któremu wszyscy równocześnie usiłowali przekazać radosną wieść.

Maks był bardzo podobny do ojca: wysoki, ciemnowłosy, czarnooki, świetnie zbudowany, bo starszy pan pomimo wieku zachował doskonałą sylwetkę. Wysłuchał nowiny i popatrzył sceptycznie na syna.

- Zamierzasz zostać tutaj czy wracasz do Sewilli? - zapytał krótko.

- Rezygnuję z kancelarii w Sewilli i zamierzam osiąść tutaj, tato. Mówiłem ci już o tym w zeszłym tygodniu.

- Owszem, ale w zeszłym tygodniu nie wiedziałem jeszcze, skąd u ciebie ta nagła zmiana planów życiowych. - Ojciec

Maksa uśmiechnął się do Carrie, podszedł do niej i uściskał ją serdecznie. - Teraz już rozumiem.

Na tarasie zaczęli pojawiać się kolejni krewni Maksa. Carrie poznawała wujków i ciotki, stryjenki... w końcu się pogubiła i nie wiedziała już, kto jest kim.

Wróciły dzieci Vickie i Molly, którą matka Maksa wzięła na kolana i zaczęła z nią rozmawiać. Pojawili się Carmel i Bob.

- Tych dwoje powinno jak najszybciej stanąć przed ołtarzem, Carmel - powiedziała matka Maksa w pewnym momencie. - Zanim ty i Bob wróćcie do Australii.

Maks nie zareagował na te słowa, jakby nie jego dotyczyły. W drzwiach prowadzących na taras pojawiła się kobieta i Carrie od razu wiedziała, że jest to Natasha.

Wystarczyło spojrzeć na twarz Maksa.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Była jeszcze piękniejsza, niż Carrie sobie wyobrażała, szczupła, wysoka, o klasycznych rysach i niebieskich oczach. Emanowała z niej jakaś zdrowa witalność, może dlatego, że była w zaawansowanej ciąży. Spostrzegłszy jej stan, Carrie zawahała się, że może to nie Natasha: Maks nie wspominał, że jego dawna narzeczona spodziewa się dziecka, ale mógł sam o tym nie wiedzieć.

Maks ruszył w jej stronę. Podszedł, ucałował i Carrie poczuła, że ogarnia ją gwałtowna zazdrość.

Nie chcąc widzieć, jak Maks rozmawia z Natasha, sama ruszyła między gości. Emilio wrzucił właśnie na grill kolejny kawałek kurczaka, a Ambrosio, mąż Estelli, rozstawiał na wielkim stole zimne dania i dodatki.

- Pomóc wam? - zaofiarowała się Carrie, licząc na entuzjastyczne przyjęcie.

- Nie, dzięki. Wszystko pod kontrolą. Przy takim pomocniku... - Manuel uśmiechnął się do Ambrosia.

- To miał być mój wolny dzień. Bez pichcenia - poskarżył się Ambrosio. - Ale widać nie mogę żyć bez gotowania. A gdzie twój narzeczony?

Carrie wzruszyła ramionami.

- Rozmawia chyba z Natashą - powiedziała możliwie najbardziej obojętnym tonem.

Ambrosio pokręcił głową, co Carrie zinterpretowała natychmiast na swój sposób. „Kocha ją jeszcze”, pomyślała natychmiast.

- Naprawdę nie potrzebujecie pomocy? - zapytała Carrie, dręczona zazdrością i szukająca jakiegoś zajęcia, które oderwałoby ją od złych myśli.

- Nie, poradzimy sobie. Baw się i nie przejmuj nami - powiedział Emilio.

Zmierzchało szybko, dzieci szalały w ogrodzie pod okiem Vickie, wśród nich szczęśliwa Molly, ktoś włączył muzykę, kilka par zaczęło tańczyć, w ogrodzie zapłonęły niskie lampy.

- Tu jesteś. - Carrie usłyszała głos Maksa. - A ja wszędzie cię szukam.

Raczej flirtujesz ze swoją byłą narzeczoną, miała ochotę odpowiedzieć Carrie.

- Zatańczymy? - zapytał.

- Nie - mruknęła Carrie, ale on już wziął ją w ramiona.

- Ejże, nie zapominaj o pozorach. Powinniśmy zatańczyć razem przynajmniej jeden taniec.

- Zaczęli kołysać się w rytm spokojnej, romantycznej muzyki. - Jak dotąd wszystko idzie doskonale, nie sądzisz? Mówiłem ci, że nie powinnaś się przejmować. Rodzice są tobą zachwyceni. Podbiłaś wszystkich.

Carrie znowu ogarnęły wyrzuty sumienia.

- Maks... To wszystko nie tak - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - To nie w porządku.

- Przeciwnie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Wszystko jest tak, jak być powinno i nie mogłoby być lepiej.

Nie rozumiała, co on ma na myśli. Nachylił się, pocałował ją, a potem odsunął się na odległość ramienia i uśmiechnął. Raptem Carrie zdała sobie sprawę, że są ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Goście otaczali ich kołem, starając się na rozmaite sposoby wyrażać swój zachwyt, podziw oraz aprobatę.

Carrie nie mogła tego znieść. Uwolniła się z objęć Maksa i wycofała z kola krewnych, spośród których nikt jakoś nie zauważył jej nagłego załamania, i ruszyła do ogrodu. Maks tuż za nią.

- Co się dzieje, Carrie? - Poczula jego rękę na ramieniu.

- Zostaw mnie. Czuję się jak potwór. Nie potrafię oszukiwać i udawać. - Carrie płakała.

- Nie mogę dłużej okłamywać twojej rodziny...

- Uspokój się, mówisz jak głuptas.

- Wykorzystałeś mnie. Chodziło ci tylko o rezultat.

- Myślałem, że to ty właśnie chciałaś osiągnąć zamierzony cel i nic więcej cię nie obchodziło. Żadnych zobowiązań, żadnych uczuć - mówił Maks. - Po prostu umowa biznesowa.

- Nie jestem w stanie tego dłużej znieść.

- Carrie przeczesała włosy palcami. - Nie potrafię dłużej grać komedii i zachowywać obojętności, jak ty. Wiem, że chodziło ci o ojca i jego zdrowie, ale okłamujesz przecież swoich najbliższych. Być może to moja wina. Ja to zaczęłam, ale nie potrafię ciągnąć dalej. Nie chcę już być twoją współniczką w tej intrydze. Przecież ty mnie nie kochasz, Maks...

- Kocham - powiedział cicho.

Carrie osłupiała. Miała wrażenie, że ulega halucynacji.

- Pokochałem cię już w pierwszej chwili, kiedy usiadłem obok w samolocie i spojrzałem ci w oczy. Byłem tobą oczarowany. Podbiłaś mnie. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy zobaczyłem, że przeglądasz dokumentację Santos Wines. Nie wiedziałem, jak się do ciebie zbliżyć. Ale to ty zaczęłaś snuć intrygę. Podjąłem ją. Dla ciebie. Dla nas...

- To jakiś sen - powiedziała Carrie ze łzami w oczach.

- Mnie też się wydaje, że śnię - przytaknął Maks.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Kocham tak, że bardziej już chyba kochać nie można. - Przytulił Carrie do siebie. - Jesteś dla mnie wszystkim, querida. I jeśli dasz mi szansę, będę ci to udowadniał każdego dnia swojego życia.